

Mec. Hanna Gajewska-Kraczkowska
Wyroki sprawiedliwe i niesprawiedliwe

Jak „Ogień” zamordował
„Mściciela”

Górnicy
w czarnej dziurze

Prawicowe wojenki
w Olsztynie



DAJCIE UCZNIOM ŻYĆ



MAJ KLASÓWEK SZAŁ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102

30. Festiwal Mozartowski w Warszawie 7 maja - 4 lipca 2021

60

Warszawska
Opera
Kameralna



ŚLEDŹ WYDARZENIA



BILETY I REPERTUAR DOSTĘPNE:

OPERAKAMERALNA.PL

KASA TEATRU WOK, AL. SOLIDARNOŚCI 76B

Bilety²⁴

eBilet.pl



EWEJŚCIÓWKI.PL

Mazowsze.
serce Polski

Warszawska
OPERA
Kameralna



Ustawka z posłańcem

Najpierw, nie bez racji, krzyczeli: „Morawiecki, będziesz siedział”, a później wyciągnęli go za włosy z topieli. Sensu w tym nie ma. Politycy Lewicy tudzą się, myśląc, że ich wyborcy są tak elastyczni jak oni, a ich kręgosłupy równie gumowe. Im młodszy sympatycy lewicy, tym mniej mają złudzeń, że w Sejmie jest jakaś ideowa lewica, z którą mogą się identyfikować. Choć oczywiście są tam chwalebne wyjątki. Ostatnie dni to smutne doświadczenie. A obrazek z liderami lewicy, którzy cieszą się ze spotkania z Morawieckim, można skomentować tak: konie to trojańskie czy tylko koniki?

Doszukiwanie się w spotkaniu Lewicy z premierem Morawieckim jakiejś strategii lub chociaż głębszej myśli jest stratą czasu. Zadecydowały o nim osobiste interesy polityków. Choć precyzyjniejsze byłoby inne słowo – interesiki. Oraz odwieczna chęć przytulenia się do władzy i skubnięcia okruszków z tego tortu. To było widać. I to, że sukces to nie był, też widać. Bo przecież na tak nieporadną ustawkę z rządem nie da się nabrać nawet ciemnego ludu. A co dopiero elektoratu, który jest stęskniony za ideową, światłą i racjonalną lewicą.

Politycy Lewicy mieli silną pozycję negocjacyjną, bo Kaczyński został zagoniony przez Ziobrę do narożnika. I co z tym zrobili? Chwalą się, że Morawiecki zgodził się

na wszystko, co proponowali. Prawda. Ta jego zgoda była pewna już przed spotkaniem. Ten premier tak ma. W Polsce nie znajdzie się dziedziny, miejsca, jakieś białej plamy, które byłyby wolne od obietnic Morawieckiego. Ale realizacja tych obietnic jest, podobnie jak jego wiarygodność, zerowa.

A pozycja polityczna? Taka sobie. W pełni zależy od prezesa Kaczyńskiego. Nie zna dnia ani godziny, w której podaży śladami Beaty Szydło.

Spotkanie się z posłańcem nie jest w polityce powodem do dumy. Zwłaszcza z takim, który dla zwykłych pracowników ma zapłatę w postaci miski ryżu. A gdyby każde jego kłamstwo ważyło gram, to na wadze byłoby już co najmniej dwóch Morawieckich.

Ale żeby nie było nawet cienia wątpliwości, uważam, że głosowanie przeciwko europejskiemu Funduszowi Odnowy byłoby głupotą i jawnym działaniem na szkodę państwa. Zagłosować trzeba. Gdy słucham niektórych polityków lewicowych, mam niestety wrażenie, że oni ciągle nie wiedzą, czym jest ten fundusz, na co jest przeznaczony i jak będzie kontrolowane jego wydawanie. Na pewno nie będzie z tego tanich mieszkań. Wiedzą o tym wszyscy, którzy do tego dokumentu zajrzeli.

Kłamstwo ma krótkie nogi. Lewicowe też.

WIZYTA OBOWIĄZKOWA

Zacznij dobrze tydzień
z **PRZEGLĄD**aniem
naszych ofert i promocji

- Książki historyczne i e-booki
- E-prenumerata tygodnika
- „Zdanie”

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



CYTATY

ANDRZEJ LEDER,

filozof, psychoterapeuta

Dzisiejsza klasa średnia to potomkowie ludzi, którzy zawdzięczają swój awans społeczny władzy komunistycznej.

„Rzeczpospolita. Plus Minus”

GLEB PAWŁOWSKI, politolog rosyjski

Głupota władz jest głównym czynnikiem rewolucjonizującym masy.

„Forum”

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Maj – klasówek szal**
Dajcie spokój uczniom
- 12 Kto wpadł w pułapkę ratyfikacji?**
Pieniądze z UE podzieliły
prawicę i opozycję
- 17 Olsztyńskie wojny podjazdowe**
Starcie liderów Zjednoczonej Prawicy
- 20 Socjaldemokracja to nie neoliberalizm
z ludzką twarzą**
– rozmowa z Marcinem Giełzakiem
- 24 Górnicy w czarnej dziurze**
Przekleństwo czarnego złota
- 28 W adwokatce też jest poczucie
sprawiedliwości**
– rozmowa
z mec. Hanną Gajewską-Kraczkowską

HISTORIA

- 14 Niezlomny volksdeutsch**
„Ogień” zamordował „Mściciela”
- 44 Jaka Polska po wojnie**
Przemówienie Churchilla

ZAGRANICA

- 32 Wybory, których nikt nie wygrał**
Bułgarzy już nie chcą reform
- 36 Grecja kusi turystów**
Wyspy wolne od covidu
- 38 Wyjście z raju podatkowego**
Biden chce walczyć
z oszustwami fiskalnymi

OPINIE

- 41 Witold Graboś**
Młodzi – do urn!

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 43 Kierujmy się tym, co nas łączy**
Dla kogo Krajowy Plan Odbudowy

KULTURA

- 46 O dwóch takich, co znalazły
w Polsce El Greca**
– rozmowa z Katarzyną Kowalską
- 50 Culturalia**
- 66 Jampolski 55**

EKOLOGIA

- 52 Wilczyce nadal bronią lasu**
– rozmowa z kolektywem Wilczyce
- 54 Urodziłem się dla ptaków**
Pasja ze skrzydłami

ZDROWIE

- 58 Witaminy w naturze**
Lecznice właściwości jedzenia

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Ustawka z pośląncem
- 27 Jan Widacki**
Witaj majowa jutrzeńko...
- 35 Roman Kurkiewicz**
Ciszej nad tym czytaniem
- 49 Agnieszka Wolny-Hamkało**
W kaloszach, z pizzą między zębami
- 51 Tomasz Jastrun**
Potrzask
- 57 Wojciech Kuczok**
Tkliwość polska



46
KULTURA

O DWÓCH TAKICH, CO ZNALAZŁY W POLSCE EL GRECA

– rozmowa z Katarzyną Kowalską



URODZIŁEM SIĘ DLA PTAKÓW

Pasja ze skrzydłami



58
ZDROWIE

WITAMINY W NATURZE

Lecznice
właściwości jedzenia

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK





Powrót analfabetyzmu

Tu nie chodzi o samą naukę jako przyswajanie wiedzy. Szkoła jest również miejscem, w którym dzieci uczą się zachowań społecznych, relacji z rówieśnikami, mierzenia się z realnymi problemami, samodzielności, odpowiedzialności, współpracy w grupie itp. Na komputerze niestety nie da się takich lekcji życia przeprowadzić, zwłaszcza przy wyłączonych kamerkach.

Joanna Szczepanik

Zdalne nauczanie tworzy samotników z nosem w tablecie, którzy potem nie odnajdują się w relacjach. Bardzo to smutne, że tak dużo pandemia zabrała dzieciom. Zamykanie szkół powinno być ostatnią czynnością w walce z wirusem.

Go Sia Zie

Czym się wyróżniamy wśród Europejczyków?

Nietolerancją, ciągłym powracaniem do historii, jakbyśmy mieli kompleksy niejakej pozycji wśród innych państw w teraźniejszości, no i ogólnie, jak to kiedyś napisała Dorota Masłowska, „społeczeństwo jest niemile”. Polska mistrzem Polski. A, i jeszcze coś: specjalizujemy się w grze z kontrataku. I to chyba dotyczy nie tylko piłki nożnej.

Tymoteusz Milas



1111 numer

Kontynuacji, bo PRZEGLĄD jest świetny; stalego powiększania się grona czytelników, bo warto czytać Wasz tygodnik. Poza tym uwielbiam rozwiązywać krzyżówki, które zamieszczacie – to cotygodniowy rytuał.

Magdalena Emilian

22222 i powrotu felietonów prof. Łagowskiego. Jesteście wspaniali.

Joanna Wdzięczna

Po prostu bądźcie. Jak dotychczas. Czytać Was to sama przyjemność, od wielu lat.

Janina Frykacz

Wszystkim Pracownikom – zdrowia! Tygodnikowi PRZEGLĄD – trwania wraz z nami w trudnych i – mam nadzieję – nadchodzących lepszych czasach.

Nina Bartkiewicz

Róbcie swoje! Kupujemy, czytamy.

Anna Zawadzka

Czytałem, czytam i – mam nadzieję – będę czytał. Nie zawiedźcie...

Marek Lewandowski

Od redakcji: Dziękujemy za wszystkie życzenia i obiecujemy, że zrobimy wszystko, by Państwa nie zawieść.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Indyjska odmiana koronawirusa sieje spustoszenie, w całym kraju płoną stopy pogrzebowe. Nż. masowa kremacja w New Delhi.



PYTANIE TYGODNIA

Jakie prawa powinny przysługiwać zwierzętom?

DR KATARZYNA DE LAZARI-RADEK,
etyczka, Uniwersytet Łódzki

Pamiętajmy, że prawa człowieka również są „wymyślone” przez nas samych. Nie jest tak, że jako jedyne zwierzę na tej planecie urodziliśmy się z jakimiś uprawnieniami. Jesteśmy istotami na tyle rozumnymi, że potrafiliśmy przyznać wszystkim przedstawicielom naszego gatunku prawo do życia, szacunku, rozwoju itd. Co więcej, nadaliśmy je także dzieciom, mimo że nie wiedzą one o ich istnieniu. Podobnie jest ze zwierzętami – doszliśmy do wniosku, że tym, co czyni podmiotem praw, jest zdolność do odczuwania cierpienia. Dlatego podstawowym prawem, jakie powinno przysługiwać co najmniej kręgowcom, jest prawo do niecierpienia. Tym bardziej że tzw. złota reguła filozofii mówi: nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe.

CEZARY WYSZYŃSKI,
Międzynarodowy Ruch na Rzecz Zwierząt – Viva!

Trudno odpowiedzieć na to pytanie w oderwaniu od tego, co jest obecnie realne. Bo jeśli popatrzymy na zdolność zwierząt do odczuwania cierpienia, a w przypadku wielu gatunków również do nawiązywania więzi społecznych czy abstrakcyjnego myślenia – to należałoby im zagwarantować prawo do życia bez jakiegokolwiek cierpienia zadawanego ludzką ręką. Niestety, na razie niełatwo to sobie wyobrazić, gdyż zwierzęta są zbyt ważną częścią naszego systemu żywieniowego. To bardzo szybko się zmienia, ale przed ludzkością nadal długa droga do odejścia

od ich zjadania, co robimy od tysięcy lat. Obecnie przepisy przyznają niektórym zwierzętom ochronę przed niektórymi czynnościami ludzi i powinniśmy dążyć do tego, by stale poszerzać jej zakres. Zwiększanie prawnej ochrony zwierząt powinno być logiczną konsekwencją wzrostu naszej wiedzy o ich cierpieniu i dostępności technologii zastępujących udział produktów zwierzęcych.

AGNIESZKA ŁYP-CHMIELEWSKA,
*adwokatka, autorka blogów Psiparagraf.pl
oraz Kociparagraf.pl*

Nasza kultura niestety chyba jeszcze nie dojrzała do tego, by respektować jakiegokolwiek uprawnienia zwierząt wykraczające poza zakaz okrutnego traktowania. Dlatego w tym momencie nie widzę szans na przyznanie im np. przysługującego każdemu człowiekowi prawa do życia. Proszę zwrócić uwagę, że ustawowo dopuszcza się eutanazję zwierząt mogących potencjalnie przenosić choroby czy agresywnych, co oznacza, że bezpieczeństwo ludzi jest uznawane za dobro wyższe niż życie pozostałych istot. W tej sytuacji oraz w kontekście poglądów obecnej władzy, sprzeciwiającej się „uczłowieczaniu” innych gatunków, takie zmiany jak eliminacja z prawa zapisów, które zrównują psy i koty z rzeczami, nie wydają się możliwe. Skupiłabym się na walce o utrzymanie *status quo*, a więc m.in. o to, by nie uchylono ani nie złagodzone ustawy o ochronie zwierząt.

Not. Michał Sobczyk

MAJ – klasówek szat

Minister Czarnek każe nadganiać zaległości, fachowcy mówią: **Stop! Dajcie uczniom żyć**

Beata Igielska

– Zapowiadała się kapitalna klasa, byliśmy na zielonej szkole, zaliczyliśmy parę wspólnych wyjść, w tej chwili relacje się zerwały. Po powrocie będziemy się uczyć siebie na nowo. Nawet fizycznie, bo chłopcy wyrośli. Jeszcze w lutym uczniowie bardzo chcieli wrócić do szkoły, teraz nie chcą. Boją się szatu sprawdzianów. Wiedzą, że będą na to naciskać rodzice i kuratoria. Cieszą się, że na maturze nie będzie egzaminu ustnego. Choć nasza szkoła nie straszy sprawdzianami, wiedzą, że umieją niewiele. Będzie im trudno – opowiada Anna Józwiak, polonistka z powiatowego miasta, wychowawczyni drugiej klasy pogimnazjalnej. Sześcioro uczniów z klasy Anny straciło dziadków z powodu zarazy. Ciężko chorują też rodzice. W efekcie i młodzi boją się choroby, popadają w fobie.

W dodatku pojawił się lęk o byt ekonomiczny. Wielu uczniów liceum mówi: poszedłbym do zawodówki, to teraz bym już pracował. Czy mam w tym momencie studiować, męcząc rodziców, czy powinienem raczej iść do roboty i kiedyś skończyć studia zaocznie? Bo rodzice w pandemii potracili pracę, padły małe prywatne biznesy. Chciałoby się mieć buty markowe, a nie te z bazaru, ale nie marudzi się matce, widząc jej stan. Dwie osoby z klasy Anny Józwiak znalazły zatrudnienie. Matka jednej straciła pracę, matka drugiej jest alkoholiką. Dziewczyna wyprowadziła się, zarabia na siebie. Na osiemnastki zapraszało się pół klasy, teraz siedzi się w domu przed kompem. Nie ma klas, zespołów, są atomy. Posypały się szkolne związki. To także rzutu na psychikę.

Zły jest stan psychiczny uczniów klas pierwszych. Oni nie czują wspólnoty ani między sobą, ani z nauczycielami. Nie zwierzą się z kłopotu, chyba że już jest dramat.



Część nauczycieli może traktować powrót do szkół jako jeden wielki sprawdzian i kartkówkę.

Od początku izolacji na dzieci i młodzież spadała więc lawina problemów emocjonalnych, społecznych i zdrowotnych. Nie można jednak w kółko mówić o samobójstwach młodych, w obawie, że dojdzie do efektu Wertera. Ale nie można nie zauważyć, że np. na Pomorzu rośnie liczba prób samobójczych dzieci i młodzieży w wieku 13-18 lat. W samym Gdańsku od początku tego roku próbowało odebrać sobie życie 22 nastolatków – prawie czterokrotnie więcej niż w ubiegłym roku.

Nie róbmy z nich „przegrywów”

Anna Józwiak boi się powrotu do szkoły, bo gdy brytyjscy eksperci radzą, by nie skupiać się na nadrobieniu zaległości, minister edukacji Przemysław Czarnek stwierdza: „My jesteśmy w Polsce, mówimy po polsku, myślimy po polsku i musimy nadrobić zaległości, które na pewno powstały w toku nauki zdalnej”.

– Gdybym przejęła się tym odrobieniem, powinienam właściwie omówić ponownie materiał. Na próbnych maturach wyszło, że dzieciaki mają problem z ręcznym pisanem, bo przez rok tego nie robiły – komentuje nauczycielka.

– W tej sytuacji kluczowe jest, abyśmy się wspierali – dopowiada Marek Pleśniar, dyrektor Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, mającego 6 tys. członków oraz ok. 33 tys. sympatyków. – Musimy postawić coś w rodzaju grubej kreski, powiedzieć sobie: zaległości są nie do nadrobienia, bo uczniowie musieliby siedzieć w szkole po osiemdziesięć godzin. Egzaminy i sprawdziany też są nie na miejscu. W dodatku resort nie bardzo chce nam dać czas do pracy z uczniami, którzy zniknęli z systemu. Wszyscy pytają o te nieszczęsne zaległości, wszystkim psują one krew.

Pleśniara denerwuje, że niby dyrektor ma autonomię. Mówi mu się:

ty odpowiadasz za nadrobienie zaległości, jednocześnie wcale nie dając tej autonomii. Zamiast niej jest represyjny system kontroli.

– Chcemy prawdziwego uwolnienia podstawy programowej, żeby można było pracować w zależności od potrzeb danej szkoły, klasy. Ale do tego trzeba nowoczesnego przywództwa. Minister Czarnek zaś odpływa w światopoglądowe historie, nie pochyla się nad rozpoznaniem potrzeb uczniów. Znowu zostaliśmy ze wszystkim sami. Tak jak sami byliśmy w pierwszej fali pandemii. A skoro jesteśmy sami, nie przeszkadzajcie nam już więcej. Nie straszcie i nie zniechęcajcie – prosi Marek Pleśniar.

Zwraca poza tym uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt. Niektóre dzieci mają teraz megawakacje trwające już rok. Nawet po powrocie do szkół ze zwyczajnych wakacji IQ uczniów bywało niższe o 10 pkt. Wystarczył jednak wrześnieowy trening intelektualny, by do października nadrobić straty. Mózg jest jak mięsień – nietrenowany zanika. Teraz strach to IQ mierzyć.

Uczniowie dostali porządnie w kość. Tym bardziej nie mamy prawa dorabiać im garbu, nazywając ich pokoleniem straconym. Tomasz Bilicki, nauczyciel WOS i koordynator prowadzonego przez Fundację InnoPolis Centrum Interwencji Kryzysowej dla Młodzieży RE-START w Łodzi, nie cierpi tego określenia i walczy z ekspertami, którzy tak właśnie nazywają roczniki pandemii.

– Robimy młodym ludziom krzywdę, wpisując ich w rolę „przegrywów”. Ten mechanizm towarzyszy niskiej samoocenie. A przecież dzieciom od

ani fizycznemu, ani psychicznemu – mówi Bilicki. – Spójrzmy prawdzie w oczy, czy dziś pamiętamy, co umieliśmy na sprawdzian z okrytonasienych? Czy brak tej wiedzy czyni nas gorszymi ludźmi? Czy jesteśmy przez to „przegrywami”? Człowiek swojej wartości nie buduje na znajomości prawych i lewych dopływów Wisły.

Tydzień ulgi

Dlatego w przededniu powrotu do szkół jest dobry czas, by nauczycieli chętnych do robienia sprawdzianów i nadrabiania materiału na siłę prosić:

W Gdańsku od początku tego roku próbowało odebrać sobie życie 22 nastolatków.

nie wzmacniajcie źródeł lęku. Miejcie postawę: zapraszamy was do szkoły. Powrót ma być festiwalem relacji, ważnym wydarzeniem, nie czasem rozliczeń. Instytut Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego proponował kampanię „Tydzień ulgi”. Chodzi o podarowanie uczniom i uczennicom tygodnia bez sprawdzianów, odpytywania i zadań domowych. Czasu na socjalizację.

Są przykłady z zagranicy. Mieszkanca Danii: – Gdy tak czytam o tej waszej podstawie programowej, nic nie rozumiem. U nas w ogóle nie ma tego tematu. Dzieci wróciły do szkół i przez tydzień nie miały zajęć edukacyjnych, przebywały ze sobą.

Mieszkaniec Norwegii: – Dzieciaki nie chodziły do szkół tylko przez chwilę. Nie ma więc problemu

dobro wspólne. Dopiero gdy ktoś nie dostanie się na studia, zazwyczaj doksztadca się przez rok prywatnie.

Można więc uczyć tak zwyczajnie, po ludzku, bez zadęcia. Bez papierologii. To przynosi efekty: Skandynawowie przodują we wszelkich rankingach, w tym w rankingu najszcześniejszych ludzi na świecie.

– Pandemia przypomina czas wojny, gdy nad dydaktyką musimy postawić zdrowie psychiczne. Sam nikogo nie będę rozliczał. Już wystawiłem część ocen i dalej nie chcę oceniać. Pracuję z uczniami i uczennicami, a nie z ocenami. One nie są

niezbędne do budowania relacji w szkole. Im bardziej nauczyciel był straszący, kontrolujący, tym jego uczniowie i uczennice gorzej sobie radzili z nauką zdalną. Nie byli nauczani samodzielności. Tymczasem dowiedzieli się, że nie tylko nauczyciel jest źródłem wiedzy. Owszem, ważne jest wprowadzanie treści programowych. Ale robmy to powoli. Najważniejsza jest reintegracja grupy, poznawanie siebie na nowo, bo przez ten rok wszyscy bardzo się zmieniliśmy. Przypominam poza tym, że zapisy odnośnie do podstawy programowej mówią, że należy ją realizować zgodnie z potrzebami i możliwościami uczniów. Jestem zwolennikiem wyselekcjonowania minimum, a pozostałe treści lepiej zostawić zainteresowanym. Młodych w tym momencie nie trzeba dodatkowo torturować podstawą programową. Lekcje nie muszą ociekać taką ilością detali – dowodzi Bilicki.

O tym, że ma rację, przekonują choćby komentarze na Facebooku PRZEGŁADU. Iza: „Moje dzieci tęsknią za normalnością! Za nauczycielami, za zieloną tablicą... Za rówieśnikami...”. Daria: „Wcale się nie dziwię, że dzieci sobie nie radzą, ile mogą siedzieć przed komputerami?”. Marta: „Dzieci oślabiają wzrok, kupują im krople do oczu. Zaczynają się garbić, więc chodzą w ramach rehabilitacji na kurs tańca. Boli też brzuch, co skończyło się USG jamy brzusznej, głowa boli, bo jest ▶

Jeszcze w lutym uczniowie bardzo chcieli wrócić do szkoły, teraz nie chcą. Boją się szafu sprawdzianów. Wiedzą, że będą na to naciskać rodzice i kuratoria.

dawna brakuje pewności siebie. Przez rok doświadczyli wielu kryzysów, lecz ich przepracowanie może przynieść korzyści, prowadzić do wyciągnięcia konstruktywnych wniosków. Trudne emocje, takie jak smutek, złość, tęsknota, są ważnym komunikatem. Dzięki nim wielu młodych dowiedziało się, jak ważne są relacje – zdążyli zatęsknić za rówieśnikami i bliskimi. Dowiedzieli się, że nadmierne przebywanie przed komputerem nie służy zdrowiu

z nadrabianiem materiału. Nie ma korepetycji, bo szkoła ma obowiązek nauczenia dziecka. Jeśli ono sobie nie radzi, całe grono pedagogiczne szuka rozwiązania, jak mu pomóc; nie zostawia się też dzieci na drugi rok w tej samej klasie. Dopiero w liceum młodzi rywalizują o oceny, by dostać się na dobre studia. Choć generalnie rywalizacja jest źle widziana, dzieci przygotowuje się do współpracy w grupie. Najważniejsze jest

► niedotlenienie. I tak totalna nuda, że córka wygląda, jakby była naćpana”.

Jak zasypać przepaść?

Ewa Radanowicz, dyrektorka szkoły w Radowie Małym w Zachodniopomorskiem, działaczka edukacyjna: – Po powrocie do szkoły doby nie wystarczy na uporanie się z bieżącymi problemami, np. część naszych dzieci w pandemii trafiła do domów dziecka i rodzin zastępczych. Trzeba nimi szczególnie się zająć. Mamy rodziny, gdzie po kilka osób zmarło na koronawirusa, dzieci są strauatyzowane. Wrócą w tak różnej kondycji psychicznej, że to może nas zaskoczyć. Dlatego nawet już nie słucham ani pomysłów ministra, ani władz lokalnych.

Dyrektor Radanowicz zauważyła, że starsi uczniowie wcale nie chcą wracać do szkoły takiej, jaka była: z odpytywaniem przy tablicy, ze sprawdzianami, z toną prac domowych. – Najbardziej boję się presji rodziców i władz na nadrabianie zaległości. Muszę zorganizować szkołę na nowo. Nie wiem, co z dziećmi, które nic nie robiły przez ten rok. W klasie będą z tymi, które intensywnie pracowały. Jak zasypać tę przepaść? – zastanawia się. – A będą i takie, które cofnęły się w rozwoju edukacyjnym. Na razie nie wiem, jak będzie można tak dalece różnicować pracę na lekcji. Najpilniejsze jest zastanowienie się, jak diagnozować braki, jak wyrównywać poziom, jak dostosować pracę szkoły, bo na pewno



Wielu uczniów funkcjonuje w zaburzonym rytmie, pół dnia spędzając w piżamie.

– mówi. – Przewiduję miodowy miesiąc, radość z powodu kontaktów z rówieśnikami, a potem wysyp kłopotów. Będzie więcej sytuacji konfliktowych, kryzysowych, dlatego trzeba opracować system wsparcia.

Z perspektywy wioski popegeerowskiej i małej szkoły, którą kieruje Ewa Radanowicz, widać, że przydadzą się dodatkowe godziny dla chętnych – rząd przeznaczył 187 mln zł na godziny wyrównujące braki. Rodzice na pewno będą chcieli, aby dzieci z nich skorzystały, choć większość oświatowców jest zdania, że trzeba się pogodzić z tym, że tych kilka miesięcy zostało straconych i w krótkim czasie nie da się ich nadrobić.

zdecydują się na edukację domową. Mama z warszawskiego Żoliborza, psycholożka, zarzeka się: – Nie skażę moich dzieci na kilkugodzinne siedzenie przed komputerem. To droga na skróty do uzależnienia od elektroniki i do kłopotów emocjonalnych. Widzimy, jak po roku nauki zdalnej dzieci znajomych nie mogą się oderwać od urządzeń mobilnych. Nigdy tak nie było! Syn idzie od września do pierwszej klasy, córka za dwa lata. Jeśli nadal jedynym pomysłem rządu na pandemię będzie *lockdown* i zamykanie szkół, zabieram dzieci do edukacji domowej. Już rozmawiamy ze znajomymi o stworzeniu czegoś w rodzaju nieformalnej szkoły. Będziemy się wymieniać przy nauce dzieci. Każdy z nas ma wyższe wykształcenie, ogarniemy.

Kto jest przyjacielem

Agnieszka Jastrzębska, innowatorka edukacyjna, psycholog szkolna i nauczycielka fizyki w mającej 1000 uczniów szkole w gminie Lubin, walczy ze stereotypem, że w pandemii psycholog czy pedagog nic nie robi. To bardzo szkodliwe myślenie, bo pojawia się pokusa ograniczania tych etatów.

– Tymczasem do typowych kłopotów dzieci dziś musimy doliczyć te wynikające ze specyfiki zdalnej nauki i braku rzeczywistych kontaktów. Rodzice dziecka szukają pomocy tu i teraz, a nie za miesiąc czy półtora, bo takie są terminy w naszym mieście.

Na próbnym maturach wyszło, że dzieciaki mają problem z ręcznym pisanie, bo przez rok tego nie robiły.

nie na zasadzie: nadgonimy. Należy przeanalizować podstawę programową i nadrabiać tylko to, co kluczowe. Metody pracy dostosować do poziomu, jaki prezentują dzieci.

Ewa Radanowicz nie wyobraża sobie nauczyciela, który będzie chciał pracować tak samo, jak pracował przed pandemią. I zdaje sobie sprawę, że część z nich może traktować powrót do szkół jako jeden wielki sprawdzian i kartkówkę. A prawda jest taka, że na siłę niczego wyrównać się nie da. – Absolutnym priorytetem jest psychika młodych, ustalenie, w jakim stanie do nas wracają

Czytelnik PRZEGLĄDU Krzysztof: „Wszystko idzie w kierunku prywatyzacji szkół, bo przez obecny sposób nauczania nie ma szans, żeby wcześniej czy później dzieci się nie pogubiły. Dramat goni dramat”. Dzieje się więc to, co przewidywała w „Doktrynie szoku” Naomi Klein – wielkie kryzysy zamykają pieniądze do kieszeni bogatych, usługi się prywatyzuje. Na korzystanie z nich nie wszystkich stać. Nierówności rosną. Bo owszem, ci, których na to stać, zabiorą dzieci do szkół niepublicznych lub obłożą je kursami i korepetycjami od najmłodszych lat. Ewentualnie

Jeśli nie znajdą jej w szkole, będą musieli szukać prywatnie. To kolejny element różnicujący dzieci. Jednych stać na terapię, drugich, może nawet bardziej potrzebujących, nie stać. Psycholog szkolny zawsze był buforem, łatwiej zgłosić się do niego, niż od razu gnać do poradni. Dzieci przez prawie rok budowały fałszywą popularność internetową. Wypromowały w internecie ideał, a rzeczywistość od niego odbiega. Teraz więc bardzo lękowo reagują na powrót do szkół – tłumaczy Jastrzębska.

Psycholożka nie ma wątpliwości, że problemem będzie ponowne budowanie relacji rówieśniczych: – Zdalna nauka zredefiniowała także pojęcie przyjaźni. Przeprowadziłam badania na ten temat, robiąc 650 ankiet. Przyjacielem nie jest już ten, kto spędza z tobą dużo czasu i zawsze możesz na niego liczyć. To ten, kto daje lajki w internecie, kto buduje twoją popularność, choćby fałszywą, gra z tobą w gry.

Jastrzębska przygotowywała nauczycieli do niestandardowej pracy z uczniami. Ona sama nie stawia ocen, nie robi sprawdzianów. – Nie można zostawić szkoły bez wsparcia psychologa – mówi z przekonaniem. – Niektóre dzieci będą z powodu niezafatwionych problemów nosić piętno do końca życia.

Marek Pleśniar zauważa, że resort edukacji nie wesprze szkół w pomocy psychologiczno-pedagogicznej. Dlatego stowarzyszeni, nie oglądając się na rządzących, wydali poradnik o wsparciu rówieśniczym, zawierający konspekty lekcji wychowawczych. Poradnik napisał Tomasz Bilicki. Odpowiednio przeszkolone przez psychologa szkolnego dzieci mają pomagać kolegom i koleżankom w nauce, ale również w rozwijaniu pasji, tych prawdziwych, a nie pompowanych potrzebami przypodobania się grupie. Bo jak ktoś umie opowiedzieć o prawdziwych pasjach, zyskuje naturalną popularność. Ci przeszkoleni uczniowie mogą także zapobiegać nękanu i wykluczeniu. Muszą mieć opiekunów – superwizorów, przeszkolonych nauczycieli. Rodzice zaś muszą wyrazić zgodę na objęcie dziecka wsparciem rówieśniczym. Taka forma pomocy może się okazać najważniejsza. Po powrocie bowiem ważna będzie rola liderów grup rówieśniczych – kogo wskażą jako ofiarę, a kogo mianują

na gwiazdę. Jeden uczeń przerażony wirusem będzie nosił maseczkę, rękawiczki i co chwila je dezynfekował, drugi będzie go wyśmiewał, bo pandemia to ściema. Nie tylko zatem od dorosłych będzie zależało, czy dzieci wrócą do szkoły z uśmiechem, czy z płaczem, a nawet czy znajdą się takie, które nie wrócą.

Rządzący poprzez swoją nieudolność – polscy uczniowie siedzieli przed komputerami rekordowo długo w porównaniu z innymi w Europie – zafundowali im kłopoty zdrowotne

czas próg zdawalności egzaminu maturalnego z przedmiotu dodatkowego, choć zdaniem oświatowców cały nowy egzamin powinien być przełożony o dwa lata.

Obserwując szarpany taniec wokół otwarcia szkół, trudno nie odnieść wrażenia, że jednak nie doczekamy festiwalu relacji. Paweł Łęcki, polonista z Sopotu obserwowany na Facebooku przez 59 tys. osób, komentuje z sarkazmem: „Grunty, że w czasie pandemii wszystko dobrze przemyślano i powrót do szkół będzie

Zaległości są nie do nadrobienia, bo uczniowie musieliby siedzieć w szkole po osiem-dziewięć godzin.

i emocjonalne, plus rozwarstwienie, od różnego poziomu wiedzy po nierówny dostęp do zajęć dodatkowych i opieki psychologicznej. Tegorocznym maturzystom zafundowali brak wiary, że maturę uda się zdać. Choć trzeba przyznać, że pod wpływem dużego oporu społecznego Ministerstwo Edukacji i Nauki przesunęło trudniejszy egzamin dla ósmoklasistów. Przyszłoroczne egzaminy będą więc w nieco udawany sposób okrojone z wymagań. Maturzystom, którzy ukończyli ośmioklasową szkołę podstawową zniesiono na pewien

pełen radości, poczucia bezpieczeństwa, integracji, relacji. (...) Nauczyciele staną w końcu przy tym jednym kserze w szkole, zrobią listę kolejkową, nakserują sprawdzianów, testów, w końcu młodzie nie będą ściągali ani grali w Fortnajtę. I dobrze, że powrót będzie w maju, na chwilę przed wakacjami, choć i tak Polska najprawdopodobniej pobiła rekord zamknięcia szkolnictwa”. Niechlubny rekord, który odbije się dużą czkawką.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim żalem żegnamy

MAŁGORZATĘ KĄKIEL

Tak trudno pisać te słowa. Małgosia współpracowała z nami od 11 lat. Krytyczka literacka, publicystka, erudytka. Kochała książki, miała o nich ogromną wiedzę i pisała z wielkim zapałem i zaangażowaniem przede wszystkim w „Nowych Książkach”, ale także w „Przełędzie”. Za Jej sprawą na nasze łamy trafiło wielu pisarzy, literaturoznawców, tłumaczy i ludzi kultury. Rozmawiała z nimi z ogromnym wyczuciem i taktem, a zarazem z docieklivością. Pisała też eseje oraz teksty publicystyczne. Nie potrafiła być obojętna na zło, niesprawiedliwość, głupotę.

Ale przede wszystkim Małgosia była Koleżanką. Skromną, otwartą, empatyczną, o wielkim takcie i kulturze. Nie myślała o sobie, to ona zawsze troszczyła się o innych, zawsze pamiętała o ważnych datach w życiu osób, z którymi w naszej redakcji była najbliższą.

Odeszła niespodziewanie 25 kwietnia. Nie wypijemy już razem kawy w redakcji, nie porozmawiamy o książkach i twórcach ani o życiu...

Będzie nam Jej bardzo brakowało.

TACIE MAŁGOSI

składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia

Koleżanki i koledzy z „Przełędu”



Kto wpadł w pułapkę ratyfikacji?

Pieniądze z Unii podzieliły prawicę i opozycję.
Lewica z PiS, Platforma z Ziobrą

Czy deal z Morawieckim i PiS okaże się dla Czarzastego i Lewicy korzystny?



Robert Walenciak

Sprawa Funduszu Odbudowy, która jeszcze parę miesięcy temu wydawała się oczywista i banalna, pokazała, jak bardzo podzielona jest i rządząca prawica, i opozycja. I jak wiele jest tam gry.

Zacznijmy od rządzących. Tu podział był czytelny od samego początku – grupa Zbigniewa Ziobry

Nowe pieniądze, nowa Unia

Nie ma co się oszukiwać, Ziobro o tyle ma rację, że na poziomie regulacji prawnych Fundusz Odbudowy realnie zwiększa uprawnienia Unii i jest krokiem w stronę federalizmu. Daje jej władzę nakładania podatków na obywateli unijnych państw, a także władzę zaciągania kredytów. Unia je zaciągnie, państwa Unii

PO, a przede wszystkim sympatyzujący z nią publicyści uwierzyli, że mają sprawy w swoim ręku.

od zawsze kwestionowała Fundusz Odbudowy jako konstrukcję, która zwiększa władzę Unii i ogranicza suwerenność Polski. W związku z tym ziobryści nawoływali, by premier Morawiecki zawetował fundusz jeszcze w Brukseli. Wołali, że lepiej nie mieć unijnych pieniędzy – a chodzi o, bagatela, ok. 250 mld zł – niż wyrzec się części suwerenności.

(czyli obywatele) będą je spłacać. Ale wcześniej te pieniądze trafią do państw członkowskich.

Na piękne oczy? Nie. Dwa mechanizmy pozwolą Komisji Europejskiej kontrolować przekazywane transze. Po pierwsze, ustalono, że państwa złożą w Brukseli krajowe plany odbudowy, a unijni urzędnicy je przeanalizują i zatwierdzą. W Polsce pieniądze

w ramach KPO mają być inwestowane w następujących obszarach:

- odporność i konkurencyjność gospodarki – 18,6 mld zł,
- zielona energia i zmniejszenie energochłonności – 28,6 mld zł,
- transformacja cyfrowa – 13,7 mld zł,
- dostępność i jakość ochrony zdrowia – 19,2 mld zł,
- inteligentna mobilność – 27,4 mld zł.

To dosyć ogólne ramy, ale Unia po zatwierdzeniu planu wydatków będzie je kontrolowała, więc możliwość, że te pieniądze zostaną w ordynarny sposób rozkradzione przez PiS bądź przeznaczone na kampanię wyborczą, jest bardzo ograniczona.

Drugi mechanizm, który wejdzie w życie, to kontrola praworządności. Czyli pieniądze za praworządność. Dorzucmy jeszcze, że transfery środków nie zostaną uruchomione z dnia na dzień. Jak szacują eksperci, większość pieniędzy trafi do państw członkowskich po roku 2023.

Wybór Kaczyńskiego

Z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego unijne pieniądze są wielką szansą dla Polski i dla PiS. To one mogą dać impuls pocovidowej gospodarce, a więc zapewnić mu – co tak martwi PO – wyborczy sukces w roku 2023. Ale mają też „plusy ujemne”.

Przede wszystkim bardzo mocno dzielą prawicę. Sprawa suwerenności Polski, niezależności od Brukseli, jest dla części prawicowego elektoratu ogromnie istotna. Dla niego zgoda na unijny Fundusz Odbudowy jest zdradą. Kaczyński nie skryje się przed tymi oskarżeniami. Będzie miał również związane ręce za sprawą mechanizmów kontrolnych Unii. Do tej pory jakoś sobie z tym radził, co nie znaczy, że tak będzie zawsze.

Paradoksalnie te ograniczenia mogą tylko wyjść PiS na dobre. Jeżeli trudno będzie wyprowadzać pieniądze na partyjne przedsięwzięcia, na rozdawanie swoim, łatwiej będzie je wydawać na racjonalne cele. Tak, by skorzystali nie tylko swoi, ale wszyscy. Z punktu widzenia inżynierii partyjnej jest to zresztą najskuteczniejsze działanie. Bo swoi i tak na partię zagłosują, a trzeba pozyskać tych neutralnych, niezdeterminowanych.

Upadek, który boli

Jeżeli Fundusz Odbudowy podzielił prawicę, to co można powiedzieć o opozycji? Przypomnijmy atmosferę towarzyszącą szczytom Unii, lipcowemu i grudniowemu, podczas których zatwierdzano budżet Unii i Funduszu Odbudowy. W grudniu Polska i Węgry groziły wetem, bo nie chciały mechanizmu pieniądze za praworządność. Ostatecznie z weta się wycofały. A Borys Budka, przewodniczący PO, szydził z Morawieckiego i Ziobry, że są wielkimi przegranymi i „miększonami”. – Rząd próbował grać w tych negocjacjach, używać weta w stosunku do budżetu, na który czekała cała Europa – mówił, deklarując z emfazą, że PO poprze unijne zapisy w Sejmie.

Dlaczego więc Platforma z tych zapowiedzi się wycofała? Zadecydowała kalkulacja polityczna. PO, a zwłaszcza sympatyzujący z nią publicyści uwierzyli, że mają sprawy w ręku. Że w wersji maks zablokowanie ratyfikacji ramię w ramię ze Zbigniewem Ziobrą doprowadzi do upadku rządu, rozpadu koalicji rządzącej, wołty Gowina, utworzenia rządu technicznego i wcześniejszych wyborów. W wersji bardziej umiarkowanej – zmusi Kaczyńskiego do negocjacji z Platformą. I to takich, w których PO będzie stroną dominującą. A Kaczyński, jak to ujęła posłanka Magdalena Filiks, będzie na kolanach. Niejako przy okazji sytuacja ta zbuduje dominującą pozycję PO na opozycji.

Przypomnijmy sobie, co pisały liberalne media. „Perspektywa przyspieszonych wyborów zawisła nad Polską” – to „Gazeta Wyborcza” sprzed tygodnia. „Trzaskowski premierem, Hołownia prezydentem. Opozycja musi pokazać personalia”. Jeżeli z takiej wysokości upada się na ziemię, to musi boleć.

Krzyk PO

Oczywiście obecny układ rządowy jest rozchylony, bliski wejścia na ścieżkę AWS. Ale prawdą jest też, że Gowin wcale nie ma ochoty przechodzić na stronę PO, bo obecna sytuacja daje mu zdecydowanie więcej. Można zakładać, że rozmowy, które prowadził z opozycją, bardziej służyły wzmocnieniu jego pozycji w kontaktach z Kaczyńskim niż innym celom.

Wiara, że odrzucenie przez Sejm Funduszu Odbudowy doprowadziło do upadku rządu i rozpadu Zjednoczonej Prawicy, jest więc tylko wiarą. Nie ma żadnych realnych przesłanek, by tak miało się stać.

A weto? To jasne, weto Kaczyńskiego by nie obaliło, raczej by mu pomogło – w dalszym poniżaniu opozycji. Tym razem jako siły antyeuropejskiej. Poza tym i tak miał wystarczająco dużo możliwości, by sprawę ratyfikacji jakoś przepchnąć, ale wybrał wariant porozumienia się z Lewicą. Z paru powodów – bo kwestię ratyfikacji załatwia mu to nieodwołalnie, bo podkreśla tym swoją sprawczość, umiejętność gry, no i jest to cios w jedność opozycji.

Tylko czy ta jedność istniała? PO i związani z nią publicyści jedność

całą sobą. Mechanizm funduszu wiąże Polskę z Unią, to istotna wartość. Nie czarujmy się zatem, tak czy inaczej Lewica musiałaby FO poprzeć, bo wyborcy by jej tego nie darowali.

W dodatku liderzy Lewicy mogą mieć satysfakcję, że utarli PO nosa, pokazali, że są samodzielnym podmiotem. Szczególnie że Platforma sama jest coraz mniej obliczalna, trwa tam sondażowy zjazd i walka o władzę. Budka, Trzaskowski, Tusk, Schetyna... Kandydatów na wodzów jest tam cała grupa.

Nie zapominajmy jednak o nastrojach wyborców. Elektorat Lewicy jest najbardziej antypisowski i najmocniej przez PiS doświadczony. On nie chce słuchać, że Lewica wynegocjowała z Kaczyńskim niemal to samo, co mówiła PO. Dla tych wyborców sam

Tak czy inaczej Lewica musiałaby Fundusz Odbudowy poprzeć, bo wyborcy by jej tego nie darowali.

opozycji pojmują w sposób podobny do tego, w jaki jedność prawicy pojmuje Kaczyński: że w centrum i po lewej stronie niepodzielnie rządzi PO. A Lewica jest dostarczycielką szabel.

Tyle że Kaczyński ma podstawy, by uważać się za hegemoną po prawej stronie sceny, PO zaś jest jedną z czterech sił opozycyjnych. Przy czym sondaże są bezlitosne. Dają Platformie ok. 17% poparcia, mniej więcej tyle, ile Polsce 2050 Szymona Hołowni. Lewica ma ok. 10%, a PSL – poniżej 5%. By przeprowadzić w takich warunkach, trzeba i pewnej finezji, i umiejętności uwzględniania interesów innych. Tego w Platformie nie ma. Zawiodła w grze o ratyfikację Funduszu Odbudowy. Nie potrafiła wyjść poza mantrę, że będzie przeciw. Nie potrafiła obronić jedności opozycji. Ba, w samej PO coraz trudniej o jedność. Grzegorz Schetyna otwarcie przecież mówi, że za jego czasów taka sytuacja, że opozycja traci jedność, nie byłaby możliwa. I że jesienią zaczną się w PO wybory.

Lewica – albo dobrze, albo źle

A Lewica? Czy w takim razie powinniśmy usprawiedliwiać jej liderów, że wybrali negocjacje z PiS? Sytuacja nie jest czarno-biała. Oczywiście ratyfikacja Funduszu Odbudowy jest korzystna dla Polski, Lewica to popiera

fakt rozmów z „imperium zła” jest deprimujący. Jak można dogadywać się z tymi, którzy pałają kobiety? – pytają. Dla nich Biedroń, Czarzasty i Zandberg powinni być liderami budowy jedności opozycji i walki z PiS, a nie jakichś gier. I to takich, w których głównym wygranym jest Kaczyński. Tak było zresztą w przeszłości – gdy liderzy lewicy rozmawiali z PO, sondaże SLD rosły. Gdy rozmawiali z Kaczyńskimi – spadały. Co zresztą wykorzystywał Donald Tusk.

Jak będzie tym razem? Czy obiecując poparcie ratyfikacji Funduszu Odbudowy, Lewica wyszła z pułapki, w którą wciągnęła ją Platforma, czy też w pułapkę wpadła? Jak to w polityce, dowiemy się za jakiś czas.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Niezlomny volksdeutsch

„Ogień” wyręczył władzę i zamordował „Mściciela”

Leszek Konarski

W ostatnim dniu drugiej tury ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej, 10 lipca, Andrzej Duda przybył do Dębicy i uklęknął przed znajdującym się na rynku pomnikiem upamiętniającym ostatnią w Polsce publiczną egzekucję działaczy podziemia antykomunistycznego. W tym miejscu 10 lipca 1946 r. zostali powieszzeni trzej młodzi mężczyźni należący, jak napisano na obelisku, do oddziału Narodowych Sił Zbrojnych – Józef Grębosz „Pszczółka” (lat 25), Józef Kozłowski „Mruk” (lat 21) i Franciszek Noster „Bukiet” (lat 26). Wszyscy brali udział w zastrzeleniu komendanta posterunku MO w Domaradzu Mariana Urycia oraz zamordowaniu funkcjonariuszy UB z Dębicy Walentego Dziegiela i Stanisława Kosydara, napadali na instytucje państwowe i grabili ludność cywilną. Poszli do lasu, bo uciekli przed wymiarem sprawiedliwości. Grębosz zdezerterował z wojska, Kozłowski z milicji, a Noster był poszukiwany za udział w zamordowaniu w czerwcu 1945 r. siedmiu Ukraińców w lesie koło Domaradza. W sądzie przyznali się do morderstw i grabieży. Ale przecież ci młodzi ludzie nie dokonywali tych czynów z własnej inicjatywy, ktoś dał im broń i wydawał rozkazy. Na pomniku napisane jest wyraźnie, że byli „z oddziału Narodowych Sił Zbrojnych Jana Stefki »Mściciela«”. Dlatego prezydent Duda powinien się dowiedzieć, kim był Jan Stefko.

Szubienica na rynku

W południe 10 lipca 1946 r. wokół ustawionej na rynku wielkiej szubienicy zebrało się kilkaset osób, przeprowadzono również starsze klasy z miejscowego liceum. Ciężarówka ze skazańcami podjechała pod szubienicę; mieli zawiązane oczy i skrupowane z tyłu ręce. Gdy już kat



10 lipca 2020 r. Andrzej Duda uklęknął w Dębicy przed pomnikiem upamiętniającym publiczną egzekucję na działaczach podziemia antykomunistycznego. Na pomniku jest napisane wyraźnie, że byli z oddziału Narodowych Sił Zbrojnych Jana Stefki „Mściciela”.

założył im pętlę na szyje, ciężarówka ruszyła i ich ciała zawisły. Potem ciężarówka znowu podjechała pod szubienicę i gdy lekarz stwierdził zgon, kat odciął sznury, a ciała powieszonych spadły na platformę. Samochód z ciałami krążył długo po Dębicy, bo władza chciała pokazać, że dla wrogów ustroju nie będzie żadnego pobbazania. Z tej egzekucji zachowało się tylko jedno zdjęcie, wykonane potajemnie z I piętra sąsiedniego budynku przez Józefa Steca „Joda”, który był członkiem Zrzeszenia Wolność i Niezawistość. Fotografia ta trafiła też do ONZ i została wykorzystana w raporcie na temat terroru komunistycznego w Polsce. Za upublicznienie tego zdjęcia

w zagranicznej prasie Stec został skazany na siedem lat więzienia.

Wiadomość o publicznej egzekucji w Dębicy trzech członków podziemnej organizacji szybko przedostała się na Zachód i wstrząsnęła opinią na całym świecie. W żadnym europejskim kraju nie wieszano już ludzi na oczach mieszkańców. Rząd polski został przez wiele krajów potępiony za stosowanie takich średniowiecznych praktyk. Dlatego była to przedostatnia w ogóle publiczna egzekucja w Polsce.

Dziesięć dni później, 21 lipca 1946 r., miała zaś miejsce ostatnia publiczna egzekucja. Na stokach poznańskiej cytadeli 15 tys. osób obserwowało powieszenie Arthura

Greisera, hitlerowskiego namiestnika tzw. Kraju Warty. Wkrótce potem, pod presją światowej opinii publicznej, ówczesny minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski stwierdził, że już nigdy więcej nie będzie w Polsce publicznych egzekucji, i tak się stało.

Oddział Jana Stefki „Mściciela” po trzech miesiącach działalności, 20 lutego 1946 r., został okrążony i rozbity podczas obławy w Grudnej; zginęło czterech jego ludzi, dziewięciu aresztowano. W trakcie rozprawy, która w trybie doraźnym toczyła się 24 i 25 czerwca przed Sądem Wojсковym w Rzeszowie, członkom oddziału udowodniono 25 napadów, pięć rozbrojeń posterunków MO i SB, cztery rozbrojenia żołnierzy WP, egzekucję dwóch pracowników UB i jednego komendanta MO. W czasie napadów rabunkowych ludzie Stefki bili mieszkańców, demolowali domy, zabierali wszystko – zegarki, pościel, ubrania, buty, garnki, żywność, kury, kaczki, świny. Oprócz tej publicznej egzekucji wykonano w więzieniu wyroki śmierci na Janie Gomółce i Zygmuncie Ząbku. Pozostali otrzymali kary pozbawienia wolności od trzech do 15 lat. Sam Stefko uniknął aresztowania i zbiegł do oddziału Józefa Kurasia „Ognia”. Tam został zastrzelony przez samego „Ognia” lub z jego rozkazu – tego dokładnie nie wiadomo. Nie władza ludowa zlikwidowała zatem Jana Stefkę, ale „Ogień”. Jeden „wyklęty” zamordował drugiego „wyklętego”. Nazwisko Kurasia jest na monumencie w Zakopanem, Stefki – na pomniku w Dębicy.

Niemiecki agent

Jan Stefko urodził się w 1900 r. w powiecie bielskim, ukończył siedem klas szkoły podstawowej, z zawodu był murażem. Od wiosny 1939 r. pracował w majątku Reyów w Przecławiu koło Mielca, w sierpniu został powołany do wojska. Po kapitulacji powrócił do Przecławia i ku zaskoczeniu wszystkich hitlerowcy powołali go na komisarza gminnego. Miejscowi byli w szoku – żołnierz polskiego wojska tak uhonorowany przez okupanta! Pozwolono mu też założyć firmę, która otrzymywała liczne zlecenia

na prace melioracyjne i wycinke trzciny wzdłuż Wistoki. W firmie tej pracowało sporo młodych ludzi, gdyż posiadanie stałego zatrudnienia chroniło przed wywózką na roboty do Niemiec.

Jednym z takich pracowników był mający dzisiaj 93 lata i mieszkający we Wrocławiu Teofil Lenartowicz. W społeczno-kulturalnym kwartalniku „Nadwiśloce”, nr 4/2009, wspominał swojego byłego szefa: „Jan Stefko był Ślązakiem mówiącym ze śląskim akcentem i jednym z tych, którzy w czasie napaści

Jeden „wyklęty” zamordował drugiego „wyklętego”. Nazwisko Kurasia jest na monumencie w Zakopanem, Stefki – na pomniku w Dębicy.

Niemiec na Polskę naprowadzali niemieckie samoloty na cele wymierzone w mosty i inne obiekty po to, aby ułatwić Niemcom zwycięstwo. W czasie okupacji był komisarzem gminnym w Przecławiu wyznaczonym przez Niemców za zasługi. Jego władza była tak szeroka, że wykonywał wyroki śmierci. Z jego rąk zginął zastrzelony Ukraińiec, który uciekł z obozu i wracał do domu, oraz kilku schwytanych Żydów. Egzekucji dokonano w Przecławiu na tzw. Stawiskach. Zapisał



Czy Józef Kuraś dowiedział się, że Stefko był volksdeutschem i został skazany za współpracę z niemieckim okupantem?

to w swoim pamiętniku mój ojciec, który w pierwszym okresie wojny prowadził zapiski w notesie”.

Lenartowicz pisze dalej, że jego informacje są prawdziwe, bo pracował u Stefki i zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności za to, co publikuje. Zachowały się zapiski jego ojca, w artykule jest fotokopia jednej ze stron tego notesu. Wszyscy wiedzieli, że Stefko jest volksdeutschem. Na swoim blogu w internecie „Moje życie i samolot” Lenartowicz pod datą 18 lipca 2019 r. napisał: „Domyśleć się należy, że

Stefko przedstawił Niemcom wiarygodny dokument o przynależności do V niemieckiej kolumny, składającej się ze szpiegów pomagających armiom niemieckim podbić Polskę w 1939 r. Niemiec dowódcy mieli nakaz przekazywania władzy członkom V kolumny”.

Ale wojna się kończyła, do Mielca i Dębicy zbliżały się wojska radzieckie. Stefko wiedział, co go czeka, więc uciekł. Prawdopodobnie chciał się przedostać do Niemiec, ale dotarł tylko w swoje rodzinne strony, czyli do Bielska-Białej, gdzie natychmiast wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej i został pełnomocnikiem ds. reformy rolnej na powiat bielski. Pomysł z ukryciem się pod skrzydłami PPR nie wypalił i 2 maja 1945 r. Stefko został aresztowany za współpracę z niemieckim okupantem. Osadzono go w więzieniu Montelupich w Krakowie, skąd 15 listopada 1945 r. udało mu się zbiec. Miesiąc później zaocznym wyrokiem Sądu Okręgowego w Tarnowie został skazany na 10 lat więzienia. Wtedy był już w lesie i dokonywał pierwszych napadów.

Stefko nie wrócił w rejon Przecławia, bo był tam spalony jako niemiecki kolaborant. Swoją oddział, liczący od 20 do 35 partyzantów, zaczął formować w powiecie brzozowskim, potem w dębickim i mieleckim. Trafiali do niego najczęściej ludzie ▶

► ukrywający się przed milicją za polspolite przestępstwa, siedmiu było dezertierami z wojska, trzech z milicji, choć miał też kilku ochotników. Zwerbowanym osobom tłumaczył, że celem powstania jego oddziału jest likwidowanie ludzi o poglądach lewicowych, członków Polskiej Partii Robotniczej, funkcjonariuszy Urzędu

na powiat brzozowski, Franciszkiem Woźniakiem „Brzeszczem”. Jak stwierdził w czasie przesłuchania Adam Jary, jeden z żołnierzy WiN, Woźniak miał stwierdzić, że oddział „Mściciela” to banda rabunkowa, niemająca nic wspólnego z WiN, i „Mściciela” należy przepędzić z tu-tejszego terenu.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa chcieli się dowiedzieć, co było przyczyną konfliktu między „Ogniem” i „Mścicielem”. Kilka razy przesłuchiwali Kazimierza Paulę, który najpierw był w oddziale Stefki, a potem przeszedł do Kurasia. Paulo potwierdził, że między dowódcami doszło do waśni, ale nie wie, o co poszło. Czy Kuraś dowiedział się, że Stefko był volksdeutschem i został skazany za współpracę z niemieckim okupantem – tego nie wiemy, choć niektórzy twierdzą, że tak mogło być. Nie udało się Stefcie schować pod skrzydłami PPR, nie udało się też schronić u boku „Ognia”.

Z archiwów gminy Przecław w tajemniczy sposób zniknęły dokumenty z okresu okupacji niemieckiej. Brakuje protokołów gminnych posiedzeń z czasów, gdy komisarzem gminy był Jan Stefko. Historyków IPN interesuje wyłącznie walka Stefki z władzą ludową. Co roku pod pomnikiem w Dębicy upamiętniającym egzekucję trzech żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych organizowane są patriotyczne manifestacje.

Powieszeni w 1946 r. w Dębicy młodzi ludzie nie dokonywali morderstw i grabieży z własnej inicjatywy, ktoś wydawał im rozkazy. Byli z oddziału Jana Stefki „Mściciela”.

Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Zapewniał, że każdy członek jego grupy będzie miał wynagrodzenie i wiele korzyści dla siebie.

Józef Ambrozowicz w artykule „Wyklęci czy przekłęci?” zamieszczonym w miesięczniku „Nasz Dom Rzeszów”, nr 7/2020, przytacza zeznanie Władysława Prajsnera, jednego z ludzi Jana Stefki, który na pytanie funkcjonariusza WUBP w Rzeszowie, dlaczego wstąpił do tego oddziału, odpowiedział: „Udałem się do »Mściciela«, ponieważ musiałem walczyć z bezpieczeństwem i obalić rząd Polski, a także nic nie robić, rabować i dobrze żyć”.

Na początku Stefko bardzo zabiegał, aby jego oddział wszedł w skład ugrupowania mjr. Antoniego Żubryda „Zucha”, który działał pod auspicjami Narodowych Sił Zbrojnych, ale Żubryd, widząc bandycką działalność „Mściciela”, nie bardzo miał na to ochotę. Dlatego Stefko nawiązał kontakt z kierownikiem Rady Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość

Czy więc „Mściciel” rzeczywiście był dowódcą oddziału Narodowych Sił Zbrojnych, jak napisano na pomniku w Dębicy? Nie wiadomo. Najprawdopodobniej nie podlegał nikomu.

Zastrzelony przez „Ognia”

Podczas obławy w Grudnej Jan Stefko został ranny w rękę, ale zdołał zbiec. Przez jakiś czas ukrywał się w domu znajomej. Po wyleczeniu

Jan Stefko z zawodu był murarzem. Hitlerowcy powołali go na komisarza gminnego. Pozwolono mu też założyć firmę.

przedostał się na Podhale i wstąpił do oddziału Józefa Kurasia „Ognia”. Jesienią 1946 r. doszło do nieporozumień pomiędzy „Ogniem” a „Mścicielem” i Stefko został zastrzelony w miejscowości Lasek w powiecie Nowy Targ przez Kurasia lub na jego rozkaz przez kogoś innego.

Nikt nie chce słyszeć, że ci młodzi ludzie zginęli, bo wykonywali rozkazy zwykłego bandyty, kolaborującego z hitlerowcami, który niewiele miał wspólnego z NSZ i WiN. Może tylko Józef Kuraś „Ogień” to zrozumiał.

Leszek Konarski

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

MORDERSTWA, GWAŁTY I RABUNKI!

ZAMIAST PRAWDY GLORYFIKACJA „ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH”

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki niereszutowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Olsztyńskie wojny podjazdowe

Walka idzie na noże, wszystkie chwytty dozwolone – tak określa się starcie liderów Zjednoczonej Prawicy



Michał Wypij, młodszy kolega prof. Wojciecha Maksymowicza, szuka haków na konkurentów politycznych.

Marek Książek

Odejsie z klubu parlamentarnego PiS prof. Wojciecha Maksymowicza, który najpierw skrytykował ministra zdrowia za nieskuteczną walkę z pandemią, a potem sam stał się celem ataku za rzekome eksperymenty na ludzkich płodach, nie kończy walki między PiS a Porozumieniem. Najlepiej widać to w Olsztynie, gdzie mieszka i jako neurochirurg szpitala uniwersyteckiego pracuje poseł Maksymowicz, do niedawna wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego. Do kontrataku ruszył Michał Wypij, młodszy kolega profesora, szukając haków na Jerzego Szmita, lidera PiS w regionie warmińsko-mazurskim.

Pechowy lider PiS

Wypij skierował interpelację do ministra aktywów państwowych Jacka Sasina z pytaniem, jaki udział w doprowadzeniu spółki PKP Telkol do skrajnego upadłości ma odwołany zarząd firmy, a szczególnie jego członek Jerzy Szmit. Według Wypija sprawa

wymaga transparentności z uwagi na to, że to były wiceminister infrastruktury i budownictwa w latach 2015-2017, pozbawiony tego stanowiska w niejasnych okolicznościach. Tyle że odwołanie Szmita i dwóch innych członków zarządu Telkolu miało miejsce w czerwcu 2020 r. Co świadczy o tym, że poseł Wypij tych haków szuka trochę na siłę.

Michał Wypij wszedł do rady miasta i od początku kadencji wdał się w konflikt z działaczami PiS.

Jerzy Szmit ma wyjątkowego pecha lub po prostu potwierdza się ocena, że to nieudacznik. Przegrywał w wyborach do parlamentu i na prezydenta Olsztyna, a gdy został marszałkiem województwa warmińsko-mazurskiego, był nim ledwie kilka miesięcy. Co prawda, po śmierci Aleksandra Szczygły, równorzędnego lidera PiS w regionie, dostał się do parlamentu, ale ostatnio nie znalazł się nawet na liście do Sejmu, bo skreślił go sam Jarosław Kaczyński. Ciągnęła się za nim opinia, że liderem jest

nieskutecznym, i opisana przez tabloid historia obyczajowa z warszawską kochanką (pisaaliśmy o tym w tekście „Utrącony ręką prezesa”, PRZEGLĄD, 12 września 2019). Padło hasło: „Czas na zmiany!”. Skorzystali z tego działacze partii Porozumienie Jarosława Gowina, zwłaszcza prof. Maksymowicz, znany m.in. z utworzenia kliniki Budzik dla dorosłych w Olsztynie, wspieranej przez fundację Ewy Błaszczuk. Maksymowicz został wpisany na pierwszym miejscu listy i bez problemu wszedł do Sejmu. Co jednak ciekawe, dostał się tam również startujący z ostatniego miejsca Michał Wypij, doradca w gabinecie wicepremiera Gowina.

Gitarzysta w polityce

Zaliczany do grona młodych wilczków prawicy Wypij, rocznik 1985, ukończył politologię na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, był gitarzystą w zespole punkowym, potem bluesowym. Przystojny, wygadany, pokazał się wyborcom w 2018 r., startując jako kandydat Zjednoczonej Prawicy w wyborach na prezydenta Olsztyna. Zdobył kilkanaście tysięcy głosów, zajmując w tym wyścigu trzecie miejsce, po zwycięzcy Piotrze

Grzymowiczu i jego największym rywalem – Czesławie Małkowskim. Tak dobry wynik zawdzięczał kibicom Stomilu, którym obiecał budowę nowego stadionu piłkarskiego.

Prezydentem nie został, stadionu nie buduje, ale wszedł do rady miasta i praktycznie od początku kadencji wdał się w konflikt z działaczami PiS, którzy nie mogli przełknąć sukcesu partnerów (?) z Porozumienia. Na przykład w sieci ukazało się zdjęcie przedstawiające Gowina, Maksymowicza i Donalda Tuska ▶

► w towarzystwie małpy, która pokazuje swoje... genitalia. Post miał podpis: „Kaźda pliszka swój ogonek chwali”. Zdjęcie pojawiło się na portalu, na którym oficjalne komentarze prezentują ludzie związani z PiS, w tym Jerzy Szmít. To w tym medium nazwał on Maksymowicza i Wypija „fałszywą identyfikacją” (Zjednoczonej Prawicy), więc z nim kojarzono inicjatora napaści.

O ile prof. Maksymowicz zachowywał dużą wstrzemięźliwość w odpieraniu ataków, o tyle Wypij nie pozostawał obojętny. W jednym z wywiadów powiedział wprost: „Nasze doświadczenia pokazują wyraźnie, że z ludźmi Jerzego Szmita i z samym Jerzym Szmitem nie da się współpracować. Po tym jak obrażał premiera Gowina i prof. Maksymowicza, porównując ich do zwierząt, stracił wszelkie zdolności honorowe, a także możliwość traktowania go jako poważnego polityka”. Szmit nie był mu dłużny, przyrównując go do rozkapryszonego nastolatka, który „tupie głośno i domaga się spełniania jego życzeń przez rodziców”.

– Michał nie wyrósł ze spodenek młodzieźówki i choć szybko odniósł niebawomy sukces, to przez przypadek, podczepiając się pod Gowina, a potem zwierając szyki z Maksymowiczem. Pracowity, zdolny, ale brakuje mu doświadczenia, stąd wpadki. Odważny, jednak tylko do pewnych



Jerzy Szmít ma pecha lub potwierdza opinię nieudacznika.

wraz z miejscowymi działaczami partii obiecał przedsiębiorcom z regionu dodatkowe 300 mln zł na przetrwanie pandemii. Były to gruszek na wierzbie i nic dziwnego, że PiS te obietnice zwyczajnie obśmiało.

Przejmowanie sterów w regionie

Niemniej Wypij jako szef regionalnych struktur Porozumienia nie traci animuszu i nadal realizuje strategię zdobywania przewagi nad prawicową konkurencją. „Drużyna Porozumienia jest coraz silniejsza, dołączają do nas nowi, przede wszystkim młodzi ludzie, a także osoby z doświadczeniem, przedsiębiorcy, ludzie kultury i sztuki. Ci, którym leży na sercu dobro Olsztyna i jego rozwój”, chwalił się jesienią zeszłego roku na portalu Ukiel Magazine. I dodał, że liczy

kanclerza UWM na drugiego wojewodę warmińsko-mazurskiego. W uroczystości wręczenia mu nominacji wziął udział Jarosław Gowin, co przelało czarę goryczy w szeregach PiS. Kilku działaczy tej partii zgłosiło się nawet do olsztyńskiej redakcji „Gazety Wyborczej”, wylewając żale na słabość lokalnego lidera, a jeden wyznał wprost: „Kiedy widziałem Michała Wypija oraz działaczy Porozumienia, którzy przyjechali do Olsztyna i uśmiechali się, stojąc obok Artura Chojeckiego, którego wcześniej próbowali usunąć ze stanowiska (wojewody, byłego dyrektora biura parlamentarnego Szmita – przyp. MK), to było to upokarzające dla naszego wojewody i PiS”. Drugi dodał: „To dla nas jak policzek. Porozumienie na naszym terytorium triumfuje. Wstyd, że do czegoś takiego dopuściło nasze kierownictwo”. Na razie nie słychać jednak o istotnych transferach z PiS do Porozumienia, ale do końca kadencji jeszcze daleko. Wszystko zależy od tego, na którą stronę przechyli się szala, również w skali kraju.

Na razie Porozumienie może się pochwalić znaczącym sukcesem w przejęciu Ochotniczych Hufców Pracy. A to głównie dlatego, że wywodzące się z PRL słynne OHP zaczęły podlegać Gowinowi jako wicepremierowi, ministrowi rozwoju, pracy i technologii. Dotychczasowy wojewódzki komendant OHP Dariusz Rudnik, czołowy działacz PiS, był tak zszokowany odebraniem mu tego stanowiska, że nie oddał kluczy swojemu następcy, aż ten musiał wzywać ślusarza, żeby dostać się do biura. Tym następcą został 31-letni Piotr Duliszewski, rekomendowany, a jakże, przez Michała Wypija. Wcześniej taką próbę Porozumienie podjęło w Warmińsko-Mazurskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej, gdzie prezesem był Grzegorz Smoliński, dobrze zapowiadający się działacz PiS. Został odwołany w lipcu 2019 r., jego miejsce zajął Zbigniew Targoński, także człowiek Szmita. Przetrwał ledwie rok, ale jego następcą, Krzysztof Żochowski z Elbląga – jak twierdzą niektórzy – „pogodził” obu liderów Zjednoczonej Prawicy.

Osobny rozdział wiąże się z obśadzeniem stołka dyrektora olsztyńskiego oddziału Polskiej Spółki Gazownictwa. Jerzy Szmít poniósł tam

Dni Jerzego Szmita w PiS zdają się policzone, choć poraniony zwierz potrafi kąsać.

granic. Już podczas kopertowych wyborów z 2020 r. najpierw razem z Gowinem zaatakował PiS, a potem skruszony składał wiernopoddańcze hołdy Kaczyńskiemu – ocenia uważny obserwator olsztyńskiej sceny politycznej, kolega Wypija. O prof. Maksymowiczu mówi z kolei, że to postać nietuzinkowa, ale wyposażona w prześnięte ego, mająca kręgosłup moralny, lecz tylko w swoim mniemaniu. Bo Wojciech Maksymowicz wcześniej był ministrem zdrowia w rządzie Jerzego Buzka (AWS), a potem należał do Partii Centrum i Platformy Obywatelskiej, by w 2013 r. związać się z Jarosławem Gowinem. Gdy lider Porozumienia był niedawno w Olsztynie,

na wygraną w kolejnych wyborach na prezydenta Olsztyna. Co ciekawe, przyszłego prezydenta miasta widzi w Wypiju nawet Iwona Arent, „wiecznie druga” działaczka PiS w regionie, przez pewien czas związana z agentem Tomkiem, choć potem się od niego odcięła.

Zanim w 2023 r. dojdzie do wyborów samorządowych, Wypij i jego koledzy przejmują od PiS stanowiska, a przynajmniej próbują tam, gdzie mają szansę. Już ponad rok temu w miejscowych mediach pojawiły się nagłówki typu: „Porozumienie przejmuje stery w regionie”, a pod nimi wiadomość o przejściu członka tej partii Aleksandra Sochy z funkcji

kolejną porażkę, gdy w lutym tego roku odwołano związanego z nim Edwarda Gollenta. Dziennikarz lokalnego, prawicowego portalu Debata obwieścił, że te ruchy kadrowe „można odczytywać jako stopniowe, ale konsekwentne pozbawianie prezesa Szmita zaplecza kadrowego i tym samym osłabianie jego pozycji politycznej, która i tak nie była mocna”. Wśród kandydatów na dyrektora oddziału PSG wymienił olsztyniankę Agnieszkę Wieliczko, znaną także z naszych łamów działaczkę PiS, asystentkę społeczną pochodzącego z warmińskiej Czerwoni ministra obrony narodowej Aleksandra Szczygły (zginął w katastrofie smoleńskiej). Terminowała najpierw w branży zbrojeniowej, potem przeszła do służb geologicznych („Ze zbrojeniówki do geologii”, PRZEGLĄD, 27 maja 2019). A stąd do gazownictwa już tylko krok. Na razie jednak sprawa jest nierozstrzygnięta, a stołek p.o. dyrektora w olsztyńskiej PSG zajmuje dotychczasowy zastępca. Nie jest wykluczone, jak sugeruje wspomniany dziennikarz,

że Agnieszka Wieliczko przejmie po Szmitcie władzę w strukturach warmińsko-mazurskiego PiS.

Pułkownik recenzuje ministra

Dni Jerzego Szmita w tej partii zdają się policzone, choć poraniony zwierz potrafi kąsać. Nie jest też pewna kariera jego najgroźniejszego przeciwnika – Michała Wypija, bo już Czesław Małkowski czy nawet obecny prezydent miasta Piotr Grzymowicz w tej konkurencji się nie liczą. Nie tyle sam lider regionalnego Porozumienia sobie zaszkodził, ile zrobił to jego ojciec, płk Piotr Wypij, były szef delegatur Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Olsztynie i Gdańsku. Jak ujawnia portal Gazeta.pl, zrecenzował on wydaną na początku tego roku książkę „Kamiński”. Chodzi o Mariusza Kamińskiego, ministra spraw wewnętrznych, twórcę CBA i nade wszystko wiceprezesa PiS. Wypij senior zadał w recenzji kilka prostych pytań: „Kim jest Mariusz Kamiński i jaka jest jego prawdziwa historia? Czy jest bohaterem minionego okresu, czy tylko

wykorzystuje stanowisko koordynatora służb specjalnych, aby promować swoją osobę? Książka autorstwa Jana Pińskiego i Tomasza Szwejgierta ukazuje koordynatora w dokumentach, również w dokumentach wytworzonych przez Służbę Bezpieczeństwa. To czytelnik musi sam sobie odpowiedzieć, kim jest opisywany człowiek, bohaterem czy tylko atrapą?”.

W zestawieniu z opisem wydawcy, który pyta, czy szef służb PiS współpracował z bezpieczeństwem PRL, recenzja pułkownika ABW daje wiele do myślenia, choć na Nowogrodzkiej książkę ocenia się jako niewiarygodną. Niemniej uderza ona rykoszetem w Wypija juniora, któremu Zjednoczona Prawica nie planuje dawać miejsca na liście w wyborach parlamentarnych. Pod warunkiem że prawica nadal będzie zjednoczona. Co prawda, Michał Wypij zastrzega, że prowadzi samodzielną działalność polityczną i za ojca nie odpowiada, ale w tej formacji raczej nie ma już czego szukać. Zgodnie z zasadą WZZ: Wypij, zagryź i zapomnij.

Marek Książek



1901

2021

Bach

2020 / 2021

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

**Filharmonia
Narodowa**

6.05 czwartek / 19:00
Sala Koncertowa
Recital fortepianowy

Piotr Anderszewski
fortepian

Johann Sebastian Bach
Preludia i fugi z II tomu
Das Wohltemperierte Klavier (wybór)

Na koncert zaprasza
Strategiczny Mecenasa Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Organizator



**Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu**

SOCJALDEMOKRACJA to nie neoliberalizm z ludzką twarzą

Lewica nie musi się wstydzić swoich sukcesów. Gorzej, że bardzo nie chce zrozumieć przyczyny licznych porażek

Rozmawia Jakub Dymek

Obchodzimy w tym roku 20. rocznicę największych sukcesów tzw. lewicowej trzeciej drogi, ostatnich tak udanych dla socjaldemokracji wyborów w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Polsce i innych krajach. Jednak dziś, szczególnie wśród najmłodszego pokolenia badaczy i publicystów, trzecia droga nie cieszy się sympatią, i to delikatnie mówiąc. Ty zaś na przekór przekonujesz, że socjaldemokracja nie tylko nie ma się czego wstydzić, ale i ma z czego być dumna.

– Jak mówił Wolter, historyk zna dwie rozkosze: obalać stare kłamstwa i odkrywać nowe prawdy. Żadnej nowej prawdy akurat nie odkrywam, pisząc o chlubnej przeszłości choćby brytyjskiej Partii Pracy. Ale próbuję obalić kłamstwo założycielskie, pod którym podpisuje się też część najmłodszej lewicy. To kłamstwo brzmi: socjaldemokracja jest neoliberalizmem z ludzką twarzą. A co udało się realnie osiągnąć za czasów blairyzmu w Wielkiej Brytanii? Największe w historii nakłady na edukację, służbę zdrowia, świadczenia socjalne. Przełożyły się one na dziesiątki tysięcy nowych miejsc pracy dla lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli. Dalej: spadek ubóstwa wśród dzieci o 600 tys. i o milion wśród emerytów.

Spadek bezrobocia wśród młodych o trzy czwarte i spadek przestępczości o prawie jedną trzecią. Wprowadzenie płacy minimalnej, urlopy ojcowskie, darmowe żłobki i muzea, milion tanich mieszkań, pierwsze ustawodawstwo zwalczające globalne ocieplenie. Lista dokonań tamtych rządów jest długa. Jakkolwiek nazwiemy to, co się tam działo, nie był to neoliberalizm – o co dzisiaj młodzi i bardziej radykalnie usposobieni komentatorzy oskarżają socjaldemokratów.

Obok sukcesów, o których mówisz, są jeszcze inwazja na Irak i tzw. wojna z terroryzmem, których konsekwencje ciągną się do dziś za lewicą europejską i dają się we znaki na świecie.

– Irak był porażką, a więc błędem. Mógłbym podawać argumenty „za”, bo bliższa mi choćby popierająca interwencję lewica kurdyjska aniżeli konserwatywni wrogowie „destabilizacji” w rodzaju Chiraca czy Kissingera. Ale ten spór jest

MARCIN GIEŁZAK

– przedsiębiorca i publicysta.

Redaktor naczelny ProjektKonsens.pl, członek rady fundacji Ambitna Polska, autor i współautor książek: „Antykomuniści lewicy”, „Crowdfunding”, „O niepodległość i socjalizm”.



zamknięty, koalicja pod wodzą USA nie zrealizowała zakładanych celów, a dołożyła sobie i światu problemów i nieszczęść. Blair miał rację w Bośni, ale zupełnie nie docenił skali wyzwania w Iraku. W tym sensie przypomina Lyndona Johnsona, którego pamiętamy nie za postępowe reformy spod znaku Great Society czy równouprawnienie czarnych Amerykanów, ale za Wietnam.

Na świecie w ramach trzeciej drogi mieliśmy i clintonizm, i Nowych Demokratów w USA, rządy SPD w Niemczech czy SLD w Polsce. Czy ta wizja wielkich sukcesów lewicy, o której mówisz, naprawdę realizuje się wszędzie?

– Nie, trzeba patrzeć na te zjawiska osobno. Clinton w USA przesunął Partię Demokratyczną w kierunku prawicy. W większości kwestii był na prawo nawet od Nixona. Za jego prezydentury można było bez ironii mówić, że w Ameryce jest jedna partia z dwoma prawymi skrzydłami. W Polsce zaś rządził SLD, który był – jak powiedział kiedyś Krzysztof Janik – umiarkowanie liberalny rynkowo i umiarkowanie konserwatywny społecznie. Ludzie, którzy zaczęli dopisywać się do SLD w czasach sukcesów Sojuszu, nie byli, mówiąc łagodnie, młodymi ideowcami (śmiech). SLD w czasach swoich rządów był partią rodzącą się polskiej klasy średniej, która miała program dla tej klasy średniej. Wynika z tego wszystkiego tyle, że każdy rząd socjaldemokratyczny musimy oceniać we właściwym mu kontekście.

SLD w czasach swoich rządów był partią rodzącą się klasy średniej, która miała program dla tej klasy średniej.

Skoro jednak każda socjaldemokracja na początku XXI w. była inna, to dlaczego potem wszystkie poszły podobną drogą – zaaprobowania globalizacji, wiary w instytucje międzynarodowe i ład, którego strzec będzie Ameryka, a także w program merytokracji i obietnice gospodarki opartej na wiedzy?

– Zacznijmy od tego, że program lewicy wyczerpał się wskutek sukcesu. Gdybyśmy socjaldemokratom sprzed stu lat powiedzieli, że w państwach kapitalistycznych będą płaca minimalna, płatne urlopy

rodzicielskie, bezpłatna edukacja i służba zdrowia oraz finansowane z podatków usługi publiczne na wysokim poziomie, skakaliby z radości! Po II wojnie światowej wszyscy w świecie Zachodu uznali program lewicy za w pewnej mierze uniwersalny i czerpały z niego wszystkie siły polityczne. Towarzyszyła temu swoista konwergencja socjalizmu i liberalizmu, którą nazwalismy trzecią drogą. Wydawało się wtedy, że partie liberalne są zbędne: socjaldemokraci dawali te same wolności

Lewica zawsze wchodziła do wielkiej polityki przez bramę narodową. Albo była patriotyczna, albo nie było jej wcale.

i swobody, a mieli też atrakcyjne wyborcze pakiety socjalne. Włączenie nazbyt wielu elementów liberalnych okazało się jednak dla lewicy groźne. **Dlaczego?**

– Bezkrytyczna akceptacja globalizacji – w wymiarze europejskim, reprezentowanym przez UE, i światowym – była błędem. Asymetryczny dostęp do rynku pracy, czyli to, że Brytyjczyk łatwiej znajdzie w Wielkiej Brytanii pracę niż Polak, byłby dla socjaldemokratycznych polityków sprzed 50 lat czymś oczywistym. Podobnie jak to, że własne przedsiębiorstwa i przemysł trzeba chronić. Dla Tony'ego Blaira to już nie było oczywistością. On miał 100-milionową rezerwową armię pracowników w Europie Środkowej, co doprowadziło do większych trud-

ności w znalezieniu pracy przez gorzej wykształconych Brytyjczyków, do tzw. dumpingu socjalnego i tego, że płace krajowych pracowników przestały rosnąć. Bo imigranci napędzali wyjść w dół.

A część miejsc pracy po prostu przeniesiono na zawsze do Europy Wschodniej albo do Azji.

– Ekonomistom może podobano się, że dzięki globalizacji malał współczynnik ubóstwa np. w Gwatemali, ale już wyborcom w Ameryce niekoniecznie. Nie jest też tajemnicą, że tradycyjna polityka Partii

Pracy w Anglii czy skandynawskiej socjaldemokracji była doprawiona pewną dozą eurosceptycyzmu. Tradycyjna lewica była niechętna rozwiązaniom, dzięki którym można było obniżyć pensje albo łatwiej zamknąć fabrykę, bo krajowa gospodarka staje się częścią zde-regulowanego globalnego rynku. W końcu – zamykając temat globalizacji – lewicy zaszkodziło szukanie „zastępczych proletariatów”. Tworzenie koalicji tak wielu mniejszości, aż ueziera się z nich większość...

Mówisz o tym, co dziś nazywa się polityką tożsamości?

– Tak, o przekonaniu, że jak połączymy mniejszości seksualne, religijne, etnicznie i inne, to ueziera się nam dość liczna koalicja. Każda z tych grup ma w tym sensie „dobre papiery” na wykluczenie – lewica może dzięki temu przedstawiać się jako ta siła, która bro-ni słabszych. A ja uważam, że jeśli z tęczową flagą obnoszą się wszystkie największe firmy z listy Fortune 500, brytyjska rodzina królewska i amerykańskie siły zbrojne, to nie jest polityka lewicowa.

Lewica musi rozumieć, że nie istnieją wyłącznie jednostki, a światem nie rządzą tylko kontrakty między osobami – bo niczym nie będzie wtedy się różnić od Margaret Thatcher, która powtarzała, że „społeczeństwo nie istnieje”. To, że pochylamy się nad tym, jaki kto chce sobie wybrać zaimek albo ilu ge-ów z klasy średniej lub wyższej trafi do zarządu jakiejś globalnej firmy, wynika z tego, że lewica przyswoiła sobie w całości liberalne rozumienie świata, wedle którego prawa i osobiste szczęście jednostek są ważniejsze niż możliwość zmiany niesprawiedliwego systemu.

Nie chodzi o to, żeby prawa mniejszości postawić nad prawami pracowników czy socjalnymi. Nowa lewica w odpowiedzi na przytaczany przez ciebie argument mówi po prostu, że obok nierówności ekonomicznych niektóre grupy doświadczają jeszcze nienawiści i dyskryminacji z powodu koloru skóry, płci ▶

► **lub tożsamości seksualnej. I z tym, jak niegdyś z klerykalizmem albo antysemityzmem, chce walczyć.**

– Na stronie wyborczej Hillary Clinton był program dla kobiet, program dla gejów i lesbijek, program dla osób transpłciowych, program dla Latynosów, ale nigdzie nie było programu dla Amerykanów. Nie było narracji pozwalającej zbudować wspólnotę interesu na tyle szeroką i przekrojową, aby wygrać wybory.

Bezkrytyczna akceptacja globalizacji była błędem lewicy.

I to dość często powtarzana diagnoza porażki Clinton, prawda?

– Partie lewicowe i progresywne powinny już się nauczyć, że porażki wyborcze mają konsekwencje. Jak ktoś chce mieć ogólnie słuszną wizję świata i najpiękniejsze ideały, powinien się zająć publicystyką albo pracą w organizacji pozarządowej. Polityka jest od tego, żeby wygrywać wybory. Partie nowolewicowe seriami dziś przegrywają wybory. Brytyjska Partia Pracy pod wodzą Jeremy'ego Corbyna poniosła największą wyborczą klęskę w historii i straciła 59 mandatów w Izbie Gmin – w tym w miejscach, gdzie dotychczas lewica mogła wystawić przysłówiową już sarnę z krzyżem na głowie i wygrać. W Polsce partia Razem miała w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego wynik w granicach błędu statystycznego. Dzisiaj jej sześćcioro posłów i posłanek jest w Sejmie, bo weszło tam dzięki SLD, które z reprezentowaną przez młodych razemowców lewicowością nie ma z kolei nic wspólnego.

Ale co twoim zdaniem łączy porażkę surowego Jeremy'ego Corbyna w Wielkiej Brytanii, który miał symbolizować powrót do związkowych i robotniczych korzeni oraz odwrót od elitaryzmu brytyjskiej polityki, z porażką partii Razem, która wywodzi się z wielkomiejskiej inteligencji?

– Powiem coś bardzo obecnie niepopularnego: lewica zawsze wchodziła do wielkiej polityki przez bramę narodową. Albo była patriotyczna, albo nie było jej wcale. PiS

w Polsce to doskonale rozgrywa – ludzie, których nie wpuszczono do klasy średniej w III RP, dostali nagrodę pocieszenia i włączono ich w tradycję „żołnierzy wyklętych”, chwały polskiego oręża i Armii Krajowej, szlachty, Sarmatów i bitwy pod Grunwaldem. Słowem, pewną politykę redystrybucji, niechęć do liberalizmu ekonomicznego i globalizacji połączono z silnym narodowym mitem oraz inkluzywną polityką tożsamościową. A mówiąc

prościej, dokonano zbiorowej nobilitacji „zwykłych Polaków”.

Co w Polsce może dziwić, taką politykę prowadziła kiedyś socjaldemokracja skandynawska i dziś np. wraca do niej w Danii. Tamtejsza socjaldemokracja wygrała na obietnicach ograniczenia migracji, i to radykalnego. Wygrała ze skrajną prawicą w jej własnej grze. Pełnomocnik rządu ds. imigracji zapytany, jak jego partia może popierać antyimigracyjną politykę, kiedy jego własny ojciec pochodził z Etiopii, odpowiedział: „Jestem z pochodzenia Etiopczykiem, ale z zawodu byłem murarzem”.

Wewnątrzśrodowiskowe spory między feministkami i osobami transpłciowymi zwykłego wyborcę po prostu od lewicy odrzucają.

W Europie, gdzie imigranci zarobkowi spoza kontynentu zawsze byli wyzyskiwani, to, co mówisz, było jednak nie bez powodu wielkim tabu na lewicy – dzielenie robotników na lepszych i gorszych. To nie jest zupełnie niewinny pogląd.

– Ale dzisiaj ta lewica w Danii to także dzieci tych murarzy i robotników sprzed lat – i chce praw socjalnych tu i teraz, dla siebie jako Duńczyków, a nie obietnicy multietnicznego raju w przyszłości. Niekoniecznie chce też przeproszać za bycie Duńczykami. A wracając na chwilę do Wielkiej Brytanii, taki Jeremy Corbyn przez całą swoją kadencję szefa Partii Pracy potępiał wszystko, co brytyjskie: od flagi, przez rodzinę królewską, po tradycję i historię. Za to nie było

antybrytyjskiego dyktatora czy reżimu albo organizacji, których by za coś nie pochwalił. W kwestii, powiedzmy, brytyjskiej polityki w Irlandii byłbym w stanie przyznać mu rację, ale nie mówiłbym tego, gdybym kandydował na premiera Wielkiej Brytanii.

Czytam teraz program młodzieżówki lewicy w Polsce...

A co do tego ma jeszcze młodzieżówka lewicy w Polsce?

– Czytam, że chce Europejskiej Federacji i Europejskich Sił Zbrojnych. I chce iść do Polaków, przekonując, że zamiast naszej armii mamy tworzyć paneuropejską Legię Cudzoziemską do obrony francuskich interesów w Mali i Czadzie?!

Teraz to jest publicystyczna przesada. Młoda Lewica może sobie mówić dużo niemądrych rzeczy, ale nie sądzę, by chciała rozwiązania państw narodowych i pozbawienia ich możliwości posiadania armii.

– Cytuję z deklaracji programowej „O taką Polskę”. Przeciętny wyborca ma prawo zapytać, czy Polska w ogóle jest do czegośkolwiek potrzebna. Tylko że największe sukcesy lewicy w historii dokonały się właśnie w ramach państwa narodowego. Demokracje, które pokazujemy sobie jako wzór,

Skandynawia, to organizmy homogeniczne etnicznie i kulturowo, które zazdrośnie strzegą swojej suwerenności, energetyki, waluty narodowej i armii z poboru. Socjaldemokracja w Skandynawii przekroczyła dwa paradoksy i zadała kłam dwóm lewicowym aksjomatom naraz – socjalizm działa tylko „w jednym kraju” i tylko jeśli rynek sprawi, że jest co redystrybuować.

Ale ostatecznie amerykańscy demokraci i Joe Biden, choć przez ostatnie lata posługiwali się jedynie prostym antytrumpizmem i polityką tożsamości, wygrali. Jak wytłumaczyć tę sprzeczność?

– Odrzucając tezę zawartą w pytaniu. Gdyby kandydatką została Elisabeth Warren, mielibyśmy już kolejną kadencję Trumpa.

Czyli po prostu uważasz, że kobieta musiała przegrać.

– Nie, tak samo byłoby, gdyby nominację otrzymał – dajmy na to – Cory Booker. Demokraci wygrali, bo wystawili kogoś tak starego i przewidywalnego jak Biden. Przeciętny wyborca nie musiał się zastanawiać, czy to ktoś, kto będzie salutować wojskowym, kłaniać się fladze i przysięgać na Biblię. Joe Biden zawsze mówi *God Bless America*. Lewica musi zrozumieć, że skuteczna

nad Trumpem. Gdyby powierzyć tę kampanię amerykańskiej lewicy tożsamościowej, Trump mógłby być spokojny o swoje miejsce w Białym Domu.

Czy twoim zdaniem te wszystkie lekcje z sukcesów i porażek lewicy na Zachodzie wprost przekładają się na Polskę?

– Zdecydowanie. Każdy lider jakkolwiek rozumianej lewicy w Polsce – czy Daszyński, czy Kwaśniewski – musiał zdać swego rodzaju

angażując masowego wyborcę – raczej polityka mieszkaniowa niż wewnętrzny środowiskowy spór między feministkami i osobami transpłciowymi. Bo to ostatnie zwykłego wyborcę po prostu od lewicy odrzuca. I po trzecie, liczy się zrozumienie, że każda polityka ostatecznie jest lokalna. Nie mam nic przeciwko importowaniu dobrych praktyk, rozwiązań politycznych i tematów z innych krajów – możemy do woli inspirować się Skandynawią, USA czy Wielką Brytanią. Dopóki bierzemy od nich dobre pomysły i jesteśmy w stanie osadzić je na krajowym gruncie.

Czyli chcesz powiedzieć Dmowski, że „polska lewica powinna być polska i mieć obywatelki polskie”?

– Jak już powiedziałem, może też nie być jej wcale. My mamy brać z zagranicy cudze rozwiązania, a nie problemy.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com

Za czasów blairyzmu w Wielkiej Brytanii udało się osiągnąć największe w historii nakłady na edukację, służbę zdrowia, świadczenia socjalne.

polityka masowa musi być socjalna w treści i narodowa w formie. Złagodzenie przekazu i kursu wobec zradikalizowanych mediów i debaty publicznej oraz lewego – głośnego, choć nielicznego – skrzydła Partii Demokratycznej umożliwiło drużynie Biden-Harris zwycięstwo

„egzamin ze stosunku do sprawy polskiej”. I ci skuteczni liderzy, również w ostatnim 20-leciu, dzięki wybieraniu interesu Polski choćby w sprawach integracji z UE i NATO, ten egzamin zdali. To po pierwsze. Po drugie, trzeba budować polityczny przekaz wokół spraw, które



W bieżącym numerze także:

- Michał Rozworski
Pandemia nie przekonała
- ▶ **do dochodu podstawowego**
- Philippe Baqué
▶ **Jak państwo terroryzuje antyterrorystów**
- ▶ **Romain Mielcarek**
- W Sahelu Francja wojny**
- ▶ **zleca podwykonawcom**
- Tomasz S. Markiewka
▶ **Przeciw zielonej polityce zaciskania pasa**

Do nabycia w salonach prasowych empię
Roczna prenumerata (6 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

GÓRNICY W CZARNEJ DZIURZE

...czyli ostatnia szarża grubiorzy*

Marek Czarkowski

W środę, 28 kwietnia, przedstawiciele górniczych związków zawodowych podpisali z przedstawicielami rządu uzgodniony w ubiegłym tygodniu program transformacji górnictwa węgla kamiennego oraz Górnego Śląska. W myśl umowy społecznej kopalnie mają być stopniowo zamykane do roku 2049. A cały region zostanie objęty szerokim planem pomocowym. Opisano w nim mechanizmy subsydiowania wydobycia węgla oraz osłon socjalnych dla odchodzących z pracy górników.

Jeden z punktów przewiduje uruchomienie w 2024 r. w Jaworznie fabryki polskich samochodów elektrycznych Ilera. Co prawda, obiecanie przez premiera Morawieckiego auta miały zjechać z linii produkcyjnej już dwa lata wcześniej, ale kto dziś o tym pamięta? Inwestycja

węgla kamiennym i brunatnym. 70% energii elektrycznej produkujemy z tych surowców. W przeszłości udział ten był jeszcze wyższy i przez dekady rodzimy przemysł korzystał z tego pełnymi garściami. To nie przypadek, że w czasach Polski Ludowej z rozmachem budowano przemysł ciężki. Większość naszych elektrowni powstała w latach 50., 60. i 70. i miała zaspokoić potrzeby hut, fabryk turbin, silników, przemysłu stoczniowego itp. Węgiel – polskie czarne złoto – którego transporty pierwszej powojennej zimy 1945/1946 r. ratowały głodnych i marznących mieszkańców Mediolanu, Wiednia, Budapesztu i Belgradu, przez dekady był wielkim atutem naszego kraju. Eksport węgla w czasach PRL był źródłem dewiz oraz taniej energii elektrycznej.

Ceną, jaką przyszło płacić, było zanieczyszczenie środowiska

koncerny do drastycznych podwyżek. A to negatywnie odbije się na całej gospodarce.

Rezerwy finansowe na przeprowadzenie transformacji są więc nie skromne. W ostatnich latach rosnęły straty sektora górnictwa. Według danych Ministerstwa Aktywów Państwowych w 2020 r. sięgnęły one 4,332 mld zł. Gorszy był tylko rok 2015, w którym spółki węglowe musiały się pogodzić ze stratą 4,5 mld zł. Polska Agencja Prasowa, powołując się na dane rządowe, podała, że w roku ubiegłym na każdym tonie sprzedanego węgla nasze kopalnie traciły średnio 54 zł. To oczywiście, że tak prowadzony biznes długo nie pociągnie.

Zajęta walką z pandemią opinia publiczna nawet nie zauważyła 1 mld zł pożyczki płynnościowej, przekazanej przez Polski Fundusz Rozwoju 8 kwietnia br. na rachunek Polskiej Grupy Górniczej. Oficjalnie w ramach kolejnej tarczy antykryzysowej. Mniej oficjalnie – by

Nasze opalane węglem elektrownie wytwarzają ok. 60% energii elektrycznej. Nie da się z roku na rok zastąpić ich kotłami na gaz.

w fabrykę „elektryków” ma się zamknąć w kwocie 4-5 mld zł i zapewnić tysiące nowych miejsc pracy dla mieszkańców Śląska.

Porozumienie wejdzie w życie, jeśli zostanie notyfikowane przez Komisję Europejską, która powinna się zgodzić na opisany w nim mechanizm wsparcia publicznego. Ale nie jest pewne, czy tak się stanie. Wydatki, zwłaszcza socjalne, oraz te bezpośrednio przeznaczone na zmiany w górnictwie i polskiej energetyce, trzeba liczyć w setkach miliardów złotych. Będzie to najkosztowniejsza i najtrudniejsza, rozciągnięta na 30 lat reforma, przed którą stanęła polska gospodarka. I nie mamy wyjścia.

Przekleństwo czarnego złota

Przywykliśmy myśleć, że nasz kraj węglem stoi. Natura hojnie obdarzyła nas tą skałą osadową pochodzenia roślinnego. Polska energetyka była i jest oparta na

naturalnego. W krajach zachodnich, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Francji, już w latach 80. zdecydowano, że energetyka węglowa, a więc i kopalnie, to przeszłość.

Powodem była nie tylko chęć ograniczenia szkód środowiskowych. Przede wszystkim chodziło o rosnące koszty wydobycia węgla, a co za tym idzie – koszty produkcji prądu. Bardziej opłacalne okazały się elektrownie jądrowe i opalane gazem. My fedrowaliśmy na potęgę. W nadchodzących latach przyjdzie nam zamykać kopalnie i przekształcać energetykę pod presją czasu i zobowiązań wynikających z naszego członkostwa w Unii Europejskiej.

Co gorsza, rosnące w szybkim tempie ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla mogą wkrótce sięgnąć 50 i więcej euro za tonę, co postawi pod znakiem zapytania opłacalność produkcji energii elektrycznej w polskich elektrowniach węglowych i zmusi

ratować przed upadkiem największe tego typu przedsiębiorstwo w Europie. Powstało ono w 2016 r. w celu ratowania majątku i zobowiązań bankrutującej Kompanii Węglowej. Na spłatę 1 mld zł Polska Grupa Górnicza będzie miała czas do końca lutego 2025 r., lecz nikt nie winy, że jej się uda. Czyli za jakiś czas znów przyjdzie ratować upadającą PGG.

Sytuację branży górniczej może pogorszyć nawet lekka zima. Wtedy na przykopalnianych placach rosną hałdy niesprzedanego węgla. W roku ubiegłym szacowano, że było to ok. 7 mln ton. Drugie tyle zalegało przy elektrowniach i elektrociepłowniach. I nie wiadomo było, co z tym robić. Ostatecznie od roku 2018 węgiel kupowała Agencja Rezerw Materiałowych, wspierając polskie kopalnie.

W ubiegłym roku rząd Mateusza Morawieckiego – o czym pisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU – licząc na ogromne unijne dotacje, podjął daleko idące zobowiązania wobec



Komisji Europejskiej dotyczące odchodzenia od energetyki węglowej. Co oznacza konieczność zamykania w przyszłości nie tylko kopalń, ale i elektrowni węglowych. Tak staliśmy się świadkami początku rozłożonego na lata procesu.

Zamykać czy nie zamykać

Likwidacja kopalń to jedno, a rezygnacja z węgla kamiennego w energetyce – drugie. Mało kto wie, że system ciepłowniczy Warszawy jest trzecim po Moskwie i Petersburgu największym tego rodzaju rozwiązaniem w Europie. Elektrociepłownia Siekierki jest drugą co do wielkości w Europie opalaną węglem. Inne miasta także korzystają z takich zakładów. Polskie elektrociepłownie zapewniają mieszkańcom dużych miast ciepłą wodę i ogrzewanie zimą po niskich kosztach w porównaniu z zachodnimi metropoliami. Dlatego nad Wisłą nie da się w prosty sposób zastąpić czarnego złota odnawialnymi źródłami energii lub gazem. Choćby dlatego, że wymaga to gigantycznych nakładów. A nie jesteśmy tak bogaci jak Niemcy czy Francuzi.

Nasze opalane węglem elektrownie wytwarzają ok. 60% energii elektrycznej. Nie da się z roku na rok zastąpić ich kotłami na gaz. Każda taka zmiana oznacza drastyczny wzrost cen prądu.

Z drugiej strony rośnie liczba odnawialnych źródeł energii, które w myśl zapisów prawa energetycznego mają pierwszeństwo wejścia do krajowego systemu energetycznego. Elektrowniom węglowym coraz trudniej z nimi konkurować.

Dlatego będzie się nasilała presja na sprowadzanie taniego surowca z Rosji. A jeszcze lepiej z Donbasu. Mimo fatalnych relacji polsko-rosyjskich na szczeblu rządowym ten biznes kwitnie. W roku 2018 sprowadziliśmy ze Wschodu 9,9 mln ton, rok później – 8,02 mln ton. Na dane za rok 2020 przyjdzie trochę poczekać. Przy czym rosyjski węgiel jest tańszy niż krajowy i na ogół lepszej jakości.

Zamykanie śląskich kopalń będzie oznaczało wzrost importu węgla zza wschodniej granicy. Przemawia za tym rachunek ekonomiczny. Bo nacisk, by ceny energii elektrycznej nie rosły zbyt szybko, będzie potężny. A transformacja polskich elektrowni

oznacza wydatki. Na przykład koszt budowy opalanej węglem osławionej Elektrowni Ostrołęka C, miał się zamknąć w kwocie ok. 6 mld zł. Po wydaniu 1 mld zł i rezygnacji z tych planów zdecydowano się na zastąpienie instalacji węglowej gazową. Jaki będzie ostateczny koszt „nowej”, bardziej ekologicznej Ostrołęki C? Na razie nie wiadomo. Z pewnością nie mniejszy niż wspomniane 6 mld zł.

A mamy w Polsce 19 dużych elektrowni zawodowych, z czego dwie są w stanie likwidacji. I aż 34 elektrociepłownie. Większość opalana jest węglem kamiennym. Najstarsze – dwie dolnośląskie elektrociepłownie, Czechnica i Wrocław – zostały uruchomione na początku XX w.

Prowadzona przez Unię Europejską polityka ograniczania emisji dwutlenku węgla i innych gazów cieplarnianych do atmosfery oznacza wzrost kosztów produkcji energii elektrycznej z węgla.

Lecz jeśli wierzyć najnowszym raportom, na świecie rośnie wydobycie tego paliwa i liczba korzystających z niego elektrowni. Dzieje się tak głównie w Azji.

► Na naszym kontynencie liderem pod względem emisji gazów cieplarnianych są... Niemcy. Przed Wielką Brytanią, Francją, Włochami i Polską. Do pogorszenia klimatu przyczyniają się nie tylko elektrownie, ale również samochody i samoloty, których w Europie nie brakuje. Stąd nacisk na zastąpienie w transporcie silników spalinowych elektrycznymi. Co z kolei przełoży się na wzrost zapotrzebowania na prąd. I koło się zamyka.

Presja, by ceny energii elektrycznej nie rosły zbyt szybko, będzie potężna.

W marcu 2017 r. premier Mateusz Morawiecki obiecywał milion samochodów elektrycznych na polskich drogach w roku 2025. Strach pomyśleć, ile energii musielibyśmy produkować, by zaspokoić potrzeby właścicieli tych „elektryków”. Nie wspominając o wydatkach na budowę infrastruktury niezbędnej do ich ładowania. Może się okazać, że jeśli w Polsce pojawi się choćby kilkaset tysięcy samochodów elektrycznych, elektrownie węglowe nadal będą potrzebne. A to oznacza, że z planami zamykania kopalń nie należy się śpieszyć. W rozmowach z Komisją Europejską rząd będzie zatem lawirował i przeciągał terminy, jak długo się da. W Sejmie od dawna krążą pogłoski o tajnych negocjacjach w Brukseli przedstawicieli Ministerstwa Klimatu. Ich celem jest utrzymanie w ruchu po roku 2025 jak największej liczby starszych elektrowni węglowych. Gdyby te pertraktacje zakończyły się fiaskiem, straciłobyśmy 10 tys. MW mocy, której nie byłoby czym zastąpić. Bo zamiast budować nowe elektrownie, mamy... plany ich budowy.

Żadnych złudzeń, panowie

Od lat górnicze związki zawodowe twardo negocjują z rządem warunki kolejnych porozumień. Wiedzą, że w Europie przyszłość kopalń i energetyki opartej na węglu jest przesądzona, na poważne inwestycje w polskim górnictwie też nie mogą liczyć. A to oznacza, że warunki pracy w śląskich kopalniach będą coraz trudniejsze. Co z kolei przełoży się na wzrost kosztów wydobycia i utratę konkurencyjności wobec surowca

z importu. Dbanie o swoje interesy sprowadza się najczęściej do utrzymania wysokich zarobków. W połowie lutego br. pracownikom wspomnianej już ledwo dyszącej Polskiej Grupy Górniczej w ramach tzw. Karty górnika wypłacono łącznie 300 mln zł premii. A media obiegała informacja, że grudniowe średnie wynagrodzenie w sektorze wydobycia węgla kamiennego i brunatnego w Polsce wyniosło rekordowe 18,7 tys. zł, co było związane z wypłatą świątecznych premii.

W rzeczywistości górnicy, zwłaszcza ci o niskich kwalifikacjach, zarabiają znacznie mniej.

Najnowszy pomysł ministra aktywów państwowych Jacka Sasina na reformę górnictwa polega na powołaniu do życia Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, która „zdjęłaby węglowe brzemie z należących do skarbu państwa spółek energetycznych”. Innymi słowy, rząd chce oddzielić kopalnie od elektrowni i włączyć je do NABE, by zachęcić spółki energetyczne do inwestycji w OZE i inne nowoczesne technologie produkcji energii elektrycznej. Dziś nie są one do tego skłonne, gdyż ponoszą olbrzymie koszty utrzymania kopalń.

W kopalniach węgla kamiennego zatrudnionych jest ok. 75 tys. osób, w otoczeniu górnictwa nawet 400 tys.

Co ciekawe, w roku 2015, po wygranych wyborach, PiS przystąpiło do realizacji odwrotnej koncepcji – łączenia kopalń z koncernami energetycznymi. W ten sposób rząd chciał stabilizować wzrost cen energii elektrycznej i sprawniej realizować transformację sektorów górniczego i energetycznego. Trudno zliczyć publikacje „ekspertów” i deklaracje polityków PiS zachwalające to rewolucyjne rozwiązanie.

Mam przeczuć, graniczące z pewnością, że z Narodową Agencją Bezpieczeństwa Energetycznego będzie podobnie. Po kilku latach okaże się, że to „umieralnia” dla kopalń. I świetnie płatne posady w zarządach i radach nadzorczych dla partyjnych kumotrów.

W kopalniach wydobywających węgiel kamienny zatrudnionych jest ok. 75 tys. osób. W likwidowanych kopalniach pracuje 1750 osób. Znacznie więcej pracowników związanych jest z otoczeniem górnictwa. Szacunki mówią nawet o 400 tys. To ich dotkną programy restrukturyzacji i nie możemy się dziwić, że twardo walczą o swoje. W latach 90. można było przekonać robotników do wyrzeczeń w imię świetlanej przyszłości i dobra ogółu. Dziś to niemożliwe. Wszyscy wiedzą, na czym robi się duże pieniądze.

Zwłaszcza że na Śląsku głośno jest o wyczynach niektórych przedstawicieli kadry kierowniczej spółek węglowych. Ostatnio funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali wiceprezesa i dwóch byłych prokurentów spółki Węglukoks Kraj. Prokuratura zarzuca im działanie na szkodę firmy i niekorzystną sprzedaż węgla. Straży miały sięgnąć 28 mln zł.

W grudniu 2019 r. CBA zatrzymało kilka osób piastujących kierownicze stanowiska w kopalni Pniówek. Wcześniej podobny los spotkał dyrektora Kopalni Węgla Kamiennego Centrum w Bytomiu. Postawiono mu zarzut zмовy przetargowej, a straty przedsiębiorstwa oszacowano na 3 mln zł. W czerwcu 2017 r. na gorącym uczynku zatrzymany został Mirosław S., wiceprezes Spółki

Restrukturyzacji Kopalń. Ordynarnie brał w łapę.

Grubiorze wiedzą, że znaleźli się w czarnej d... Są dobrze zorganizowani i zdeterminowani. Można odnieść wrażenie, że to oni decydują o kształcie kolejnych programów restrukturyzacji górnictwa. Są świadomi, że dla polityków najważniejsze są słupki poparcia w sondażach oraz kariery, bo politycy przychodzą i odchodzą. Nie mają więc skrupułów. I gotowi są wykorzystać siłę, którą dysponują. Być może to ostatnia okazja.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

* Grubiorz – w gwarze śląskiej górnik. Pracuje na grubie, czyli na kopalni.

Z Galicji



Jan Widacki

Witaj majowa jutrzeńko...

Zapytany o Konstytucję 3 maja statystyczny Polak albo nie będzie wiedział o niej kompletnie nic, albo co najwyżej wypowie kilka komunałów: że druga po amerykańskiej na świecie, że pierwsza w Europie. Co stanowiła? Na czym polegała jej wartość? Jak długo obowiązywała? Tego nawet od studentów prawa dowiedzieć się nie sposób.

Ale każdy Polak wie, że rocznicę uchwalenia konstytucji trzeba czcić. Faktycznie, od chwili odzyskania niepodległości w 1918 r. dzień uchwalenia konstytucji był najważniejszym świętem państwowym. Z zupełnie niejasnych dla mnie powodów to święto nie tylko zostało oficjalnie zniesione w PRL, ale nawet wszelkie próby jego czczenia, choćby przez legalnie działające organizacje społeczne, np. harcerstwo, czy przez osoby prywatne, były zakazane. Wszystkie flagi wywieszone na 1 Maja następnego dnia gorliwie ściągano, aby nie zostały na 3 Maja. Może chodziło o to, że kres konstytucji położyła interwencja rosyjska, więc ludziom źle by się kojarzyło. Wszak, jak głosi popularna, w tytule wymieniona piosenka: „Ale chytróści gadzina / Młot swój na nas gotowała / Z piekła rodem Katarzyna / Moskalami nas załała”. Zwłaszcza to zalanie Moskalami mogłoby źle się kojarzyć i władze koniecznie chciały nas przed tymi złymi skojarzeniami ustrzec.

Do masowych obchodów 3 Maja wróciliśmy spontanicznie w okresie pierwszej Solidarności. Do dziś ze wzruszeniem wspominam krakowskie pochody, rozpoczynające się mszą w katedrze wawelskiej i później idące z wawelskiego wzgórza Grodzką, Ryńkiem, Floriańską do Grobu Nieznanego Żołnierza na placu Matejki. Pochody organizowała formalnie Solidarność, ale brali w nich udział tysiące krakowian, którzy przychodzili z potrzeby serca. Wszyscy idący w pochodzie mieli poczucie jakiejś wspólnoty i radość, że tę wspólnotę udało się odnaleźć.

Potem był stan wojenny, próby zorganizowania pochodu, a nawet złożenia wieńców przy Grobie Nieznanego Żołnierza, rozpędzało ZOMO.

Po 1989 r. 3 Maja znów stał się świętem państwowym. Ale bardzo szybko ta na krótko odnaleziona wspólnota się rozpadła. Okazało się, że do święta mają prawo wyłącznie prawdziwi Polacy. Tym mniej prawdziwym, zgoła nie-Polakom, 3 Maja czcić nie wolno. Zaczęło się wycie, gdy reprezentanci nieprawdziwych Polaków składali wieńce, zaczęły się awantury, popisy chamstwa i głupoty.

Od lat nikt nie tylko nie potrafił, ale nawet nie próbował wyjaśnić tym ryczącym i wyjącym, że 3 Maja jest symbolem narodowej zgody. Nikt nie próbował wytłumaczyć, że „Witaj maj, piękny maj, / U Polaków błogi raj” oznacza

święto wszystkich Polaków, bez względu na orientację polityczną, przekonania, światopogląd. To smutne. W III Rzeczypospolitej zagubiono sens i prawdziwą wartość tradycji 3 Maja. A tym najgłębszym sensem tej rocznicy i tego święta jest tradycja narodowej zgody. Konstytucja 3 maja, choć przyjęta w warunkach zamachu stanu, była aktem narodowej solidarności. Symbolem pokojowej rewolucji. Bez rozlewu krwi i bez cienia gilotyny szlachta, dla dobra państwa i narodu, zrzekła się części swoich przywilejów. Wywyższyła mieszczaństwo, upodmiotowiła chłopstwo. To do tego ducha bezkrwawej rewolucji nawiązała świadomość czy nieświadomie Solidarność lat 80.

Konstytucja amerykańska obowiązuje do dziś. Konstytucja 3 maja obowiązywała kilkanaście miesięcy. Ale jej duch przetrwał zabory. Wykreowany przez nią ideał był punktem odniesienia dla pokoleń tych, którzy o niepodległość walczyli. Jakże to smutne, że w III RP, gdy Polacy

**„Błogiego raju” dla Polaków jeszcze długo nie będzie.
Będą spory o to, kto do niego ma prawo.**

mogą już stanowić sami o sobie, rocznica uchwalenia konstytucji stała się okazją do pogłębiania narodowych podziałów. Do wzajemnego oskarżania się o targowicę. Do wykazywania, kto jest lepszym, prawdziwym Polakiem, a kto nim nie jest.

Piszę te słowa w przeddzień obchodów tym razem okrągłej, 230. rocznicy uchwalenia konstytucji. Nie mam wątpliwości, że ta ważna rocznica, zamiast połączyć, znów podzieli Polaków. Że w najlepszym razie rozmyje się wśród napuszonych i płytkich intelektualnie przemówień przedstawicieli najwyższych władz, które pod pozorem wzywania Polaków do jedności tylko utrwalą istniejące podziały. Nie mam złudzeń, że od tronu i ołtarza nikt nie odwoła się do prawdziwej symboliki tego święta, które powinno być świętem wszystkich Polaków. Powodem do ich dumy i radości. Słowa „Witaj maj, piękny maj, / U Polaków błogi raj” pozostaną jedynie w piosence. „Błogiego raju” dla Polaków jeszcze długo nie będzie. Będą wyłącznie spory o to, kto do tego „błogiego raju” ma prawo, a kto pretenduje do niego jako uzurpator.

Ale może kiedyś – tym złudzeniem ciągle żyję – nasze wnuki będą mogły zaśpiewać z przekonaniem ostatnią zwrotkę, która przeplata się przez ten tekst: „Błysnął znów Trzeci Maj, / Teraz nasz wesoły kraj”? Wesoły, wolny od wojny polsko-polskiej, od nacjonalizmu, chorobliwej ksenofobii, otwarty na świat.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

W adwokacie też jest poczucie sprawiedliwości

W Polsce za mało mamy przyzwoitości, rozróżniania, co dobre, a co złe

Rozmawia Dorota Kowalska

Pani mecenas, miała pani podczas swojej pracy dylematy moralne?

– Miałam.

Kiedy? Co to była za sytuacja?

– To była sprawa sprzed wielu lat, dostałam ją z urzędu. Chodziło o człowieka oskarżonego o zgwałcenie i zabójstwo trzyletniej dziewczynki. To dziecko zostało znalezione miesiąc po zdarzeniu, w lipcu, w zbożu. Rozkład ciała był już tak daleki, że opinie biegłych w zakresie przyczyn zgonu tego dziecka i samego faktu zgwałcenia nie były do końca jednoznaczne. W każdym razie zatrzymano do tej sprawy człowieka, z którym ta dziewczynka była widziana przed zaginięciem. Siedział on w areszcie tymczasowym. Naszym obowiązkiem, obrońców z urzędu, jest pojechać do więzienia i spotkać się z klientem. No i tam pojechałam, nie mając żadnego przekonania o jego winie czy niewinności. Przejrzałam tylko akta. I ten człowiek tak właściwie na „dzień dobry” powiedział, że to zrobił, że zgwałcił i zabił tę trzyletnią dziewczynkę, ale że nie mu nie zrobią, bo jego wina jest nie do udowodnienia. Oczywiście broniłam go do końca. Broniłam go, odpędzając od siebie taką pokusę, żeby pójść do sędziego, który orzekał w tej sprawie, i powiedzieć: „Panie sędzio, jak jest, tak jest, ale on się przyznał”. Tego oczywiście nie zrobiłam, bo nie mogłam zrobić. Czułam się z tym fatalnie, ale nie mogłam i nie robiłam tego. To w ogóle były tylko takie głupie myśli, bo z punktu widzenia etyki adwokackiej takie zachowanie jest zupełnie niedopuszczalne. Pamiętam, że sąd mojego klienta uniewinnił z braku dostatecznych dowodów winy. Wyszedł po ogłoszeniu wyroku – on był słuszny, on był prawnie słuszny – i pamiętam,



**Mec. HANNA
GAJEWSKA-
-KRACZKOWSKA**

że poszłam do swojego kolegi, patrona – Zbyszka Banaszczyka. Mówię mu, co się stało. I się trochę trzęsę.

I co powiedział pani patron?

– Powiedział rzecz bardzo mądrą i powtarzam ją swoim aplikantom: „Nie myśl o żadnych kwestiach moralnych, tylko myśl o sukcesie jurydycznym”. To nie jest cyniczne.

Ja chyba bym sobie z taką świadomością nie potrafiła poradzić

– wybronić człowieka, który zabił i zgwałcił dziecko!

– Sama byłam wtedy matką, chyba czterolatka. Ale to już nawet nie o to chodzi. Pamiętam tę sprawę, minęło lat chyba 30. I nigdy się od niej nie oderwę. Nie wiem, co stało się z tym człowiekiem, nie mam pojęcia.

Dużo było takich spraw, kiedy była pani przekonana o winie swojego klienta i udało się go pani wybronić?

– Nie. Bardzo mało. Zresztą, nie jest to, broń Boże, żadna moja

zastuga czy kwestia wnikliwości sądu, bo w Polsce mamy tylko ok. 3% uniewinnień. Więc, jak sama pani rozumie, może to świadczyć o tym, że prokuratury bardzo dobrze selekcjonują sprawy i puszczają do sądu tylko te, które są pewne. Ale to zbyt optymistyczne założenie. Albo że sędziowie skazują jednak zbyt lekką ręką.

Tak pani myśli?

– Myślę, że coś w tym jest. I nie chodzi tu tylko i wyłącznie o moje przecucie. Pamiętam, kiedy jeszcze robiłam aplikację sędziowską, sędzia, który uczył nas prawa karnego, powiedział: „Jak macie wątpliwości co do winy, to lepiej dać wyrok »w zasłach«, bo to żadna kara”.

Sędzia tak powiedział?

– Tak powiedział, były to lata bardzo już dawne, ale tak powiedział.

A nie powinno być tak, że jeśli sędzia ma choć cień wątpliwości, to nie wydaje wyroku skazującego?

– Myślę, że tak jest, tylko dużo jest spraw niejednoznacznych. Można przy niektórych przestępstwach opierać się na przesłankach nie do końca racjonalnych. Mówię tutaj przede wszystkim o przestępstwie niegospodarności menedżerskiej. Bo jeśli przyjmiemy jako filozofię karania, że ten oto menedżer wyrządził szkodę w spółce, to sędzia może uznać jego winę, a może również dojść do wniosku, że nie każda transakcja musi być udana. I to są sprawy, w których wyrok wydają bardzo często biegli. Nie znam sprawy Ryszarda Krauzego, ale jego oświadczenie, w którym twierdzi, że prokuratura pomyliła przychód ze stratą, jest tego ilustracją – ale powtarzam, nie znam tej sprawy, a poza tym to jest człowiek, który ma postawiony zarzut, więc będzie się bronił, jak to jest możliwe. Ale niezastosowanie aresztu wobec niego i innych osób, może wskazywać, że mówi prawdę, bo w sprawach gospodarczych

rzeczywiście bywa tak, że sędzia nie jest w stanie w pełni zrozumieć skomplikowanego mechanizmu biznesu. A czasami jest tak, że mechanicznie opiera wyrok na opinii biegłych, których poziom jest, powiedzmy sobie szczerze, nie najwyższy.

Mówił mi o tym mec. Cwiąkowski. On nie do końca wierzy biegłym, ponoć nie zawsze wydają fachowe i zgodne z prawdziwym stanem rzeczy opinie. Pani też tak uważa?

– Zbigniew Cwiąkowski wie, co mówi. Prowadzi dużo spraw gospodarczych, ale prawda jest taka, że były poważne ośrodki biegłych: Instytut Ekspertyz Sądowych prof. Sehna w Krakowie, było kiedyś Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Komendy Głównej Policji, ale niestety, gospodarka wolnorynkowa stworzyła możliwość tworzenia, jak to się na ogół nazywa – instytutu kryminalistycznego. Jest to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, którą zarządza pan X, i pan X po prostu i zwyczajnie ma stajnię ludzi, którzy uważają, że mają jakąś wiedzę fachową w danej dziedzinie. Sądy mogą powoływać biegłych z listy sądowej, którzy nie są porządnie weryfikowani, ale mogą również powoływać biegłych *ad hoc*, czyli spoza listy sądowej, ale to są osoby, które mają wiedzę o sprawie. I teraz, jeśli doliczymy do tego fakt, że prokuratura i sądy muszą się bardzo liczyć z budżetem – nie wiem jak w tej chwili, ale rok temu mówiła mi pani prokurator, że na opinię, która jest wyceniona na więcej niż trzy tysiące złotych, musi mieć zgodę szefa – to robi się takiasting, który biegły jest tańszy.

Druza rzecz, i to dotyczy zwłaszcza zakładów medycyny sądowej, to czas oczekiwania na takie opinie. Na tę z uniwersyteckiego zakładu medycyny sądowej bywa, że czeka się rok, półtora, dwa – oni nie chcą brać tych opinii, bo mają ich za dużo, a przecież wykonują także obowiązki dydaktyczne w ramach uczelni i przeprowadzają zlecone sekcje. Może dlatego pojawiła się już firma, która robi sądowe sekcje w ramach działalności gospodarczej, bo chodzi o to, kto zrobi tę sekcję szybciej. Bywa też, że ludzie, którzy wpisują się na listę biegłych sądowych, przedstawiają dokumenty, których nikt nie weryfikuje. Kilka lat temu była ogromna afera w sądzie mokotowskim. Chodziło

o opinię z zakresu pismoznawstwa, ktoś tę opinię zaniósł panu prof. Tadeuszowi Tomaszewskiemu, który u nas na uniwersytecie szefował kryminalistyce i specjalizował się właśnie w kwestiach pismoznawczych. Kiedy Tadeusz Tomaszewski obejrzał tę opinię, to zwrócił uwagę od razu na jedną rzecz, mianowicie na to, że pan „biegły” powoływał się na metody badawcze, które nie istnieją.

Pani mecenas żartuje!

– Gdzież bym śmiała! Zrobiła się z tego niestychanie ponura sprawa, bo na podstawie opinii tego pana, napisanej szybko i tanio, kilka osób zostało skazanych za fałszowanie dokumentów, a nawet odbyło karę. W przesławnej sprawie PZU była słynna historia z biegłą Jadwigą Młynarczyk, która wykazała się kompletną niekompetencją. Swoją opinię oparła na badaniu audytora i danych z gazety „Rzeczpospolita”. Teraz mam taką sprawę, w której wydaje się, że biegły nie wie, o czym pisze. Rzeczą dość powszechną jest też na przykład, że się powołuje w charakterze biegłych z zakresu księgowości ludzi,

ale to już wszystko jedno, kogo broniłam. Tak czy inaczej, kiedy padły te dożywocia, sędzia miała gułę w gardle. Z tego, co wiem, odeszła z sądu po tej sprawie. A myśmy wtedy we trójkę, z dwoma kolegami doszli na piechotę z alei Solidarności do Wistły i wróciliśmy na aleję Solidarności. Rozstaliśmy się ze sobą, nic nie mówiąc. Potem jako obrońcy z urzędu musieliśmy pisać apelację. Napisaliśmy oczywiście. Nasza radość, kiedy sąd apelacyjny uznał nasze apelacje za bezzasadne, była ogromna. W adwokacie też jest jakieś poczucie sprawiedliwości. (...)

Jak się wyzbyć odrazy do klienta?

Bo pewnie pani ją czuła.

– Nie, nie czułam nic, ale to chyba moje szczęście.

Patrzyła pani na ludzi, którzy zabili trzy osoby w tak okrutny sposób, i nic pani nie czuła?

– Mogę tylko powtórzyć – nie czułam nic. Mój klient przyznawał się do winy, więc to nawet nie była kwestia jego obrony, ale reprezentowania. W ogóle taki był honorowy, jeśli można tak powiedzieć. Ale kiedy mówiłyśmy o odrazie, raz odrazę poczułam.

Sprawcy poważnych przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu mają jakiś powód. To może być miłość, nienawiść, zazdrość.

którzy nigdy nie robili bilansu spółki akcyjnej – są po prostu emerytowanymi księgowymi z małych firm. (...)

Często broniła pani w sprawach karnych, prawda?

– Tak. Broniałam w takich sprawach może nie często, ale pamiętam każdą z nich. Pamiętam potworną sprawę zabójstwa z ulicy Nowogrodzkiej.

Co to było za zabójstwo?

– Były trzy trupy, na ścianie krwią napisane: „Za gwałt na kobiecie w ciąży”. Mężczyzna zabił człowieka za gwałt na jego konkubinie, zabił też świadka i jeszcze jedną osobę, która miała na ciele 277 ran ciętych, które posypywano mu solą. W tle były rozliczenia narkotykowe w okolicach Nowogrodzkiej. Siedzieliśmy na tej sali, wiało grozą i wtedy mecenas Cybulski odwrócił się do mnie i powiedział: „Hania, tu diabeł chodzi po sali”. Po prostu niewyobrażalne okrucieństwo. Dostaliśmy po dwa dożywocia.

Broniła pani człowieka, który zabił?

– Nie, broniłam oskarżonego, który pomagał zabójcy w usuwaniu śladów,

To była sprawa młodego człowieka, 20-letniego, który na przejściu dla pieszych, na pasach zabił staruszkę siedemdziesięciokilkuletnią. Został zatrzymany, bo prowadził pod wpływem alkoholu. Więc ja oczywiście, jak kaže obyczaj, pojechałam do więzienia. Przedstawiłam mu się, a on mówi: „I za co ja tu siedzę? Po co mi się ta stara kurwa pchała pod samochód?” – cytuję dokładnie. Wtedy, powiem szczerze, po raz pierwszy chciałam wstać i wyjść.

Nie zrobiła pani tego?

– Nie, nie robiłam. Tylko poprosiłam, żeby opowiedział, co się stało. Skazali go, zresztą słusznie. Kobieta przechodziła na pasach na zielonym świetle, on był pijany, jechał za szybko, zabił tę biedną starszą panią. I taką miał refleksję po tej tragedii. Tę sprawę pamiętam, chociaż spraw o wypadki miałam niemało.

A co to za sprawa, o której wciąż rozmawiacie z sędzią Piwnik?

– To sprawa, którą sędzia Piwnik pamięta lepiej. Gdzieś, na Żoliborzu ▶

chyba, siedziało takie towarzystwo i piło. Pili, pili, pili kilka dni. Towarzystwo było mieszane, wśród mężczyzn była jedna kobieta. To byli degeneraci. Doszło do jakiejś nieprzyjemnej sytuacji – ta kobieta chyba chrapała, któryś z panów wziął taboret i ją zabił. Włożyli jej potem, nie wiem dlaczego, dwa orzechy w pochwę. Nad ranem, kiedy ci moi bracia O., bo broniłam braci O., uczestników biesiady, zobaczyli, co się stało z tą kobietą, owinęli ją w kocik i chcieli pochować. Pochowali ją w piaskownicy przed domem i nakryli gałęziami. Broniłam braci O. ogniście – mieli zarzut zacierania śladów przestępstwa, ponieważ słuszny,

Ludzie popełniają przestępstwa również z tego powodu, że okazja czyni złodzieja.

ale również znieważenia zwłok. Twierdziłam, że nie mieli intencji znieważenia, a że im się piaskownica pomyliła z Powązkami, to już inna sprawa. Tłumaczyłam to sędzi Piwnik – zamiaru nie było. Po czym ona mi skazała braci O. z obu czynów. I ten żal we mnie pozostał. Ileż to potem żeśmy się spotykały, to albo ona zaczynała o braciach O., albo ja. W każdym razie po paru latach mówi mi: „Cholera, psiakrew, że ja nie skazałam ich na bezwzględną karę pozbawienia wolności, bo by jeszcze żyli!”. Pytam: „A co się stało?”. „Zachlali się denaturatem” – smutna puenta tej historii. Była też inna sprawa, którą miałam u sędzi Piwnik. Chodziło o zdemolowanie osiedla romskiego w jednej z miejscowości w środkowej Polsce.

Dlaczego? Co tam się stało?

– To nie była sprawa prosta. Jeden z młodych Romów mieszkał na takim osiedlu romskich pałaców. Otóż syn takiego bardzo bogatego Roma potrafił na pasach śmiertelnie dziewczynę i jakimś cudem nie dostał żadnej kary, tej sprawie ukrecono łeb. Wtedy lud tego miasteczka się oburzył i poszedł demolować domy Romów. Zdemolował. Obejrzelśmy zdjęcia z tego pobojuwiska, nie było wątpliwości, że doszło do przestępstwa, ale sprawa była niesłychanie trudna. Bo z jednej strony, ta bezkarność mogła rozwścieżyć, ale z drugiej strony – ta wściekłość miała także tło rasowe. Na zasadzie: Cygan i bogaty, to ja mu dowalę!

Wychodziła ta polska małość, a jednocześnie nie mogłam nie zauważyć, że sprawa Roma w jakiś dziwny sposób została umorzona. To był słuszny gniew ludu, tylko taki gniew, żeby właśnie przy okazji dołożyć bogatemu, a w dodatku Cyganowi. Obrzydliwe to było.

Czemu ludzie popełniają najokrutniejsze przestępstwa? Z zazdrości? Z miłości? Dla pieniędzy?

– Wie pani, myślę o paradoksie: sprawcy poważnych przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu – nie mówię o pobiciach, mówię o zabójstwach – oni mają jakiś powód. To może być miłość, nienawiść, to może

być zazdrość. Natomiast ludzie popełniają przestępstwa również z tego powodu – i to są głównie przestępstwa gospodarcze: wyłudzenia, oszustwa – że okazja czyni złodzieja. Mówię trochę jak stary sęp, ale za mało chyba w ludziach w Polsce takiego poczucia przyzwoitości, rozróżnienia, co jest dobre, a co złe.

Broniła pani kiedyś kogoś, kto zabił z miłości?

– Tak. (...) To był młody chłopak, miał ze 30 lat. Pozostawał w związku z dziewczyną, która miała dziecko z innego związku – to było dość biedne środowisko. I ta dziewczyna

Nie widzę szczególnej różnicy między kobietami i mężczyznami, jeśli chodzi o wykonywanie tego zawodu.

związała się z kimś innym. Mój klient przyszedł do jej domu, córeczce tej kobiety powiedział, żeby wyszła się pobawić na podwórko, po czym swojej dziewczynie poderżnął gardło, owinął kocem i podpalił zwłoki, chcąc zatrzeć ślady. Wpadł oczywiście bardzo szybko.

Jaką przyjęła pani linię obrony?

– Próbowaliśmy z tego czynu zrobić zabójstwo w chwili wzburzenia, co było pomysłem dość karkołomnym, ale to była jedyna możliwość – zabójstwo w afekcie. W tym wypadku także trzeba było wziąć pod uwagę opinię biegłych. Mój klient dostał 15 lat więzienia.

To i tak niezbyt dużo, mógł dostać 25 lat albo dożywocie!

– Dożywocie wtedy jeszcze chyba nie było, dostał 15 lat. Dostał 15 lat, nie przekonałam sądu do zabójstwa w afekcie. Na tę sprawę przychodziła matka tej dziewczyny, której nie umiałam patrzeć w oczy (...). Wyszedłam z sądu po ogłoszeniu wyroku, stałam na przystanku pod kinem Femina. Ta kobieta podeszła do mnie, zaczęła mnie walić pięściami, wreszcie mnie opluła. Nie mam do niej o to żalu. Adwokat uosabia najgorsze zło. Broni człowieka, który zabił jej córkę – to on, adwokat, jest ten zły. W sprawach rozwojowych to widać jeszcze wyraźniej, nienawiść małżonków przechodzi na ich pełnomocników. (...)

Jak pani trafiła do zawodu? Chciała pani od zawsze bronić ludzi?

– Nie. Poszłam na wydział prawa, bo trochę mi się prawo podobało. Myślałam jeszcze o historii sztuki, ale zdecydowałam się na wydział prawa. I zwariowałam na II roku. Zaczęło mi się to strasznie podobać. (...) Trafiłam na znakomitych wykładowców, sprzyjających studentom i ich zainteresowaniom. Potem bardzo szybko zrobiłam aplikację sędziowską i bardzo chciałam zostać w sądzie. Chciałam być sędzią, całe życie chciałam być sędzią. Nawet dziekan wydziału się zgodził, ale okazało się, że sąd nie może nas przyjąć na pół etatu, tylko na pełny etat, chodziło o mnie i mojego kolegę, już nieżyjącego Andrzeja Sandomierskiego. Bardzo dobrze

zdaliśmy egzamin sędziowski, ale byliśmy asystentami na uniwersytecie. Postawiono nas przed wyborem prostym: albo uniwersytet, albo sąd. Andrzej wybrał uniwersytet, ja wybrałam uniwersytet. Przez wiele lat przepisy były takie, że nie można było łączyć pracy na uczelni i w sądzie, potem przepisy się zmieniły – wiele osób tak pracuje, ale ja zdecydowałam się na zrobienie jeszcze aplikacji adwokackiej. Także z powodów finansowych, z pensji asystenckich trudno żyć. Polubiłam adwokatwę, dużo pracowałam, zyskiwałam dobrą opinię, rekomendacje klientów. I jakoś tak zostałam.

W pani zawodzie jest większość mężczyzn, prawda?

– To się zmieniło po otwarciu zawodów, ale kiedy zaczynałam, czyli raptem 25 lat temu, kobiet było mało. Były to panie zajmujące się przede wszystkim sprawami rodzinnymi, rozwodowymi, nieruchomości, cywilistyką. Karniczki były nieliczne, bardzo nieliczne: Jolanta Wolf, Ewa Lewicka, ja. Mało nas było, chodzi mi o te z nas, które broniły w dużych sprawach.

Ale to chyba fajnie!

– Fajnie, fajnie. Nie widzę jakiegóż szczególnej różnicy między kobietami i mężczyznami, jeśli chodzi o wykonywanie tego zawodu. Jest sporo bardzo mądrych adwokatów, sporo bardzo mądrych adwokatów. W tej grupie mniej mądrych też nie widać, aby głębsze były kobiety czy głębsi byli mężczyźni – nie. Natomiast sporo kobiet ucieka od prawa karnego.

Ale dlaczego? Bo to angażujące, bardzo emocjonalne sprawy?

– Może kobiety po prostu nie lubią tego typu spraw. Karnikiem chce się albo nie chce być. Poza tym myślę, że spore znaczenie ma fakt, iż pieniądze w sprawach karnych są dużo mniejsze. Młode dziewczyny szukają pracy w kancelariach, nazywamy je butikowe, zajmujących się rozwodami, alimentami, ustaleniem kontaktów. Pamiętam, miałam po przeciwnej stronie podczas jakiegóż sprawy rozwodowej dziewczynę, która pracowała w takiej kancelarii. Wracałyśmy sobie autobusem, zaczęłam ją przekonywać, tłumaczyć, że sama się ogranicza. Przecież bycie adwokatem rodzinnym to zajmowanie się niewielkim wycinkiem prawa (...). I chyba podłożyłam świnię jej szefowej, bo ta młoda dziewczyna powiedziała, że odejdzie z tej kancelarii, że chce być pełnoetatowym adwokatem. (...)

Często bolały panią wyroki? Często uważała je pani za niesprawiedliwe?

– Nie, ale pamiętam je bardzo długo. Zdarzyło mi się kilkanaście razy w życiu poczuć, że wyrok jest niesprawiedliwy. Część z nich udało mi się wyprostować w apelacji, a część odwrotnie – apelacja popsuta. Ale nie, nie, gdybym uważała, że większość wyroków jest niesprawiedliwa, to nie wykonywałabym tego zawodu, bo wprowadzić nie prowadzę żadnej krucjaty, ale ta praca nie ma sensu,

jeśli nie wierzy się w uzyskanie sprawiedliwego wyroku. Trzeba wierzyć po prostu i na ogół wyroki są sprawiedliwe. Dzielę je na sprawiedliwe, ale – to taka adwokacka mentalność – wyrok jest dla mnie sprawiedliwy, kiedy jest dla mnie pomyślny, na takie parasprawiedliwe – myślę sobie wtedy: „Orzekłabym inaczej, ale sąd miał swoje powody, żeby orzec, jak orzekł”, i na niesprawiedliwe.

Przypomina sobie pani jakieś niesprawiedliwe wyroki?

– Tak, jeden. To była sprawa o zgwałcenie. Skończyła się wyrokiem skazującym. Pani pokrzywdzona mówiła, że mój klient skulił jej ręce kajdankami i ściągnął golf. Czy pani sobie to wyobraża?

W sprawach rozwodowych nienawiść małżonków przechodzi na ich pełnomocników.

No chyba mało możliwe! Jak można ściągnąć komuś golf, kiedy ma skute kajdankami ręce? Myśli pani, że to nie był gwałt?

– To nie był gwałt.

I jaki pani klient dostał wyrok?

– Trzy lata więzienia, z czego odsiedział połowę. Wyszedł na wolność, nie mam z nim kontaktu, ale pamiętam jego imię i nazwisko. Gwałty są w ogóle bardzo trudne. Istnieje bardzo subtelna granica i wielu mężczyzn, bo oni są głównie sprawcami gwałtów, bierze opór za kokieterię. Dziewczyna może się zgodzić na stosunek waginalny, ale na przykład nie chce oralnego. To on ją szarpie, zmusza, żeby wzięła jego członka do ust, i dla niego to nie jest gwałt. No jest! Ale on tego nie rozumie do końca: przecież poszła ze mną do lasu, wiedziała, o co chodzi, sama chciała, a potem tak mi zrobiła. To są bardzo trudne sprawy, naprawdę. Nie mówię o gwałtach, które są ewidentne, absolutnie jednoznaczne i obrzydliwe. Ostatnio mój syn miał taką sprawę, gwałtu niejednoznacznego. Chłopak zaprosił sobie dziewczynę, która ogłaszała się w różnych miejscach. Miała taką domową działalność: dojeżdżała do klientów i uprawiała z nimi seks. Korespondowali ze sobą, wreszcie ten chłopak

podał jakieś jej warunki – seks miał być wielopoziomowy, że tak powiem. Wszystko było dobrze, tylko ona w trakcie zmieniła zdanie i powiedziała, że takiego seksu to jednak nie chce. Wycofała się, to zmusił ją do tego, na co wcześniej się umówili. Zasnęli, wzięli prysznic, odbyli jeszcze jeden stosunek, a potem ona poszła na policję i oskarżyła go o gwałt. Ten człowiek był kompletnie zdezorientowany. I to nie to, że myślał, iż nie można zgwałcić prostytutki. Nie, on wcale tak nie myślał. Dla niego to była transakcja. Honorarium tej kobiety było proporcjonalne do, że tak powiem, finezji tego aktu. Klient mojego syna posiedział chyba sześć miesięcy w areszcie. Po czym sąd dał mu sześć

miesięcy kary pozbawienia wolności, która została skonsumowana już przez ten areszt, i skazał na prace społeczne. Ten chłopak mówi: „Wysoki sędzie, czy ja bym mógł te prace społeczne odbywać w schronisku dla psów, bo ja kocham psy?”. Odbył. No i widzi pani: gwałt? Gwałt. Ale czy traktowalibyśmy tego człowieka tak samo jak kogoś, kto napadnie biegającą dziewczynę w lesie? Nawet prokurator stwierdził, że gdyby on ją napadł, przewrócił na ziemię i zgwałcił, to nie miałby w ogóle skrupułów, a w tej sytuacji ostał się wyrok jak na realia kodeksu łagodny. (...)

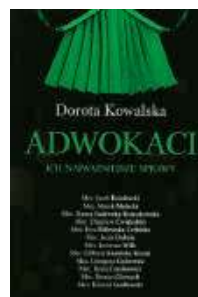
Gdyby miała pani do wyboru, wybrałaby pani tę samą drogę?

– Nie. Zostałabym sędzią.

Jednak?

– Tak, nawet się o to starałam. Było przed 10 laty wolne miejsce w Izbie Karnej Sądu Najwyższego, namawiano mnie, ale nie udało się. I potem już się nie starałam, bo byłam za stara. Ale tak, zostałabym sędzią, co nie znaczy, że uważam, iż mam nieudane życie. Nie, nie, nie. To takie marzenie, które się nie spełni.

Warszawa, 23 października 2020 r.



Fragmenty rozmowy z księżką Doroty Kowalskiej *Adwokaci. Ich najważniejsze sprawy*, Wydawnictwo Melanż, Warszawa 2021

Wybory, których nikt nie wygrał

Bułgarzy nie chcą już ryzykować żadnych reform, gdyż te, które zostały wdrożone, zabrały im wszystko

Bojan Stanisławski

Wybory do bułgarskiego Zgromadzenia Narodowego zaowocowały serią zarówno przewidywalnych, jak i cokolwiek zaskakujących zjawisk. Wszystkie one mają wymiar bardziej kabaretowy niż polityczny.

Bułgarki i Bułgarzy poszli do urn 4 kwietnia. Do tej pory żaden lider żadnego ze stronnictw nie ma pomysłu na to, jak w nowej konfiguracji stworzyć choćby techniczny rząd. W tych wyborach nie udało się wyłonić zwycięzcy – wszyscy przegrali.

Arytmetyka powyborcza

Rządząca obecnie partia GERB otrzymała 26,18%. To jednoznacznie prawicowe ugrupowanie, które z pewnością ma dużo więcej wspólnego z oligarchicznym klubem lub korporacją niż ze stronnictwem politycznym. Jego szefem i dyktatorem bułgarskiego procesu wewnątrzpolitycznego jest premier Bojko Borisow, były ochroniarz Todora Żiwkova. Odpowiednik Jarosława Kaczyńskiego, tylko skuteczniejszy, bo trzymający pod ścisłą osobistą kontrolą niemal cały aparat instytucjonalny i gospodarczy państwa.

Dość poważnym zaskoczeniem był wynik partii o cokolwiek groteskowej nazwie Jest Taki Naród (ITN), która uplasowała się jako druga. Jasne było, że uzyska spore poparcie, ale nie spodziewano się, że zostanie najważniejszym ośrodkiem opozycyjnym. Przewodzi jej Sławi Trifonow, z trudem udający poważnego człowieka śpiewak i telewizyjny szołmen, uchodzący za zaprzyjaźnionego ze wszystkimi najważniejszymi ośrodkami oligarchicznymi w kraju. ITN uzyskała poparcie na poziomie 17,66%, wyprzedzając Bułgarską Partię Socjalistyczną (BSP), która osiągnęła jedynie 15,01%, co dla tego ugrupowania jest wynikiem poniżającym. Ruch na rzecz Praw



W bułgarskich wyborach głosować mogły też osoby objęte kwarantanną. Przyjeżdżał do nich specjalny mobilny zespół.

i Wolności (DPS), stylizujący się na europejskich liberałów, zajął czwarte miejsce z wynikiem 10,5%, a zaraz za nim uplasowała się Demokratyczna Bułgaria – 9,45%, która jest swoistym konglomeratem antykomunistycznych nostalgików, marzących wciąż o głębokiej lustracji, i wielkomiejskiej młodzieży pragnącej nowoczesności.

Kolejną kuriozalną formacją, która uzyskała reprezentację parlamentarną, jest partia Powstań! Mafia precz! (*sic!*). Na jej czele stoi Maja Manołowa, była rzecznik praw obywatelskich mocno skłócona z Borisowem. Dostała się do parlamentu siłą 4,72% głosów (próg wyborczy to 4%) jako najmniejsze ugrupowanie w 45. Zgromadzeniu Narodowym Republiki Bułgarii.

Katastrofa lewicy

GERB stracił ok. 7 pkt proc. w porównaniu z poprzednimi wyborami

z roku 2017 (wtedy uzyskał 33,54% głosów). Największym przegranym jest jednak Bułgarska Partia Socjalistyczna i jej przewodnicząca Kornelia Ninowa. Cztery lata temu partia ta otrzymała 27,93%. Teraz jej wynik jest o niemal 13 pkt proc. niższy. Pomimo że BSP w trakcie kilku ubiegłych kadencji była w opozycji, pomimo wielu katastrofalnych błędów rządu i licznych skandali korupcyjnych, pomimo trwających niemal pół minionego roku codziennych masowych protestów antyrządowych na ulicach Sofii i kilku większych miast, socjaliści stracili dwa razy więcej głosów niż partia rządząca.

– Oczywiście dla postronnego obserwatora sytuacja ta będzie zdumiewająca, ale nie jest to wyłącznie bułgarską specyfiką. Sromotne porażki systemowych, nominalnie lewicowych partii widzimy w całej Europie – komentuje Nikołaj

Draganow, bułgarski dziennikarz i dokumentalista.

– BSP przeszła ten sam proces, który strawił niemal wszystkie tradycyjne europejskie socjaldemokracje. Chodzi o trend zapoczątkowany jeszcze pod koniec lat 90. przez Blaira i Schrödera, czyli porzucenie wszelkich złudzeń zmiany i zapisanie lewicowych partii do obozu neoliberalnego. W Bułgarii proces ten przebiegł nieco inaczej, został

próbując udawać samego Borisowa. To nie mogło się udać – dorzuca doc. Boris Popiwanow, politolog. – Taka próba musiała się skończyć fatalnie. Ludzie głosujący wciąż na Borisowa robią to na ogół ze strachu. On i GERB ciągle mówią o stabilności i o tym, że tylko oni mogą ją zagwarantować. To prawda. Jest to straszna stabilizacja, na poziomie potwornej cywilizacyjnej degradacji, ale ludzie często boją się już jakichkolwiek

kapitalizmu. Najbardziej radykalne wypowiedzi to raczej łagodne stanowiska socjaldemokratyczne, takie jak progresywne opodatkowanie.

– Lewica zawsze najgorzej wychodzi na próbie naśladowania politycznych wrogów. Ktoś, kto jest przekonany nacjonalistą, nie zagłosowałby na BSP, choćby epatowała narodowym patosem bardziej niż utrwaleni w bułgarskim krajobrazie politycznym radykalni prawicowcy. Ktoś, kto ma w głowie tylko biznes i przedsiębiorczość i komu się wydaje, że jeśli obniżymy podatki, to zaraz zacznie zarabiać 10 tys. euro miesięcznie, też nie będzie głosował na BSP, mimo że Ninowa uczyniła z tego jakąś mantrę. Zagłosuje albo na GERB, albo na Demokratyczną Bułgarię. Nie trzeba być profesorem socjologii, żeby to wiedzieć. Wystarczy minimum intuicji politycznej i jakiejś ostrożnej obserwacji. Ninowej zabrakło obu tych rzeczy, właściwie ona jako lider nie ma żadnych zalet. Mogła tylko przegrać. Pomimo że bułgarskie społeczeństwo wręcz płacze za lewicową alternatywą, od 20 lat establishment ma dla niego jedynie prawicowe oferty, z partią z nazwy socjalistyczną włącznie. To jest komedia pomyłek – podsumowuje Nikołaj Draganow.

Demokracja niereprezentatywna, protesty nieskuteczne

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na kwestię niereprezentatywności bułgarskiej demokracji parlamentarnej. Nie ogranicza się ona jedynie do lewicowych czy choćby prosojalnych wyborców. To poważny problem systemu zarówno politycznego, jak i wyborczego,

Mimo że społeczeństwo płacze za lewicową alternatywą, od 20 lat establishment ma dla niego jedynie prawicowe oferty.

dodatkowo skarykatyzowany i doprowadził do dziwacznej sytuacji – dodaje Todor Todorov, znany lewicowy komentator polityczny i pisarz. – BSP przepoczwarzyła się w partię *stricte* prawicową, nie próbując choćby minimalnie tego maskować. Jej program w sferze ekonomicznej jest jednoznacznie probiznesowy, jakościowo spójny z chadeckimi czy liberalnymi stronnictwami zachodnioeuropejskimi. W sferze kulturowo-obyczajowej zaś mowa jest, a jakże, o wartościach tradycyjnych, rodzinie itd. – uzupełnia.

– Program to jedno, ale też przekaz, jaki Ninowa formułowała od samego początku przewodniczenia partii, był przerażający dla lewicowo myślącego obywatela czy działacza – ocenia Draganow. – Owszem, dokonała odejścia od lewicowości w sensie programowym, ale także zmieniła całe *emploi*. Mówiła bez opamiętania o udogodnieniach dla biznesu niczym jakiś spuszczonej ze smyczy amerykański libertarianin. Jednocześnie włączyła się w nacjonalistyczną histerię przeciw konwencji stambulskiej i publicznie zapowiadała, że nigdy nie zgodzi się na jej podpisanie, gdyż chce „bronić bułgarskich rodzin”. Zanim Ninowa została przewodniczącą, partia, oględnie mówiąc, też nie była idealna, ale przynajmniej przekaz, jaki generowali jej liderzy, był rozsądny. Ludzie głosowali na BSP, gdyż liczyli na to, że ta partia przynajmniej nie będzie dokonywała dalszych cięć; teraz ten element zupełnie zniknął z ich politycznego marketingu – podsumowuje dziennikarz.

– Ninowa doprowadziła BSP do katastrofy, udając prawicę, a najbardziej

zmian, nie chcą ryzykować żadnych reform, gdyż te, które zostały wdrożone, zabrały im wszystko. Paradoksalnie więc Borisow jest dość wiarygodny. Poza tym realnie kontroluje nie tylko całą partię, ale również wszystkie zasoby państwa i ludzie zdają sobie z tego sprawę. Ninowa nie ma żadnej z tych właściwości. Próbowła przekształcić BSP w partię wodzowską na wzór GERB, ale szybko okazało się to niemożliwe, gdyż ona nie kontroluje żadnego medium, a jej kontakty z oligarchami są niezwykle ograniczone w porównaniu z możliwościami Borisowa. W jaki sposób może być wodzem? Jedyne, co Ninowa może wykorzystać przeciwko wewnątrzpartyjnej opozycji, to regulamin i władze statutowe, a Borisow, co wielokrotnie pokazał, jest w stanie zgnieść każdego, kto mu podpadnie, jeśli nie w 24 godziny, to w tydzień – tłumaczy Popiwanow.

Niestety, poza BSP lewica w Bułgarii nie ma żadnej poważnej oferty, choćby programowej, nie mówiąc już o jakiejś inspirującej wizji. Jedyne polityczne treścią jest postulat odejścia od neoliberalizmu, ale

Bułgarska Partia Socjalistyczna przepoczwarzyła się w partię *stricte* prawicową, nie próbując choćby minimalnie tego maskować.

niewielu lewicowych aktywistów czy dziennikarzy ma w ogóle pomysł na to, jak taką operację przeprowadzić. Co więcej, panuje ogólna apatia; nie ma żadnych znaczących głosów wzywających do masowej mobilizacji lub walki, nie mówiąc już o tworzeniu nowej lewicowej partii, a tym bardziej o tworzeniu nowej rzeczywistości i odejściu od

a najnowsze wybory spowodowały jego zaostrenie.

Popatrzmy, jaka część uprawnionych wyborców poparła GERB, a jaka głosowała na partię, które przedstawiała się jako alternatywa. I skąd wzięło się przekonanie, że uzyskany wynik nie daje wystarczającej legitymacji do aktywnego udziału w politycznej grze. ►

► Asumpt do takich refleksji dał sam Borisow, który zaraz po zamknięciu lokali wyborczych i podaniu wyników *exit poll* wygłosił jeden ze swoich zwyczajowych, dziwacznych wideomonologów na Facebooku. Twierdził, że to „dość śmieszne”, gdy partie z pięcio- czy dziewięcioprocentowym poparciem wypowiadały się w imieniu obywateli; potem powiedział, że nawet 25% to niewiele.

Jeśli przyjrzymy się rzeczywistej reprezentacji partii wchodzących do następnego parlamentu, analizując głosy jako procent całkowitej liczby obywateli uprawnionych do głosowania, wydaje się, że akurat ta uwaga premiera Bułgarii jest trafna, choć oczywiście zamierzał wyłącznie zdezawuować oponentów.

W 45. Zgromadzeniu Narodowym będzie reprezentowanych tylko 39,68% uprawnionych do głosowania obywateli Bułgarii. GERB otrzymał 837 671 głosów, co wydaje się znaczące w porównaniu z wynikami innych partii, ale reprezentuje ledwie 12,44% wszystkich uprawnionych do oddania głosu. Dla porównania – w 2017 r. GERB poparło 16,78% uprawnionych do głosowania. W liczbach bezwzględnych GERB stracił ok. 310 tys. głosów.

W kontekście reprezentatywności właśnie warto przywołać zeszłoroczne protesty, które wyraźnie pokazały pragnienie zmian. Około

70% Bułgarów poparło żądania protestujących i sam protest. Niestety, nie odzwierciedlają tego wybory z 4 kwietnia. Tylko 22,25% wszystkich głosujących poparło partie, które zadeklarowały się jako opozycyjne i uzyskały wynik pozwalający na wyłonienie reprezentacji parlamentarnej.

Chodzi o trzy nowe formacje znane w Bułgarii jako partie protestu: Jest Taki Naród, Demokratyczna Bułgaria i Powstań! Mafia precz! Pierwszą kieruje wspomniany już Sławi Trifonow. Jeśli chodzi o temperament i poglądy, jest on swoistym połączeniem Berlusconi z Pawłem Kukizem. Nie tylko wspierał protesty, ale także poprzez swój popularny telewizyjny *talk-show* popularyzował je w całym

w przeszłości publicystyczne programy telewizyjne.

– Niska frekwencja i niska reprezentatywność bułgarskiego systemu jest uznawana za normę. To jednak nie oznacza, że ludzie ufają władzy. Większość nie ufa ani rządowi, ani instytucjom państwa. Każde posunięcie władzy jest kwestionowane, z góry uznawane za podejrzanę. Niestety, nie wyostrza to zdolności krytycznego myślenia w elektoracie, a jedynie powoduje demoralizację i poczucie bezradności oraz bezalternatywności. Dla Borisowa jest to wymarzona sytuacja. Tylko wtedy jego fałszywe dykteryjki o stabilności mogą wyglądać na wiarygodne – stwierdza Filipowa.

Niepożądanym przez wszystkie stronnictwa wynikiem wyborów jest

Niespełna 40% uprawnionych do głosowania obywateli Bułgarii będzie reprezentowanych w 45. Zgromadzeniu Narodowym.

kraju. Demokratyczną Bułgarią kieruje Christo Iwanow, były minister sprawiedliwości Borisowa, który na pewnym etapie pokłócił się z nim, jak twierdzi, ze względu na skłonności premiera do korupcji. Jego polskim ekwiwalentem byłby chyba Rafał Trzaskowski. Maja Manolowa zaś szefuje kanapowej partii Powstań! Mafia precz! Jej autorytet wynika z rozpowszechnionego przekonania, częściowo bardzo prawdziwego, jakoby w trakcie swojej kadencji rzecznika praw obywatelskich pomagała potrzebującym grupom społecznym.

– Warto również zauważyć, że część głosów sprzeciwu zrodzonego przez ubiegłoroczne protesty przypadła formacjom, które nie przekroczyły czteroprocentowego progu wyborczego. Nawiązać też trzeba raz jeszcze do BSP. Jej zwolennicy aktywnie uczestniczyli w protestach, i to masowo, ale inne formacje wspierające protesty nie uznają BSP za alternatywę wobec rzeczywistości. Trzy partie protestu, które znalazły się w Zgromadzeniu Narodowym, otrzymały zaufanie jedynie 15,12% uprawnionych wyborców. Ponad pół miliona głosujących Bułgarów (524 645) poparło ugrupowania, które nie zdołały zebrać 4% głosów – komentuje dziennikarka Mirena Filipowa, prowadząca

rysująca się coraz wyraźniej konieczność przeprowadzenia kolejnych latem tego roku. Chyba że dojdzie do porozumienia partii protestu i stworzenia szerokiej koalicji z Bułgarską Partią Socjalistyczną przeciw Borisowowi. Wciąż jednak wydaje się to mało prawdopodobne, gdyż liderzy tych ugrupowań zapowiadali w trakcie kampanii, że brzydzą się *status quo* i nie wejdą w porozumienie z żadną establishmentową strukturą, a więc także z BSP.

Prezydent Rumen Radew, jeden z bardzo niewielu przyzwoitych ludzi w bułgarskiej polityce, nie mógł już dłużej czekać i zgodnie z konstytucyjnym obowiązkiem tworzenia rządu powierzył na razie partii GERB, gdyż ta zdobyła najwięcej głosów. Borisow wskazał jako premiera jednego z najsilniej podporządkowanych mu ludzi – byłego ministra spraw zagranicznych Daniela Mitowa. Wiedział, że propozycja ta padnie w parlamencie. Sławi Trifonow zaś zaproponował – najpierw oczywiście na Facebooku – żeby ewentualną premierką z jego ugrupowania została Antoaneta Stefanowa, była mistrzyni szachowa. Zna pięć języków – argumentował. Być może. Nikt jednak nie wie, co ma w nich do powiedzenia, jeśli chodzi o zagadnienia polityczne.

Bojan Stanisławski

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementewicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ciszej nad tym czytaniem

A może powinienem zatytułować ten tekst „Ludzie, którzy nienawidzą książek”, „Gutenberg is dead”, „Nie czytasz, idę z Tobą do łóżka albo na pizzę, albo na koncert Zenka Martyniuka, albo obejrzymy sobie »365 dni« według Blanki Lipińskiej, film, który został najgorszym filmem roku na świecie”?

Kiedy jak co roku Biblioteka Narodowa ogłasza wyniki swoich badań czytelnictwa, rzeczywiście rozlega się dość powtarzalny i przewidywalny lament, że nie czytamy, że nie mamy w domach książek, że nie są nam już potrzebne, że to upadek, że jak tak można. Ponieważ w tym roku na pytanie „o czytanie w całości lub fragmencie co najmniej jednej książki w ciągu 12 miesięcy poprzedzających badanie twierdząco odpowiedziało 42% respondentów”, Biblioteka Narodowa wspomina o ostrożnym optymizmie. W wielu komentarzach pojawia się jednak nowy ton, który odziera czytanie z nimbu czynności niezwyklej, ważnej, godnej polecenia, wyjątkowej. Duża część tych głosów to istotne wątpliwości – sprzeciw wobec fetyszyzacji czytania i posiadania książek (w czasach internetowych platform komunikacji, wszystkich tych youtube’ów, zoomów, teamsów, nieraz spotkałem się z uwagą: tylko nie te cholerne książki w tle...). Rzeczywiście spora biblioteka może być deklaracją kulturowej wyższości (Spora czyli jaka? W co trzecim domu w Polsce nie ma ŻADNEJ książki, w kolejnych milionach – są podręczniki bądź albumy z JP II). Dowodem na to, że książki same w sobie jeszcze nie nobiletują, jest fakt, że kapitalizm sprzedaje tapetę bibliotekopodobną – daje możliwość dumy bez konieczności posiadania realnych księgozbiorów, a tym bardziej sięgania do nich z potrzebą lektury. W zajmującym krytycznym tekście Maja Staśko (wvtv.pl/swiatowy-dzien-ksiazki-na-ktorej-nie-mzona-sie-skupic-przez-stres-i-nadmiar-pracy-ms-230421) zwraca – słusznie – uwagę, że bardzo często problem leży gdzie indziej niż fechtowanie statystyką czytelnictwa: „Przymuszanie do czytania przez wywoływanie wstydu i poczucia winy, rozliczanie z liczby przeczytanych książek i wartościowanie ludzi na tej podstawie nie jest rozwiązaniem, tylko pogłębianiem problemu”. Ludzie nie czytają, bo: są w kryzysie zdrowotnym, somatycznym lub psychicznym, finansowym, czasowym, dopadł ich brak koncentracji, za dużo i zbyt ciężko pracują, nie mają wsparcia w działaniach opiekuńczych. „Trzeba pamiętać o matkach, opiekunkach, zatyranych rodzicach, babciach analfabetkach, studentach na bezpłatnych stażach i skrawkach etatu, osobach z wypaleniem aktywistycznym, mieszkańcach miejscowości, w których nie ma bibliotek z nowościami, dzieciach z rodzin, w których czytanie było traktowane jak strata czasu”. Równocześnie jednak Staśko stawia mocną tezę: „Książka nie jest lepsza ani gorsza

od serialu czy filmu. To po prostu inne sposoby wyrazu i komunikacji. To, że coś jest książką, nie oznacza, że jest dobre i wartościowe. Podobnie z serialami, muzyką, spektaklami i filmami. Są beznadziejne, głupie książki i mocne, ważne serie. To, że ktoś czyta słabą książkę albo ogląda słaby serial czy program telewizyjny, nie oznacza, że jest jakiś gorszy i nie może wynieść z nich czegoś wartościowego. (...) Powodów czytania może być milion – podobnie jak powodów nieczytania. I nikt nie musi się z nich spowiadać”.

Czytanie jest jednak odmienną formą poznawania świata i dbałości o własny umysł, wyobraźnię, horyzonty i umiejętność poszerzania pola zrozumienia. Czytanie buduje inny gmach wiedzy niż łatwiej przyswajalna dla naszego mózgu nadkultura obrazu. Czytanie stawia wymagania, każe zastygnąć, wyprowadza nas z oczywistości jednego obrazu. Czytanie bywa oczywiście przywilejem i nie powinno stawiać się wartościującą dystynkcją. Równocześnie to czytanie pozwala jednak zagospodarowywać większe przestrzenie, złożone zjawiska, wielopoziomowe koincydencje, zagmatwane przesłania i skomplikowaną dramaturgię zdarzeń, losów i poglądów. Jak w wielu dziedzinach dokonujemy dzisiaj redukcji naszych aktywności. I budujemy ich racjonalizację, usprawiedliwienie. Rzadko spotykamy kogoś, kto czytając sporo i wytrwale, jest osobą po-

Czytanie buduje inny gmach wiedzy niż łatwiej przyswajalna dla naszego mózgu nadkultura obrazu.

wierzchną, trywialną albo zwyczajnie głupią. Żeby potępić czytanie albo odejmować mu wyjątkowość w całym spektrum ludzkiego doświadczenia, trzeba wyjątkowo dużo wcześniej przeczytać. Ponieważ ten proceder niesie w sobie wymiar nieskończonego, na zawsze pozostawia niedosyt i niespełnienie. Może wtedy łatwiej uznać, że to nic takiego, po prostu sobie obejrzymy coś na Netfliksie.

Mam jednak głębokie przekonanie, że czytanie wynosi naszą człowieczeństwo na inny poziom, że nie jest po prostu innym, równorzędnym sposobem spędzania czasu, rozrywką taką jak inne (choć może nią być również) – i krytyka przemysłu napędzającego sprzedaż nowości nie jest adekwatną krytyką samego fenomenu, bez krzewienia którego będziemy tylko trzciną na wietrze. Każda nieprzeczytana jeszcze przez nas książka jest nowością, jak pisał William Hazlitt. A najwyższe wskaźniki czytelnictwa w Polsce od lat wykazują więzienia. Cóż, wikt i opiekun, dach nad głową – zapewnione. Nic, tylko czytać. Może pomoże. A może nie. Ja nie chcę się wstydzić tego, że czytam, książki traktuję jak przyjaciół, a ich lekturę jak wciąż nowe niewymyślnie rozmowy i wyprawy. I tak, oceniam. Bliższy mi człowiek czytający od nieczytającego.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



Grecja kusi turystów

Wyspy na Morzu Egejskim mają się stać pierwszymi obszarami wolnymi od covidu

Tomasz Skowronek

Kastelorizo, niewielka wyspa na Morzu Egejskim, położona na wschodnim krańcu Dodekanazu, dośłownie 2 km od tureckiego wybrzeża, uchodzi za pierwszą linię frontu w napięciach dyplomatycznych na linii Ateny-Ankara, przez co nieraz budziła zainteresowanie europejskiej prasy. Teraz ponownie skupiła na sobie uwagę mediów, lecz z całkiem innego powodu – Kastelorizo jest pierwszym miejscem w Grecji, ale i pierwszą wyspą w Europie, gdzie zaszczepiono całą dorosłą populację (520 osób) przeciw COVID-19 dwiema dawkami szczepionki firmy Pfizer.

Promyki nadziei

„Wszyscy w wieku od 20 do 94 lat zostali zaszczepieni. To sprawia, że czujemy się wolni i bardziej optymistycznie nastawieni do siebie, naszego życia, ludzi wokół nas”, powiedział zastępca burmistrza Stratis Amygdalos. Według niego szczepienia

zmieniły codzienne życie mieszkańców. Strach ustąpił optymizmowi, zwłaszcza że społeczność w prawie 90% jest zaangażowana w turystykę i nie może się doczekać sezonu wakacyjnego. Wiceburmistrz zaznaczył, że o ile w zeszłym roku przeważały odwołania przylotów i przyjazdów, o tyle w tym widać wyraźny wzrost popytu, który wkrótce powinien przybrać bardziej konkretną formę rezerwacji.

Wiele biur podróży zwróciło już uwagę na Kastelorizo. Jak szacuje

Na wyspie Lipsi od początku pandemii nie odnotowano ani jednego zakażenia.

tygodnik „Ethnos”, w tym roku ruch turystyczny na wyspie wzrośnie o 35%.

„Widzimy trend odwrotny do tego samego okresu w zeszłym roku. Wtedy w marcu zaczynaliśmy zwracać zaliczki osobom, które zarezerwowały pobyt na wyspie, teraz mamy sporo zgłoszeń potencjalnych rezerwacji”, cieszy się Amygdalos.

Kastelorizo jest pierwszą wyspą w Europie, gdzie zaszczepiono całą dorosłą populację.

Władze robią wszystko, aby wyspy Morza Egejskiego stały się pierwszymi w pełni zaszczepionymi obszarami Grecji. Zgodnie ze stworzonym z pomocą wojska rządowym programem Eleftheria (Wolność) mieszkańcy przynajmniej 69 wysp z populacją nie większą niż 1000 osób mieli zostać w pełni zaszczepieni do końca kwietnia, aby w połowie maja rozpocząć sezon turystyczny. Jak zauważają lokalne media, jest to jedno z największych wyzwań operacyjnych i logistycznych, jakich podjęły się w ostatnich latach greckie władze i służby.

„Mamy sporo mniejszych wysp – tłumaczył w rozmowie z „Guardianem” Marios Themistocleous, sekretarz generalny Ministerstwa Zdrowia,

nadzorujący program. – Ponieważ trudno do nich dotrzeć, zdecydowaliśmy się zaszczepić całą populację za jednym razem. Robimy to też po to, aby mieszkańcy byli chronieni i mogli zacząć przyjmować turystów”. Jak przekonują krajowe służby, nie ma sensu wielokrotne wysyłanie zespołów medycznych, aby w różnych terminach szczepiły poszczególne

grupy ludności. Bardziej opłacalne jest zaszczepienie od razu wszystkich, niezależnie od wieku.

Themistocleous opisał operację jako złożoną logistycznie. Do jej realizacji skierowano samoloty, helikoptery i łodzie straży przybrzeżnej oraz żołnierzy, funkcjonariuszy policji i Agencji Ochrony Cywilnej. „Bardzo trudno przetransportować szczepionki na wyspę – wyjaśnia sekretarz generalny resortu zdrowia. – Wymaga to specyficznego procesu, w którym bierze udział wiele osób. Każdy etap jest specjalną misją od momentu, gdy pudełka opuszczają nasze magazyny”.

Wyspy bezpieczniejsze niż kontynent

Wyspy w przeciwieństwie do kontynentalnej Grecji mało ucierpiały z powodu covidu. W kraju od listopada nieprzerwanie obowiązują surowe ograniczenia. W centrach miast restauracje, bary i sklepy dla turystów są zamknięte, zakazane są również przejazdy między regionami. Greckie władze, podobnie jak w innych krajach europejskich, próbują powstrzymać trzecią falę koronawirusa.

Tymczasem niektóre wyspy nie odnotowały żadnych zakażeń. Burmistrz Lipsi Fotis Magos powiedział ateńsko-macedońskiej agencji informacyjnej, że jego wyspa pozostaje oficjalnie wolna od koronawirusa, ponieważ od początku pandemii nie odnotowano tam ani jednego przypadku. Mieszkańcy zostali już zaszczepieni. „Teraz możemy się spodziewać nowego, lepszego sezonu turystycznego – oświadczył Magos. – Podejmujemy wszelkie niezbędne działania, aby przyjąć urlopowiczów, zachowując jednocześnie czujność, która jest zakorzeniona w naszej zbiorowej świadomości”.

Prawie wolna od covidu jest wyspa Skopelos. Burmistrz Stamatis Perissis stwierdził, że zanotowano tam minimalną liczbę pojedynczych zachorowań i w związku z tym jest uważana za jedno z najlepszych miejsc turystycznych w Tesalii. „Po pierwszej dawce szczepionki zgłosiło się bardzo wielu mieszkańców. Wierzymy, że do końca wiosny zdecydowana większość populacji wyspy zostanie w pełni zaszczepiona”, mówi Perissis.

Ponadto władze kilku wysp zakupiły bądź dostały w ramach darowizn dodatkowy sprzęt medyczny, taki jak przenośne respiratory oraz koncentratory tlenu, zatrudniono także nowy personel medyczny. To wszystko wzbudza zainteresowanie greckich i zagranicznych urlopowiczów oraz profesjonalistów z branży turystycznej.

Kwarantanna jak urlop

Sektor turystyki stanowi prawie jedną piątą greckiej gospodarki. W 2020 r. jego przychody spadły do 4,28 mld euro z 18 mld euro rok wcześniej. Natomiast cała gospodarka skurczyła się o 8,2%. Według Instytutu Greckiej Konfederacji Turystycznej (INSETE) liczba turystów w 2020 r. zmniejszyła się aż o 76,5% – do zaledwie 7,4 mln.

Grecy chcą uniknąć powtórki z poprzedniego kiepskiego sezonu. Centroprawicowy rząd Kiriakosa Mitsotakisa bronił idei paszportów szczepionkowych, aby zachęcić do podróżowania po całej Europie, i prowadzi dwustronne rozmowy z niektórymi krajami w nadziei na indywidualne ustalenia dotyczące podróży.

Już pod koniec marca Ateny zniosły wymóg kwarantanny dla gości z Izraela. Izraelscy wczasowicze mu-

Dodatkowo Grecy biorą pod uwagę otwieranie specjalnych hoteli dla turystów, jeśli ci będą musieli spędzić urlop na kwarantannie. Na wyspie Rodos przeprowadzono eksperyment opracowany przez ekspertów z branży turystycznej, aby sprawdzić, czy podczas pandemii można zorganizować bezpieczne wakacje. W ramach próby 198 turystów z Holandii spędziło osiem dni w Mitsis Grand Beach Hotel bez wychodzenia z ośrodka nawet na spacer po plaży. Przez cały czas monitorowano, czy zachowywany jest ścisły dystans społeczny. Za 399 euro każdy uczestnik eksperymentu otrzymał przepustkę *all inclusive*, czyli dostęp do basenu, restauracji i innych udogodnień znajdujących się w hotelu. Gdy ich samolot z Amsterdamu wylądował na lotnisku na Rodos, greckie media miały mikrofony w gotowości. „Nie mam basenu w domu ani pubu, w którym można by wypić piwo, więc to jest o wiele lepsze”, opowiadał z entuzjazmem jeden z młodych ludzi, zapytany przez Open TV, co sądzi o utrudnieniach.

Ten pilotażowy program holenderskiego biura podróży, przygotowany w porozumieniu z władzami Rodos, ma dać odpowiedź na pytanie, czy turyści są gotowi spędzić wakacje, godząc się na ograniczenia wynikające z pandemii.

To jednak nie koniec. W maju zo-

Od połowy maja Ateny mają znieść wymóg kwarantanny dla przyjezdnych z Unii, Wielkiej Brytanii, Serbii i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

szą jednak okazać oficjalne potwierdzenie w języku angielskim, że są zaszczepieni. Ponadto od drugiego szczepienia musi minąć 14 dni. Przybysze z Izraela muszą również mieć negatywny wynik testu PCR, który nie może być starszy niż 72 godziny.

Od połowy maja takie same zasady mają dotyczyć wszystkich przyjezdnych z krajów Unii Europejskiej, Wielkiej Brytanii, Serbii i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Na lotnisku będą ponadto przeprowadzane losowe testy; jeśli wynik będzie pozytywny, wszystkie koszty opieki zdrowotnej pokryje greckie państwo. Urlopowicze z krajów, w których wystąpi wyższa zachorowalność, mają być testowani częściej od tych z rejonów, gdzie ryzyko zakażenia jest mniejsze.

staną ponownie otwarte lotniska na wyspach Kos, Mykonos, Santorin, Rodos i Korfu, w Atenach, Salonikach, Chanii oraz Iraklionie na Krecie. Nikt wprawdzie nie spodziewa się, że turyści zaczną przyjeżdżać masowo, ale greckie władze spoglądają na tę kwestię z większym optymizmem niż jeszcze rok temu. „Grecja jest w znacznie lepszej sytuacji, jeśli chodzi o przyjmowanie turystów, niż w 2020 r. – przekonywał Alex Patelis, główny doradca ekonomiczny rządu, w wywiadzie dla telewizji DW. – Są szybkie testy, które kiedyś nie istniały, jest dużo więcej ludzi z przeciwciałami i oczywiście mamy świadectwa szczepień”. Na koniec dodał optymistycznie: „Wierzę, że Grecja będzie miała wspaniały sezon letni”.



WYJŚCIE Z RAJU PODATKOWEGO

Joe Biden zapowiada walkę z oszustwami fiskalnymi, ale sam jej nie wygra

Mateusz Mazzini

Podatki, tak jak śmierć, nie omijają nikogo – to jedno z najbardziej wyświechtanych powiedzeń o ludzkim losie. Ale coraz częściej okazuje się, że ta mądrość nie ma nic wspólnego z prawdą. Podatki wcale nie są uniwersalnym elementem życia społecznego. Na poziomie jednostki być może nieco trudniej ich uniknąć, lecz wielkie korporacje nierzadko mogą funkcjonować w świecie bez obciążeń podatkowych. Niemal zero-owe daniny od przychodu, rezydencje prawne na egzotycznych wyspach lub w państwach konkurujących ze

sobą w neoliberalizmie, armia doradców dbających, by bogaci nie musieli dzielić się niczym. W pakiecie bonusy – od możliwości zatrudniania najlepszych specjalistów po koszty, przez paszporty bananowych republik, po eksponowane stanowiska dyplomatyczne. Unikanie podatków może na dobrą sprawę skutkować życiem bez problemów. Jak w raju.

Małe podatki dla dużych

O tym, że globalne podatkowe równanie w dół, rozpoczęte niemal pół wieku temu przez proroków wolnego rynku i końca historii, jest krwawiącą raną światowej gospodarki, wiadomo nie od dziś. Praktycznie co roku śmiech i konsternację wywołują doniesienia prasowe o wysokości podatków płaconych w Europie przez amerykańskie korporacje technologiczne. W 2019 r. Facebook oddał brytyjskiemu fiskusowi 26 mln

funtów – grosze, jeśli weźmiemy pod uwagę, że przychody spółki na Wyspach wyniosły w tym samym czasie 1,6 mld funtów. Oznacza to stawkę podatkową na poziomie nieco ponad 1,5%. O takim traktowaniu przez skarbowkę jakikolwiek obywatel Wielkiej Brytanii mógłby co najwyżej pomarzyć. To i tak nie najgorszy wynik, bo od kilku lat gigant technologiczny podnosi swój wkład podatkowy na Starym Kontynencie. Innymi słowy, cieszymy się, bo niedawno było znacznie gorzej. W poprzednich latach zdarzało się, że firmy z Doliny Krzemowej tak dobrze ukrywały przychody, że ich obciążenia fiskalne wynosiły zaledwie kilkanaście tysięcy funtów rocznie.

Swoboda brytyjska jest i tak niższym przy dziurach, jakie ma w swojej ordynacji podatkowej Irlandia. Tam CIT dla spółek technologicznych wynosi 12,5%, a więc o 7,5 pkt proc. mniej niż u sąsiadów. Daje to jeszcze większą szansę na zatrzymanie

zysków w kieszeni – co globalne korporacje skrzętnie robią. Używając tego samego przykładu: Facebook w Irlandii zarobił 4,83 mld euro, podatku zapłacił 3,4 mln – 0,7%. Patrząc na te dane, widzimy, że określenie raj podatkowy jest naprawdę trafne.

Sposoby na unikanie płacenia podatków są bardzo zróżnicowane i wyrafinowane. Tak samo jak owe raje, spośród których nie wszystkie oferują usługi w takiej samej formie. Jedne mają po prostu niskie stawki

zagraniczny inwestor łaskawie spojrzeć w naszą stronę. To przypadek nie samej Irlandii, ale też Wielkiej Brytanii, Holandii, Grecji i wielu innych rozwiniętych gospodarek. Tam problemem jest ślepa, niepochwytana wiara w niewidzialną rękę rynku. Przekonanie, że wysokie stawki podatkowe odstraszyłyby pracodawców, a to, czego te podmioty fiskusowi nie oddadzą, i tak trafi do społeczeństwa, tylko pod inną postacią, najczęściej pensji. Ponieważ

rocznego przeciętnego wynagrodzenia pielęgniarki w krajach OECD. Niezapłacone podatki wyparowują z każdej gospodarki świata, również z systemów uznawanych za szczelne – chociażby niemieckiego. W ciągu ostatnich 35 lat obciążenia fiskalne dla firm maleją w zastraszającym tempie. Jeszcze w 1985 r. spółki na świecie oddawały do państwowego budżetu prawie co drugiego zarobionego przez siebie dolara – ich przeciętne obciążenia wynosiły 49% w skali globu. Dziś średnia ta wynosi nieco ponad 23,7%. Biorąc pod uwagę tempo bogacenia się zachodnich społeczeństw, rozrost korporacji do rozmiarów większych od niepodległych państw i naprawdę ogólnosiwiatowy zasięg ich działalności, musimy uznać, że globalizacja przynosi zyski tylko niewielkiej grupie jej uczestników. Tej najbogatszej.

Prezydent wkracza do akcji

Podjęmowano już mnóstwo inicjatyw, które miały ukrócić, a nawet całkowicie wyeliminować unikanie opodatkowania. Walkę z rajami podatkowymi od dłuższego czasu prowadzi Margrethe Vestager, duńska polityczka, wiceszefowa Komisji Europejskiej i komisarz ds. konkurencji. Ograniczyć międzynarodowe transfery kapitału czy prawo do rejestrowania podmiotów w egzotycznych rezydencjach podatkowych

Na świecie istnieje 10 rezydencji podatkowych oferujących zerową stawkę daniny dla spółek.

podatkowe. Ale na świecie istnieje aż 10 rezydencji podatkowych (bo nie wszystkie są suwerennymi państwami) oferujących zerową stawkę daniny dla spółek. Na tej liście najwięcej jest wyspiarskich terytoriów na Karaibach, które na modelu bezpodatkowym opierają nie tylko całą swoją gospodarkę, ale często w ogóle niezależne istnienie. Nic ze swoich przychodów nie muszą też oddawać chociażby podmioty zarejestrowane na wyspie Man. A to już nie bananowe Karaiby, ale Europa z krwi i kości. Man leży praktycznie na środku Morza Irlandzkiego, 260 km od brzegów Irlandii i niecałe 150 km od Wielkiej Brytanii, i jest tzw. dependencją korony brytyjskiej, czyli terytorium zależnym. Nie jest niepodległym państwem, lecz autonomię w granicach Zjednoczonego Królestwa ma imponującą. Nie obowiązuje tu brytyjskie prawo, a więc i brytyjska ordynacja podatkowa. Parlament w Westminsterze nie sprawuje żadnego nadzoru, a pieczę królowej jest czysto symboliczna. Jednocześnie dolecieć tu można w trzy kwadranse z Dublina bądź Liverpoolu. Łatwo więc nie tylko mieć tu biuro, ale nawet bywać w nim czasami (co w rajach podatkowych nie jest przez nikogo wymagane do rejestracji i prowadzenia biznesu).

Dziury na Wyspach

Czym innym jest jednak budowanie całego ustroju niewielkich wysepek lub archipelagów na idei zerowego podatku dla firm, a czym innym oferowanie podatkowych przywilejów w prezencie, po to by

w zglobalizowanym świecie globalna jest również konkurencja, wygrać rywalizację o miano kraju najatrakcyjniejszego dla inwestorów wcale nie jest łatwo. Państwa prześcigają się w rozwiązaniach prawnych i fiskalnych, oferując nie tylko zerowe czy bliskie zera stałe daniny, ale także wakacje podatkowe na okres pierwszych lat operacji w danym kraju, możliwość zatrudniania na preferencyjnych (oczywiście dla pracodawcy) warunkach, darmową dzierżawę terenów pod inwestycje, wsparcie państwowymi grantami na badania i rozwój, a nawet współpracę z lokalnymi uniwersytetami. Nie wszystkie te instrumenty przekładają się na rozwój krajowych gospodarek. Każdy dorzuca jednak swoją cegiełkę

Wyspiarskie terytoria na Karaibach na modelu bezpodatkowym opierają gospodarkę i niezależne istnienie.

w wyścigu do podatkowego dna – jedynej granicy, której sforsować już się nie da.

Chowanie pieniędzy przez korporacje i bogate jednostki w rajach podatkowych to jedna z głównych chorób dzisiejszej globalnej gospodarki. Jak wylicza Mark Bou Mansour z Tax Justice Network, portalu specjalizującego się w tropieniu przestępstw, wyłudzeń i oszustw fiskalnych, co roku z powodu unikania płacenia należnych podatków świat traci 427 mld dol. To mimo wszystko liczba trudna do wyobrażenia. Znacznie bardziej na ludzką świadomość działa inne porównanie zaproponowane przez Mansoura – co sekundę do rajów podatkowych trafia ekwiwalent

próbowali na własną rękę przywódcy wielu europejskich krajów, w tym Emmanuel Macron, Angela Merkel, nawet Mateusz Morawiecki, który odmówił w ubiegłym roku przyznania pandemicznego wsparcia firmom funkcjonującym formalnie właśnie w rajach podatkowych. Ale jeżeli odnosili oni sukcesy, to były one najczęściej niewielkie, krótkotrwałe, niewspółmierne do skali strat ponoszonych z powodu niezapłaconych podatków.

Teraz jednak oszustów podatkowych chce wygnać z raju pierwszy obywatel Stanów Zjednoczonych i – przynajmniej z politycznego punktu widzenia – wciąż najpotężniejszy człowiek na świecie. Joe Biden

► z chęci zatkania dziury, przez którą z amerykańskiej gospodarki wylewa się ponad 23,5 mld dol. każdego roku, uczynił jeden z flagowych postulatów polityki gospodarczej. Jego wykonawczynią ma być Janet Yellen, była szefowa rezerwy federalnej, wykładowczyni Yale, w gabinecie Bidena kierująca Departamentem Skarbu. Jedną z najbardziej doświadczonych i jednocześnie lojalnych osób w kręgu towarzyskim obecnego prezydenta (ale bliskie stosunki łączyły ją też z Barackiem Obamą). We dwójkę Yellen i Biden chcą raz na zawsze położyć kres unikaniu opodatkowania przez korporacje i zatrzymać trend, który od dekad pozwala firmom wzbogacać się kosztem narodowych budżetów.

Cel ambitny, ale problematyczny już na poziomie koncepcyjnym. Nie da się jednoznacznie przypisać go do przestrzeni polityki krajowej, bo Biden może sobie nakładać podatki tak wysokie, jak tylko chce – i najpewniej nic by mu to nie dało. Globalizacja działa wszędzie z taką samą siłą i Stany Zjednoczone nie są od tej reguły wyjątkiem. Wzrost obciążeń sprawi, że biznesy zaczynają uciekać tam, gdzie będzie im się żyło wygodniej. Dlatego główny lokator Białego Domu, niejako w ramach szerszego planu przywracania amerykańskiego prymatu i przywództwa w demokratycznym świecie, chce być liderem walki z unikaniem opodatkowania zarówno

Aż dwukrotnie chcą też zwiększyć wysokość opodatkowania przychodów amerykańskich spółek uzyskanych poza granicami kraju – z 10,5% do 21%. Zwłaszcza ten drugi ruch, wspierany w Kongresie przez lewe i najmłodsze skrzydło Partii Demokratycznej, wzbudza spore kontrowersje, bo bezpośrednio uderzy w największych graczy na rynku, zwłaszcza tych z Doliny Krzemowej. Nie należy się łudzić, że to pomysł czysto ideowy albo chociaż poparty wyliczeniami ekonomistów. Nakładając większe obciążenia na korporacje technologiczne, Biden chce zyskać przychylność zwłaszcza wyborców Elizabeth Warren, jego eksrywki w walce o nominację

Firmy z Doliny Krzemowej tak ukrywały przychody, że ich obciążenia fiskalne wynosiły kilkanaście tysięcy funtów rocznie.

prezydencką wśród demokratów. Z uszczelnienia systemu opodatkowania i złamania technologicznych monopoli Warren zrobiła swoje główne wyborcze hasło, a wielu jej zwolenników wcale nie było jednoznacznie przekonanych do późniejszej kandydatury Bidena. Idąc w kierunku wytyczonym przez partijną koleżankę, nowy prezydent zamierza pokazać, że na głosy elektoratu nie jest głuchy.

Zanim jednak to zrobi, będzie musiał posprzątać po poprzedniku. Donald Trump biznesom szedł na rękę

na ich podatkach jeszcze mniej niż przed reformą.

O ile zmiana ordynacji fiskalnej w USA może się zmaterializować za kadencji Bidena, o tyle globalne minimum podatkowe nie zależy tylko od niego. Będzie potrzebował wsparcia – międzynarodowej koalicji zdolnej wprowadzić takie same zasady, jakie on stworzy we własnym kraju. Rękami Janet Yellen do roli głównego partnera wybrał OECD i na forum tej organizacji słysząc już pierwsze pozytywne komentarze. Zasady planu amerykańskiej administracji są dość proste. Po pierwsze, globalny podatek od przychodów na poziomie 21% dla wszystkich korporacji, bez względu na to, gdzie

mają rezydencję fiskalną i gdzie prowadzą działalność. Po drugie, każdy płaci podatki lokalnie. Tam, gdzie generuje zyski. A więc koniec z kreatywnym międzynarodowym rozliczaniem kosztów, przerzucaniem kapitału i tworzeniem niemożliwych do rozplątania sieci spółek zależnych, w praktyce wydmuszek. Po trzecie, do planu muszą się zapisać wszyscy, w przeciwnym razie nie ma on sensu. Tylko uniwersalne zaangażowanie zlikwiduje podatkowe równanie w dół. I tu zaczyna się największy problem.

Bo ani OECD, ani G20, ani nawet Narody Zjednoczone nie dysponują żadnymi narzędziami prawnymi, by kogokolwiek zmusić do zaakceptowania takiego podatku. Pod tym względem walka z unikaniem opodatkowania przypomina przebieg oenzytowskich szczytów klimatycznych. Dużo dobrej woli, zgoda co do globalnej wagi problemu i mało narzędzi do egzekwowania zmiany. Postępu nie można zatrzymać – kiedy niemal dekadę temu podobny pomysł na forum OECD wysunął Barack Obama, według relacji naocznych świadków został dosłownie wyśmiany. Dziś Bidena i Yellen inni przywódcy przynajmniej wysłuchują. To mały krok, ale od czegoś trzeba zacząć.

Co roku z powodu unikania płacenia należnych podatków świat traci 427 mld dol.

dla swoich wyborców, jak i dla wszystkich ludzi. Janet Yellen głośne przemówienie z 5 kwietnia zaczęła od zdania: „Ameryka jest silniejsza, gdy angażuje się w sprawy świata”. Samo słowo globalny padło w nim aż 27 razy. Najważniejszy był jednak jeden szczególny kontekst, czyli plan stworzenia ogólnoświatowego minimum podatkowego dla podmiotów komercyjnych.

Sprzątanie po Trumpie

Biden i Yellen chcą prowadzić walkę na dwóch frontach jednocześnie. W kraju celują w podniesienie stawki CIT z 21% do 28%.

wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Jego reforma ordynacji podatkowej z 2017 r. teoretycznie dawała agencjom federalnym narzędzia do odzyskania utraconych wpływów z podatków, ale same zasady ich działania były obwarowane tyloma warunkami, że w praktyce nie spełniały swojej funkcji. Pod rządami Trumpa korporacje mogły bowiem bardzo łatwo obniżyć deklarowaną kwotę przychodów, sporą ich część zgłaszając jako zyski na Bahamach czy Kajmanach, gdzie podatku odprowadzać oczywiście nie musiały. W ten sposób zaniżały kwoty, które musiały oddać amerykańskiemu fiskusowi. A ten w efekcie zarabiał

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Witold Graboś

Choć z podziwem i sympatią obserwuję szwedzką aktywistkę ekologiczną Gretę Thunberg, to jednak nie mogę się wyzbyć wrażenia, że odgrywa ona rolę nieco dekoracyjną. Gdy przed kilkoma laty pojawiła się w mediach, budziła sympatię, zainteresowanie i podziw. Dziś cieszy się powszechnym uznaniem na całym świecie; nagradzana i wyróżniana, uczestniczka szczytów klimatycznych, Człowiek Roku „Time’a”, kandydatka do Pokojowej Nagrody Nobla. Chociaż decydenci, politycy i eksperci na ogół wiedzą o zagrożeniu klimatycznym i bez Greta, to jej obecność unaocznia problem, dodaje mu dramaturgii, czyni bardziej drażliwym i medialnie atrakcyjnym. Pomijam złośliwców i głupców, którzy dołożyli wielu starań, by ją zdyskredytować. Ale w całej tej historii brakuje mi trochę zwykłego uznania, takiego bez błysku fleszy, dla Greta, szczególnie tej sprzed kilku lat, jako osoby mądrej i odpowiedzialnej. Przecież w wystąpieniach publicznych bije na łeb wielu polityków czy ekspertów! Obawiam się jednak, że nie potrafimy szanować ludzi młodych, nawet jeśli ich wiedza, poczucie odpowiedzialności i postawa budzą szacunek. Zwykle traktujemy ich z pewną, bywa, że skrywaną, pobłażliwością albo w sposób protekcyjny. Tak, jakby ich winą była młodość!

Nie potrafimy szanować ludzi młodych, nawet jeśli ich wiedza, poczucie odpowiedzialności i postawa budzą szacunek.

Pokutuje przekonanie, że mądrość przypisana jest starszym, by nie rzec – starym. Powiedzenie „ryby i dzieci głosu nie mają” powtarzamy coraz rzadziej, ale przekonanie o wiedzy, doświadczeniu i mądrości ludzi dorosłych tkwi w nas głęboko. Pytanie, kiedy dorastający człowiek jest już wystarczająco dorosły i odpowiedzialny, a więc zdolny do rozpoznania i rozumienia świata, samodzielnego podejmowania decyzji i udziału w życiu społecznym, publicznym i politycznym, jest otwarte, niezależnie od arbitralnych decyzji formalnoprawnych.

Niegdyś mądrości odmawiano kobietom i przez wieki akceptowano

Młodzi – do urn!

Czy wymóg ukończenia 18 lat, by mieć czynne prawo wyborcze, jest niewzruszalnym kanonem?
W kilku krajach mogą głosować 16-latkowie



Dlaczego Maciej Rauhut i jemu podobni nie mogą wybierać polityków lokalnych, krajowych, europejskich, prezydenta, uczestniczyć w referendach?

ich pełną zależność od mężczyzn ze względu na ponoć intelektualną i fizyczną słabość ich natury. Ta rzekoma ułomność eliminowała je z życia publicznego! Dziś może się wydać zabawne, że sufrażystki zaprzeczały tym przekonaniom, przyjmując męskie zachowania i niektóre elementy

ubioru! Tak jakby pozowanie na mężczyzn miało przeczyć rzekomo przyrodzonej ułomności. W Polsce kobiety zdobyły prawa wyborcze relatywnie wcześniej, bo w 1918 r., ale przecież walka o równouprawnienie trwa. Nadal kobiety za tę samą pracę dostają niższe wynagrodzenie niż mężczyźni.

Limitowanie dostępu do praw publicznych i politycznych chyba zawsze było elementem gry interesów uprzywilejowanych grup społecznych, którym utrzymanie *status quo* dawało gwarancję zachowania przywilejów i pozycji. Zwykle zachowawczość wspiera tradycja. Świat zachodni od XIX w. do lat 70. XX w. trwał

przy prawie wyborczym dla 21-latków tylko dlatego, że w średniowiecznej tradycji angielskiej w tym wieku pasowano młodzieńców na rycerzy. W czasie wojny wietnamskiej amerykańscy politycy wysyłali do Wietnamu zdolnych do walki i umierania na polu bitwy 18-latków poborowych, którzy jeszcze nie mieli prawa wyboru tych polityków. Obniżenie wieku wyborczego w USA z 21 lat do 18 nastąpiło dopiero w 1971 r. i nie było to następstwem dobrej woli decydentów, ale buntu młodych w 1968 r.

O dojrzałości młodych decydują dojrzałość, którzy siłą inercji tkwią w przekonaniu, że mądrość i rozsądek im przynależy. Nawet jeśli wiele ich decyzji trudno uznać za mądre i dojrzałe. Odwaga myślenia zdarza się niezależnie od wieku, ale chyba częściej to cecha młodych.

Dojrzałość młodych w świetle przepisów prawa wydaje się jednoznaczna, choć nie do końca. Długo osobisty 18-latek jest potwierdzeniem jego praw obywatelskich, a świadectwo maturalne zwane jest „świadectwem dojrzałości”. Do tego czasu za obowiązek nauki, podobnie jak i obowiązek szkolny, odpowiadają rodzice. 18-latek może głosować, założyć rodzinę, kupić alkohol. Ale jeśli chodzi o zbliżenia seksualne, małoletniość kończy się wraz z osiągnięciem 15. roku życia. W przypadku związków małżeńskich w nagłych potrzebach sąd rodzinny może obniżyć wiek panny młodej do lat 16. Prawo kanoniczne jest jeszcze łaskawsze dla młodych, określając minimalny wiek dla mężczyzny na lat 16, kobiety – 14. Akurat w praktyce obserwujemy tendencję odwrotną; związki małżeńskie są na ogół zawierane później (jeśli w ogóle!), ale nie wynika to z dojrzałości biologicznej, lecz z uwarunkowań społecznych i ekonomicznych. Według Kodeksu karnego 17-latek odpowiada jak dorosły, pozostając młodocianym do 21. roku życia. W określonych sytuacjach już 15-latek może także

► odpowiadać jak dorośli. Przyjęto tu kryteria funkcjonalne, biorąc pod uwagę nie tylko wiek, ale też względy wychowawcze orzekanych kar i wagę czynu zabronionego.

W praktyce młody człowiek jeszcze przed nabyciem praw wyborczych może decydować o najważniejszych osobistych planach życiowych. Czy to znaczy, że jest nieprzygotowany, by decydować o sprawach społecznych, publicznych, politycznych? Chyba jest wprost odwrotnie. Rozwój intelektualny w dobie społeczeństwa informatycznego jest przyspieszony. W dodatku widać pewną społeczną asymetrię: to młodzi w pełni korzystają z możliwości informatycznych nowych technologii, wykluczenie technologiczne dotyczy raczej osób starszych.

Gdy 14-latek z Krapkowic Maciej Rauhut udostępnił post o Strajku Kobiet, zainteresowały się nim organy ścigania, bo „namawiał do udziału w zgromadzeniu”, za co grozi osiem lat więzienia. To niejeden przypadek, gdy policja traktuje nastolatków jako pełnoprawnych oponentów politycznych, poświadczając w pośredni sposób ich dojrzałość.

Media wykorzystują takie przypadki jako dowód rażącej nadgorliwości represyjnej policji wobec *de facto* dzieci i zapewne tak jest, ale dla mnie o wiele ważniejsze jest to, że ci młodzi ludzie prezentują bardzo dojrzałe poglądy, niezależnie od tego, czy się z nimi zgadzamy, czy nie. Dzięki internetowi poznałem wypowiedzi Macieja i nie są to teksty nierozgarniętego dzieciaka, ale spostrzeżenia intelektualnie zborne i dojrzałe. Maciej Rauhut to nie medialna ciekawostka, nośny przykład używany przez wielu publicystów i polityków w bieżącej walce politycznej. On i wszyscy jemu podobni potrafią myśleć samodzielnie, oceniać sytuację i głosić własne poglądy w ważnych sprawach. Nie znajduję powodu, by jedynym miejscem ich aktywności publicznej i politycznej była ulica.

Dlaczego więc Maciej i jemu podobni nie mogą wybierać polityków lokalnych, krajowych, europejskich, prezydenta, uczestniczyć w referendach? Czy wymóg 18 lat, by mieć czynne prawo wyborcze, jest niewzruszalnym kanonem? W kilku krajach już teraz mogą głosować 16-latkowie. Dlaczego nie w Polsce?

To pytanie należy postawić, jeśli nawet oznacza ono potrzebę wielu zmian w ordynacji wyborczej i konstytucji. Należy je postawić szczególnie teraz, w czasach niepewności, zagrożeń, nieprzewidywalnych zmian niemal we wszystkich dziedzinach życia politycznego, gospodarczego, ekonomicznego i społecznego. Taka możliwość to również odpowiedzialność za projekcję przyszłości wykraczającej poza życiorysy ludzi zaawansowanych wiekowo.

Warto to zrobić bez zastępowania stereotypu o mądrości i odpowiedzialności starszych stereotypem o odwadze myślenia i działania młodych. Raczej należy uwzględnić szersze grono społeczne w procesie współdecydowania o przyszłości kraju. Nie ma potrzeby, by swoje frustracje polityczne młodzi manifestowali tylko na ulicy.

Elementem mrozącym dyskusję na ten temat jest, być może, potrzeba zmiany konstytucji. Ale by to zrobić, trzeba najpierw tego chcieć!

Witold Graboś był senatorem III kadencji, dwukrotnie wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

40 ważnych rozmów

Rozmowy „Trzech na jednego” ukazują się w „Zdaniu” od 1978 r. Pierwszą opublikowało „Zdanie”, kiedy było wydawnictwem Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, działającym w owym czasie w Krakowie. Dopiero w latach 80. przekształciło się w regularny miesięcznik, którego rozmowy „Trzech na jednego” stały się znakiem rozpoznawczym i zdobyły rozgłos. Znalazło to potwierdzenie w ich wydaniu książkowym (Czytelnik, Warszawa 1986). Rozmowy z lat 1986-1989 również wyszły w formie książkowej (Kraków 1990), natomiast „Zdanie” na cztery lata zniknęło z rynku prasowego, by powrócić w roku 1994 jako kwartalnik ukazujący się dwa razy w roku w formie podwójnych numerów łączonych, gdyż na więcej brakuje pieniędzy. Odtąd w każdym numerze jest rozmowa „Trzech na jednego” z reprezentatywnymi przedstawicielami świata nauki, kultury i polityki. Do połowy 2020 r. ukazało się ich 40, zarówno w postaci papierowej, jak i elektronicznej (są dostępne w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej).

Kto jest bohaterem rozmów? Dominują przedstawiciele świata nauki. Na 40 rozmówców aż 28 to nauczyciele akademicki, w tym 26 profesorów tytularnych i ośmiu

członków PAN. Kulturę reprezentuje 11 osób, politykę zaś 12. Dobór rozmówców nie jest przypadkowy, intencją redakcji było bowiem stworzenie takim właśnie osobowościom możliwości wypowiedzenia się na różne tematy, zwłaszcza zaś opowiedzenia swojej biografii. Walorem wywiadów jest bardzo osobisty i niekoniumkturalny charakter wypowiedzi głównych bohaterów, gdyż większość z nich, jeśli obecnie uczestniczy w życiu publicznym, to nie po to, by się ubiegać o zaszczyty i stanowiska, lecz by wyrazić swój pogląd bądź postawę wobec danych wydarzeń, nierzadko krytyczną.

Co ważne i warte podkreślenia, pomysłodawcą tego monumentalnego tomu jest wieloletni redaktor naczelny „Zdania” Edward Chudziński, który w ten sposób niejako podsumowuje swoją pracę w piśmie.

Książka ma charakter dokumentacyjno-archiwalny. Nie będzie dostępna w dyskusji komercyjnej. Poza autorami otrzymają ją bezpłatnie biblioteki naukowe, specjalistyczne i niektóre publiczne, a także organizacje, instytucje oraz osoby zainteresowane poznaniem i dokumentowaniem życia społecznego i intelektualnego w Polsce przełomu XX i XXI w.

Trzech na jednego. Rozmowy „Zdania”, pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, Imago, Kraków 2021



Kierujemy się tym, co nas łączy

Nie może być tak, że najwyższy rachunek za wyjście z kryzysu zapłacą pracownicy

Andrzej Radzikowski

Powszechnie dostępna, dobrze zorganizowana i godnie opłacana praca jest gwarancją stabilizacji i zadowolenia obywateli. A to z kolei jest podstawą stabilnego państwa.

Dzisiaj, w obliczu narastającego kryzysu, słowo praca nabiera szczególnego znaczenia. Koronawirus niszczy zdrowie i gospodarkę, a tym samym względną stabilizację milionów polskich rodzin. Padają zakłady pracy, ludzie idą na bezrobocie. Ci zaś, którzy codziennie bez wytchnienia walczą z pandemią, a także ci, którzy muszą być przy swoich stanowiskach pracy, ponoszą konsekwencje wieloletnich zaniedbań, płacąc za to zdrowiem i życiem. Mimo to jesteśmy przekonani, że sytuacja wróci do normy. Ważne jest jednak, aby była ona przyjazna pracownikom.

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych walczy o utrzymanie miejsc pracy, o wprowadzenie mechanizmów, które pozwolą godnie i w zdrowiu przetrwać epidemię, aby zabrać się do odbudowy gospodarki. Przed nami wielkie wyzwania: sprawiedliwy i racjonalny podział miliardów euro z europejskiego Funduszu Odbudowy oraz umowy partnerskiej, Europejski Zielony Ład, transformacja energetyczna, uzgodnienie umowy społecznej regulującej obszary rynku pracy i gospodarki po pandemii. Stajemy przed trudnymi negocjacjami z pracodawcami i rządem. Chcemy wierzyć zapewnieniom jego przedstawicieli, że priorytetem jest utrzymanie jak największej liczby miejsc pracy oraz zabezpieczenie płynności finansowej firm, ale będziemy to sprawdzać.

Cierpliwie prezentujemy nasze racje na forum Rady Dialogu Społecznego. W kwietniu odbyło się jej plenarne posiedzenie poświęcone Krajowemu Planowi Odbudowy i Zwiększenia Odporności (KPO). Obszerną informację w tej sprawie przedstawił premier Morawiecki. Uważamy, że plan może oznaczać cywilizacyjny skok dla Polski. KPO zawiera w wielu miejscach trafne diagnozy i ambitnie definiuje cele rozwojowe, ale nie wskazuje instrumentów służących ich realizacji. To utrudnia ocenę jego zapisów pod kątem deklarowanej przez rząd spójności zaprojektowanych działań z politykami krajowymi i unijnymi. Uważamy np., że projekt nie jest w pełni zgodny z wytycznymi Komisji Europejskiej, w szczególności tymi, które dotyczą wzmocnienia dialogu od społecznego.

OPZZ oczekuje od rządu, że adresatami działań proponowanych w KPO będą, obok przedsiębiorców, pracownicy, a priorytetowym celem polityki społeczno-gospodarczej państwa stanie się wyjście z pułapki średniego dochodu i zapewnienie pracującym wyższych wynagrodzeń. Trudno zakładać, że Polska będzie w najbliższych



latach dokonywała przyspieszenia modernizacyjnego ze śmieciowym zatrudnieniem, niepewnością na rynku pracy i niskimi płacami. Dotyczyć to musi zarówno pracowników polskich, jak i migrujących. Niestety, rządowi eksperci wysoką jakością miejsc pracy chcą budować poprzez dalsze doskonalenie elastycznych form zatrudnienia. Takie podejście jest sprzeczne

nie tylko z rządową Strategią Odpowiedzialnego Rozwoju, ale też z zasadami europejskiego filaru praw socjalnych.

Wyzwania w obszarze transformacji klimatycznej w ocenie OPZZ wymagają, aby projekty finansowane w ramach KPO przyczyniały się do tworzenia miejsc pracy, zwłaszcza w sektorach i regionach najsilniej związanych z wydobywaniem i produkcją energii. OPZZ konsekwentnie dąży do przyjęcia zasady: miejsce pracy za miejsce pracy. W tym kontekście oczekujemy wdrażania nowoczesnych rozwiązań, eliminujących emisję szkodliwych substancji, w segmencie energetyki opartej na rodzimych zasobach (przetwarzanie dwutlenku węgla oraz technologie wodorowe).

Odnosząc się do strategicznej kwestii ochrony zdrowia, zwróciliśmy uwagę na fakt, że w KPO rząd nie dostrzega innych zawodów – ani ich rozwoju – niż zawody medyczne. Zaplanowano ponadto niewystarczające środki na potrzeby budowlane i sprzętowe w tym sektorze. OPZZ

OPZZ oczekuje od rządu, że adresatami działań w Krajowym Planie Odbudowy będą, obok przedsiębiorców, pracownicy.

wskazało także konieczność wzmocnienia publicznych usług cyfrowych w ochronie zdrowia. Zwróciliśmy uwagę, że w zapisach KPO wyznacza się ministra rozwoju, pracy i technologii jako organ upoważniony do działań wdrażających wsparcie uzdrowisk. W naszej ocenie powinien to być minister zdrowia jako odpowiedzialny za lecnictwo uzdrowiskowe.

Z informacji przedstawicieli rządu wynika, że powstała nowa wersja KPO uwzględniająca część uwag partnerów społecznych. OPZZ zwróciło się o jej przekazanie do dalszych dyskusji na forum Rady Dialogu Społecznego, jednak do tej pory nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Oczekujemy racjonalnych i skutecznych działań władzy. To nie my, pracownicy, zlekceważyliśmy sygnały o nadciągającej epidemii! To nas, pracowników – pomimo ostrzeżeń OPZZ – mamiono wizją państwa dobrobytu. COVID-19 brutalnie zweryfikował sny o potęgde. Mimo to jesteśmy gotowi do wspólnego działania, aby wyjść z kryzysu. Nie może jednak być tak, że najwyższy rachunek zapłacą pracownicy! Kierujemy się tym, co nas łączy!

Lekceważenie Związku Radzieckiego oraz wiara w wielkość i mocarstwowość Polski, Francji czy Wielkiej Brytanii spowodowały, że przez długi czas wojny polscy politycy, a i Polacy karmieni propagandą rządową, wierzyli we własną i Wielkiej Brytanii wielkość. Otrzeźwienie zaczęło przychodzić jesienią 1943 r., a zwłaszcza po przemówieniu premiera Winstona Churchilla wygłoszonym 22 lutego 1944 r. w brytyjskim parlamencie. Od tego czasu nie tylko emigracyjne elity wiedziały, jaki kształt przybierze Rzeczpospolita po zwycięstwie koalicji antyhitlerowskiej, które nastąpiło dopiero w maju 1945 r.

Poniższy tekst jest fragmentem jednego z dokumentów, wydrukowanych w wersji oryginalnej w wydaniu przez Fundację Oratio Recta zbiorze „Jaka Polska po wojnie. Ani sanacyjna, ani sowiecka” pod redakcją Pawła Dybiczka i Józefa Stępnia.

(PD)

Polska – Anglia – Rosja¹

1. Churchill popiera Linję Curzona

22 lutego Churchill wygłosił w Izbie Gmin przemówienie, poświęcone przeglądowi sytuacji wojennej i politycznej. Ta część przemówienia, która dotyczyła spraw polsko-rosyjskich, przybrała formę jaskrawego nacisku na Polskę. Choć sens rzeczowy nacisku Churchilla w niczym nie odbiega od dotychczasowych rad angielskich, jego forma brutalna do głębi wzbudziła polską opinię publiczną.

Dla Polaków był Churchill przez te cztery lata potopu – wielkim przywódcą ludzkości w walce o lepszy i sprawiedliwszy świat. Swym niemoralnym wystąpieniem zdegradował się

Churchill: My sami nigdy w przeszłości nie gwarantowaliśmy ze strony rządu żadnej specjalnej linii granicznej Polsce.

do poziomu przeciętnego brytyjskiego premiera. My, Polacy, mamy na tyle rozsądku, że moglibyśmy zrozumieć wiele: i obecną trudność położenia politycznego Anglii, i jej wysiłki zmierzające do położenia tamy zabobrości sowieckiej przez związanie Sowietów ustępstwami. Ale nigdy nie zrozumiemy i nigdy nie przebaczymy niegodnego i niemoralnego powiedzenia, iż rosyjskie żądania graniczne wobec Polski są... sprawiedliwe!



Jaka Polska po wojnie

Mocne przemówienie Churchilla rok przed zwycięstwem koalicji antyhitlerowskiej

Uciszmy jednak naturalne wzburzenie uczuć i w chłodzie opanowania rozpatrzmy bieg wydarzeń.

„Polska” część mowy Churchilla: „Miałem okazję poruszenia osobiście ze Stalinem zagadnienia przyszłości Polski. Podkreśliłem, iż w wypełnieniu naszych gwarancji, udzielonych Polsce, W Brytanii wypowiedziała wojnę nazistowski Niemcom i nigdy nie osłabiliśmy w naszym postępowaniu, nawet w czasie, gdy

Związku Sowieckiego. Tutaj niech mi wolno będzie przypomnieć Izbie, że my sami nigdy w przeszłości nie gwarantowaliśmy ze strony rządu żadnej specjalnej linii granicznej Polsce. Nie aprobowaliśmy zajęcia przez Polaków Wilna w roku 1920. Brytyjski punkt widzenia w roku 1919 wyrażony został w »Linji Curzona«, która ustosunkowuje się w każdym razie bezstronnie do tego problemu. Wyrażałem zawsze zdanie, że wszystkie zagadnienia dotyczące uregulowania i zmian terytorialnych powinny być odłożone do zakończenia wojny i że zwycięskie mocarstwa powinny wtedy przystąpić do formalnej i ostatecznej ugody dotyczącej Europy jako całości. To jest wciąż jeszcze życzeniem rządu brytyjskiego”.

„Niemniej jednak postępy rosyjskich wojsk na obszarach Polski, w których polska armia podziemna jest czynna, stwarzają konieczność utworzenia przyjaźnie działającej ugody w warunkach wywołanych okresem wojny, celem umożliwienia wszystkim siłom przeciwhitlerowskim współpracy z największą korzyścią przeciwko wspólnemu wrogowi.

byliśmy zupełnie sami, że los narodu polskiego zajmuje naczelne miejsce w myślach i polityce rządu i parlamentu brytyjskiego. Z wielką przyjemnością posłyszałem od Stalina, że on również postanowił stworzenie i utrzymanie silnej, integralnej i niezależnej Polski jako jednego z czołowych mocarstw Europy. Stalin wielokrotnie powtórzył te oświadczenia publicznie i jestem przekonany, że reprezentuje on ustaloną politykę

Spotkanie Stalina i Churchilla
w Moskwie, październik 1944 r.

W ciągu ostatnich paru tygodni minister spraw zagranicznych i ja razem pracowaliśmy z rządem polskim w Londynie, mając na celu ustalenie układu współpracy, na zasadzie którego walczące siły mogłyby działać i na podstawie którego wzrosłaby budowa dobrej woli i koleżeństwa między Rosjanami i Polakami”.

„Mam bardzo silną sympatię dla Polaków, tego bohaterskiego plemienia, którego ducha narodowego stulecia nieszczęść nie zdołały uśmierzyć. Lecz ja mam również sympatię dla Rosjan. Dwukrotnie w okresie ich życia Rosja była napadnięta przez Niemcy, wiele milionów Rosjan zostało wymordowanych, a duże obszary ziemi rosyjskiej zostały spustoszone, jako wynik powtarzających się napaści niemieckich. Rosja ma prawo do zapewnienia² się przeciwko przyszłym atakom od zachodu. A my zamierzamy towarzyszyć jej, patrząc, aby nie osiągnęła tego jedynie przez potęgę swej broni, lecz przez potwierdzenie i zgodę Zjednoczonych Narodów”.

„Uwolnienie Polski może być wkrótce dokonane przez armje rosyjskie, które poniosły milionowe straty, krusząc niemiecką maszynę wojenną. Nie uważam, aby rosyjskie żądania w sprawie zabezpieczenia ich zachodnich granic wychodziły poza ramy tego, co jest umiarkowane, albo sprawiedliwe. Stalin i ja mówiliśmy także i zgodziliśmy się w sprawie uzyskania przez Polskę odszkodowania kosztem Niemiec zarówno na północy, jak i na zachodzie”.

Jaki jest sens tego przemówienia? Przemówienia premiera w parlamencie mają zawsze charakter aktów politycznych. Każde zdanie jest tam odmierzone. Uważne wczytanie się w oświadczenie Churchilla odsłania następujące intencje rządu brytyjskiego:

Anglia w dalszym ciągu usiłuje sprowadzić spór rosyjsko-polski wyłącznie do zagadnień terytorjalnych. To znaczy, że kosztem okrojenia ziem polskich na rzecz Rosji – dąży do uchronienia przed zaborczością sowiecką niepodległość Polski.

Anglia wiąże ustępstwa graniczne Polski na wschodzie z uzyskaniem przez Polskę nabytków na północy

i na zachodzie. Jak się zdaje chodzi tu o część Prus Wschodnich (Mazowsze Pruskie, Warmia i część pobraża zachodniego, gdyż do części północno-wschodniej Prus, wraz z Królewcem, zgłasza pretensje Rosja) oraz o tę część Śląska Górnego, która przed 1939 r. pozostawała w rękach niemieckich. Zdaje się, że wchodzi także w grę zwiększenie wybrzeża polskiego, przez przesunięcie granicy na zachód od naszego Pomorza. Anglia przyjmuje jako punkt wyjścia do unormowania stosunków polsko-rosyjskich tzw. „Linję Curzona”

Anglia usiłuje sprowadzić spór rosyjsko-polski wyłącznie do zagadnień terytorjalnych.

z 1919 r., która włącza do Polski województwa Białostockie, biegnie Bugiem, ale urywa się przed Małopolską Wschodnią i nie przesądza przynależności Lwowa.

Anglia pragnie odroczyć ostateczne załatwianie spraw granicy polsko-rosyjskiej na czas po zakończeniu działań wojennych, na razie zaś doradza jedynie ustanowienie tymczasowego rozgraniczenia dla wyswabdzanych obszarów. Historia uczy jednak, że takie „tymczasowe linje” z wielkimi trudnościami ulegają poprawkom.

Tyle, jeśli chodzi o wnioski rzeczowe. Co się tyczy t ł a deklaracji Churchilla, to dopasowuje się ona do dzisiejszej rzeczywistości wojennej, do siły, jaką w tej chwili przedstawiają Sowiety. Tylko zwycięstwa Anglii na Kontynencie Europy mogą zmienić politykę rządu brytyjskiego.

Ostry, brutalny ton deklaracji stoi w prostym stosunku do niezłomnego oporu, stawianego obecnej polityce brytyjskiej przez Polskę, przez rząd nasz oraz przez opinię Kraju i Emigracji. Churchill widać sądzi, że taka forma „orzeźwi” Polaków.

Deklaracja Churchilla nie narusza l i t e r y traktatu polsko-brytyjskiego, w którym nie było punktu gwarantującego nietykalność granicy polsko-rosyjskiej, niewątpliwie jednak narusza d u c h a tego traktatu, stanowiąc nielojalność sprzymierzeńca angielskiego wobec Polski.

2. Ograniczanie zahorczości Rosji przez współpracę

Oświadczenie Edena. W dyskusji nad przemówieniem Churchilla zabrakł głosu angielski minister spraw zagranicznych Eden, który m.in. powiedział:

„Słowa Churchilla o problemie polskim były bardzo starannie dobrane. Premier powiedział, że zgodził się z marsz. Stalinem co do tego, że Polska na zachodzie i północy ma otrzymać odszkodowanie kosztem Niemiec...”. (...)

¹ Tekst pochodzi z „Biuletynu Informacyjnego”, najważniejszego pisma konspiracyjnego wydawanego przez Komendę Główną AK, i datowany jest na 2 marca 1944 r.

² To słowo zostało albo błędnie przetłumaczone, albo zniekształcone w procesie przygotowywania druku. Prawdopodobnie Churchill użył tu słowa zabezpieczenie.

JAKA POLSKA PO WOJNIE? ANI SANACYJNA, ANI SOWIECKA

**Kto ma rządzić?
Jakie będą granice?
Co z reformą rolną?**

44 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 44 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.





0 dwóch takich, co znalazły w Polsce El Greca

Bogactwo, które można znaleźć
w kościołach, jest nieprawdopodobne

KATARZYNA KOWALSKA

– dokumentalistka

Rozmawia Artur Zaborski

Po II wojnie światowej władze komunistyczne zarządzają inwentaryzację dzieł sztuki w Polsce. Liczenie strat po wojnie?

– Inwentaryzację zabytków przeprowadzali pracownicy Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Proces ten miał na celu spisanie wszystkich zabytkowych obiektów niezależnych się w muzeach i nienależących do osób prywatnych. Oznaczało to udokumentowanie wszystkich zabytkowych obiektów w dworach, pałacach, kościołach czy kapliczkach. Dyrektorem Instytutu Sztuki PAN przez wiele lat był prof. Juliusz Starzyński, za czasów jego zarządzania placówką inwentaryzacja najbardziej się rozwinęła.

Jak to wyglądało w praktyce?

– Tworzono dwuosobowe zespoły, które miały badać zabytkowe obiekty na terenie Polski. Na początku lat 50. było jeszcze mało dokumentacji fotograficznej i faktograficznej. Brakowało szczegółowych map. Zdarzało się, że badacze przed wyjazdem na podstawie szczątkowych informacji sami rysowali takie mapy lub – jeśli mieli taką możliwość – zdobywali mapy wojskowe. Widniała na nich pieczęć „tajne/poufne”. Ci, którzy nie byli zatrudnieni w instytucie na etacie, musieli sami szukać środka transportu, żeby dotrzeć w teren. Pakowali więc najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka, brali statyw od aparatu oraz tubę z mapą i przemierzali Polskę pociągiem, a potem na rowerach.

Brzmi jak przygoda.

– Izabella Galicka, która przeprowadzała inwentaryzację z Hanną Sygietyńską, powiedziała, że wyjazdy były dla niej czymś takim, jak dziś dla młodych ludzi jest chwycenie plecaka i przemierzanie Kazachstanu. Kiedyś tak wyglądało zwiedzanie Polski. Myślę, że Izę Galicką to pociągało najbardziej. Wspinano się po górach, jeżdżono na rowerze po bezdrożach, cały czas aktywna, a więc trafiła się jej praca marzeń. Z jednej strony interesowały ją zabytki i historia, z drugiej mogła być ciągle w ruchu, co bardzo jej odpowiadało.

Nie prościej było zapytać księży i mieszkańców dworu o to, co mają na stanie?

– Od tego zazwyczaj zaczynały. Ale jeśli chodziło o dworek, który przed wojną należał do rodziny magnackiej, trudno było w czasach komunizmu z kimkolwiek rozmawiać w tym miejscu o sztuce. Budynek przechodził w ręce państwowe, a jeśli cokolwiek cennego się ostało, raczej nikt nie zdawał sobie sprawy z wartości obiektu. Zdarzało się, że zabytkowe meble rąbano na opał. W latach 60. pojawił się nakaz państwowy, według którego księży mieli dokonać spisu

posiadanych dóbr, aby na Kościół można było nałożyć podatki. Pojawiła się wówczas grupa tzw. księży patriotów, jak określano duchownych, którzy godzili się na współpracę ze służbami i władzą.

Jak księży zareagowali na ów nakaz?

– W pamiętnikach Hani i Izy wielokrotnie przewija się motyw poszukiwania odpowiedniego sposobu na prowadzenie rozmowy z duchownymi, którzy, gdy dowiadawali się, że badaczki przyjechały na inwentaryzację, zatraskiwali im drzwi przed nosem. Czasami ktoś musiał udzielić im pomocy w dostaniu się do zakrystii, bo proboszcz był negatywnie nastawiony do ich pracy. Umiejętność rozmowy była niezwykle ważna i otworzyła im najwięcej możliwości. Iza była bardzo otwarta, charyzmatyczna i nie bała się kontaktu z ludźmi. Zawsze patrzyła głęboko w oczy. Hania natomiast miała niezwykle błyskotliwe poczucie humoru. Trzymała się z boku, była skromna i cicha, ale ciętym żartem przełamwała nieufność i dystans niejednego księdza. Jej nazwisko było zresztą bardzo znane w regionie ze względu na Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”, założony przez jej stryja, Tadeusza

Katarzyna J. Kowalska – reżyserka i scenarzystka filmu „Polski El Greco” oraz autorka książki o tym samym tytule. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim oraz realizacji filmowo-telewizyjnej w PWSFTviT im. L. Schillera w Łodzi. Jako współpracowniczka Telewizji Polskiej przez wiele lat realizowała materiały reporterskie oraz reportaże o tematyce kulturalnej i historycznej. W 2016 r. otrzymała tytuł Dobroczyńcy nadany przez Muzeum Narodowe w Krakowie. W 2019 r. została finalistką Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej dla Autorki Gryfia.

Sygietyńskiego. Duchowni bali się, że będą musieli zapłacić większy podatek od tego, co posiadają, więc ukrywali, co tylko mogli.

I to im się udawało?

– W jednej ze scen mojego filmu Iza znajduje się w zakrystii w Kosowie Lackim z obecnym proboszczem Pawłem Anusiewiczem, który bez skrępowania otwiera skarbiec i wyjmuje z niego kielichy oraz inne kosztowności. Iza pojechała tam z nami w 2019 r. Obejrzała wszystko i stwierdziła, że o istnieniu tych rzeczy nie miała pojęcia. Pobiegłam wówczas po „Katalog Zabytków Sztuki w Polsce”, w którym Iza i Hania opisywały zabytkowe przedmioty, i okazało się, że faktycznie nie zostały one uwzględnione. Zapytałam, jak to możliwe. Iza odparła krótko, że ksiądz nie pokazał im wszystkiego. Pytanie, ilu było takich duchownych. Nie chcę myśleć, jak wiele rzeczy przeszło bez echa.

Nie obawiano się, że po spisaniu kosztowności dojdzie do rabunków drogocennych rzeczy?

– Fotograf Jerzy Langda, który również jeździł w teren z inwentaryzatorami, zwrócił mi uwagę, że format „Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce” to książeczka mieszcząca się w tylnej kieszeni spodni. Można było kupić go w kioskach, często korzystano z niego w bibliotekach. Mogli to robić badacze lub osoby, które interesował teren, ponieważ chciały zwiedzić kawałek Polski. Jednak zdarzało się, że korzystali z niego również rabusie. Czasem na korytarzach Instytutu Sztuki mówiono o nim prześmiewczo, że to poradnik dla złodziei.

Możemy zakładać, że wciąż nie do końca wiemy, co aktualnie znajduje się w parafiach w całej Polsce?

– Myślę, że nie tylko w parafiach. Choć rzeczywiście bogactwo, które można znaleźć w kościołach, jest nieprawdopodobne. Przetrwało ono II wojnę światową, a pamiętajmy, że kościoły były wówczas rabowane lub palone. Bardzo ciekawe jest też to, co pozostało w dworach i pałacach, które należały niegdyś do rodzin magnackich jeżdżących po Europie i przywożących skarby. Ich przedstawiciele bardzo lubili sztukę. I nie

chodzi tylko o to, że nowi lokatorzy dworów albo księża coś ukryli.

Co jeszcze mogło stanąć na przeszkodzie?

– Pojawia się także pytanie o grupę ludzi zajmujących się daną sprawą, o ich intencje. Mogli nie uświadamiać sobie, co posiadają. Gdybyśmy teraz przejechali się po małych miejscowościach inwentaryzowanych w latach 60., po wszystkich strychach i piwnicach opisywanych w „Katalogach Zabytków Sztuki w Polsce” jako zabytkowe obiekty pochodzące z XVIII i XIX w., zobaczylibyśmy, jak często niszczej. Nadal nie zwraca się na nie uwagi. I jest inna ważna kwestia – jeśli

Po wojnie tworzone dwuosobowe zespoły, które miały badać zabytkowe obiekty na terenach Polski.



W 1964 r. Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska odnalazły w kościele w Kosowie obraz El Greca. Siedlce, 2004 r, w 40. rocznicę odkrycia.

na cenny obiekt natrafiają osoby, które rzeczywiście chcą poświęcić mu swój czas, możemy mówić o szczęściu. Z pewnością w wielu sytuacjach po prostu odpuszczono, chciano wykonać swoją pracę i iść dalej. Mam nadzieję, że odnajdziemy jeszcze obrazy, które były w naszych zbiorach, a które wciąż uznawane są za zaginione, albo obiekty, o których istnieniu po prostu nie wiemy.

Iza i Hanna podczas inwentaryzacji dokonały spektakularnego odkrycia – natrafiły na „Ekstazę św. Franciszka” El Greca. Jak do tego doszło?

– W 1964 r. dziewczyny trafiły do kościoła w Kosowie, gdzie – być może przez przypadek – dostrzegły przez uchylone drzwi do mieszkania księdza zakurzony obraz. Nie do końca wiadomo, kto pierwszy zajrzał przez te drzwi. Płótno było nadgryzione zębem czasu, miało uszkodzony górny lewy róg. Iza i Hanna natychmiast zwróciły na nie uwagę. Witalis Wolny, który był z nimi w Kosowie, sfotografował obraz. Po wywołaniu fotografii ruszył z nimi w teren prof. Jerzy Sienkiewicz. Zasugerował on, aby zbadać pismo pędzlem, bo właśnie w nim mógł być ukryty klucz do rozwiązania zagadki.

Dlaczego nikt więcej nie zainteresował się tak niesamowitym odkryciem?

– Środowisko było mocno podzielone. Inwentaryzatorzy mieli być kimś w rodzaju rzemieślników, wykonywać swoją pracę i nie ściągać na siebie uwagi. Z drugiej strony Iza i Hanna do Warszawy wróciły z solidnym materiałem. Wyniki swoich badań opublikowały w „Biuletynie Historii Sztuki”. Ekspertcy byli przeciwni badaniom i w ten sposób zaostriżył się podział na dwa obozy. Koleżanki z instytutu zostawiały Izie i Hani liściki z gratulacjami na stole, bano się mówić o sprawie głośno. Może gdyby ktoś to zrobił, zwrócił uwagę, że należy docenić pracę naszych bohaterów, wszystko potoczyłoby się inaczej i szybciej. Na szczęście historia ma pozytywne zakończenie: obraz przetrwał, ocalał, możemy go oglądać w muzeum. Ale na pewno nie wszystkie sprawy miały taki finał, głównie z powodu braku zaufania.

Pieć Izy i Hanny odgrywała znaczenie?

– Miały wówczas 34-35 lat, były młodymi dziewczynami. Chciano je po prostu uciszyć. Odkrycia, których dokonywali mężczyźni, były od razu opisywane w prasie. Jeden z inwentaryzatorów opisał ołtarz, którego autorstwo przypisał Witowi Stwoszowi. ▶

► Wydarzenie obwieszczono na pierwszej stronie „Kuriera Polskiego” na początku lat 70. Być może to zbieg okoliczności, ale na pewno była rywalizacja między zespołami. Druga sprawa to profesorowie, autorytety w swoich dziedzinach, których opinia mogła przekreślić czyjeś odkrycie. Tak było w przypadku uznania przez środowisko odkrycia obrazu El Greca. Prof. Jan Białostocki powiedział dziennikarzom, że obraz z wizerunkiem św. Franciszka nie mógł zostać namalowany przez tego artystę, bo jest słaby. Być może zaważyło to, że prof. Białostocki był przyzwyczajony do oglądania obrazów w muzeach, dobrze oświetlonych, odrestaurowanych. Mógł mieć problem z rozpoznaniem dzieła, które było mocno przemalowane, w dodatku znajdowało się na plebanii w małej podlaskiej miejscowości.

Zanim o polskim El Grecu zrobiło się głośno, Iza i Hanna były wyśmiewane.

– Sformułowania stosowane wobec nich, pozornie żartobliwe, obniżały ich rangę. Nie wiadomo, skąd się wzięło określenie Elgreczynki, ale było ono często używane, powstał nawet reportaż o takim tytule. Zmieniło ono już pierwotne nacechowanie, ale należy pamiętać, do czego kiedyś służyło. Kiedy ich odkrycie zostało uznane, w pewnym momencie padło na nie światło reflektorów i stały się bohaterkami. Ale te kilka lat od roku 1967 do 1974 było bardzo trudne. Środowisko wpłynęło w znaczący sposób na ich samopoczucie. O obrazie mogły rozmawiać jedynie za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju, czuły zawód i rozgoryczenie. Nawet nie dlatego, że nie uznano ich odkrycia – bardziej dlatego, że nikt nie podjął żadnych działań, aby obraz został przebadany. Jedyną rzeczą, która się udała, było naoczne sprawdzenie obrazu, obejrzenie go ze wszystkich stron.

Co wówczas ustalono?

– Na tym etapie udało się jedynie udowodnić, że podkład na płótnie odpowiada temu, którego mógł używać El Greco. Był to pierwszy sygnał, że trzeba przebadać jego autentyczność, czego nikt nie zrobił. Książd nie zgodził się na oddanie obrazu do jakichkolwiek badań czy na wystawę, ponieważ bał się, że zostanie on przejęty przez państwo. W momencie gdy zespół konserwatorów odkrył sygnaturę,

sytuacja się zmieniła. Wszyscy zaczęli chwalić nasze bohaterki za upór i ciężką pracę. Ich zasługą nie jest samo dostrzeżenie obrazu. Uznanie należy im się za wytrwałość – zbadały twórczość El Greca, pojechały do Budapesztu i Bukaresztu do muzeów, w których znajdowały się obrazy tego malarza, i porównywały sposób ich malowania do tego, który zobaczyły na plebanii w Kosowie Lackim.

Kto za to płacił?

– Wyjazdy opłacały ze swoich pieniędzy, jeździły w trakcie urlopów. Najważniejszym momentem był dla nich chyba rok 2004, kiedy obraz trafił na stałą ekspozycję w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach. Byli tam fotoreporterzy, powstały relacje, był to moment glorii i chwały. Nagrody i odznaczenia przyszły późno, chociaż powinny się pojawić na samym początku historii. Hania zmarła w 2017 r.,

Może odnajdziemy jeszcze obrazy, które wciąż uznawane są za zaginione.

a Iza w 2019. Odeszły w poczuciu spełnienia, bo doprowadziły sprawę do końca. U Izy w domu na honorowym miejscu w pokoju gościnnym do końca wisało kolorowe zdjęcie tego obrazu. Izie i Hani udało się dokonać również wielu innych odkryć, m.in. znalazły obraz Francesca Bassana, który znajduje się obecnie w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej i jest pięknie wyeksponowany.

Pani poświęciła Izie i Hannie książkę i film.

– Usłyszałam o ich historii, kiedy przygotowywałam felieton do programu informacyjnego, w którym wówczas pracowałam. Wszystko działało się przy okazji konserwacji obrazu El Greca, która odbywała się w Krakowie. Było o tym dosyć głośno. Wtedy dowiedziałam się o towarzyszących temu wydarzeniach. Poznałam wówczas Izę, która opowiedziała mi całą historię. Bardzo długo zastanawialiśmy się, jaki tytuł powinniśmy nadać filmowi. Mówi on o dwóch zdeterminowanych kobietach, które muszą przeciwstawić się zarówno własnemu środowisku negującemu ich odkrycia, jak i dziennikarzom. Zdecydowałam jednak, że tytuł pozostanie związany z obrazem, bo gdyby nie on, nie byłoby całej opowieści.

Skąd pani zdaniem El Greco wziął się w Polsce?

– W filmie opowiedziałam o hipotezie, według której znajdował się on u rodziny Krasińskich, która miała majątek nieopodal Kosowa Lackiego. Wincenty Krasiński walczył pod Somosierrą, mógł więc, wracając z Hiszpanii, przywieźć ten obraz do Polski. Dziennikarze dołożyli swoje trzy grosze i napisali, że obraz został przewieziony pod pachą przez jadącego konno szwoleżera i pozostawiony w Kosowie Lackim. Brzmi to absurdalnie i groteskowo, bo uczynili z tego śmieszną historyjkę, która odebrała zdarzeniu powagę. Nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego ostatecznie którąkolwiek z wersji. Najbardziej prawdopodobna jest ta, że obraz został zakupiony w antykwariacie przy ulicy Brackiej w Warszawie w latach 20 XX w. przez ks. Stanisława Szepietowskiego dla jego kuzyna, ks. Franciszka Dąbrowskiego – chciał podarować mu obraz jego patrona. Wydaje się to realne, ponieważ Szepietowski zaraz po ogłoszeniu odkrycia przez

dziennikarzy napisał do ks. Władysława Stępnia, u którego znaleziono obraz, z wyjaśnieniami. W 1974 r. napisał podobny, zaadresowany do Izy i Hani, które zaczęły badać sprawę.

Jakie mamy przesłanki, żeby uznać tę wersję za możliwą?

– Rzeczywiście istniał taki antykwariat, a obraz mógł tam się znaleźć i w latach 20. zostać zakupiony. Niestety, antykwariat został zniszczony w trakcie powstania warszawskiego, a wraz z nim cała dokumentacja. To bardzo racjonalna wersja wydarzenia, ale brakuje nam ostatecznego dowodu. Mało tego, już po nakręceniu filmu odezwał się do mnie mężczyzna, który twierdzi, że obraz od XIX w. należał do jego rodziny. Opisał całą historię związaną ze swoim rodem i dziełem. Wkrada się tutaj jednak mój sceptycyzm, ponieważ w latach 60. i 70. pojawiło się sporo listów, publikowanych zresztą przez prasę, które także szeroko i szczegółowo opisywały, jak obraz trafił do konkretnej rodziny, gdzie wisił, jak znalazł się w ich domach, a następnie w rękach księdza. Tyle że zawsze jakiś mały szczegół sprawiał, że historia traciła na wiarygodności. Zobaczmy, czy uda się zbadać tę, która pojawiła się teraz.

Artur Zaborski

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

W kaloszach, z pizzą między zębami

Kiedyś, robiąc na własne potrzeby swój *boys band*, użylibyśmy „kolorowego magazynu”, ale ponieważ teraz jesteśmy już niemal cyfrowi, najpierw drukujemy z netu kilka stron z przygodami celebrytów, a potem już z papieru wycinamy:

– chłopaka z *baby face* (niewinną buźką): wielkie oczy, blond loczek. Na pewno ma psa i chętnie poogląda z tobą twój rodzinny album. Potem robi koktajl z pietruszką i włącza „Przyjaciół”;

– bad boya: jest wyższy, potężniejszy. Zadarty nos, łańcuch na szyi, skórzana kurtka. Ręce chwacko założone na klacie, szeroki rozkrok, bic pulchny jak pieczarka;

– chłopca z katalogu z obuwem sportowym: szczupły, rozjaśniony, obsypany proszkiem do prania. Pije dużo wody, szybko stawia namiot. Kieszenie ma wypchane biletami na mecze (chętnie cię weźmie ze sobą!);

– efebę typ *emo*: oczy wypełnione melancholią, jedna łza drży w kąciaku, istnieje ryzyko, że w końcu zakotłusze się – i spadnie. Włosy ma czarne jak myśli ministra od edukacji, z granatowym szlakiem (minister ma szlak brunatny). Nasz *emo* ma zresztą wszystko czarne, nawet, przepraszam, duszę. On jeden wie, że wszyscy umrzemy.

Tak ułożony *boys band* naklejamy na kartkę, ekologicznie skanujemy, a potem rozsyłamy uroczystym memem w świat, ha, ha. Zazwyczaj działa.

Niebawem przeniesie się na youtube’y i netfliksy, zmieni płęć, rozsądzi się w serialach. Dobrze dobranych chłopców z naszej karcetki łatwo wypełnić treścią, która czeka w bazie stereotypu jak gotowy farsz do indyka.

Dobrze też zawsze zadziała kontrast i łatwy suspens. Powiedzmy: różowa blondynka z pieskiem na rękach dostaje się na prawo, emo gość w końcu daje komuś w pysk. Przemocowy dupek ładuje z grzywką w błocie. Sportowiec obnaża półkę pełną Prousta – i to jest ten twist. Układanie ludzkich puzzli i gotowych historii dla nich (a takie zestawy są zawsze skuteczne) to już od dawna nie jest zadanie dla ludzi, ale zabawa dla zmęczonych algorytmów.

Nie po to mamy w życiu bliźnich, że tak powiem, złożonych, żeby jeszcze się męczyć i np. w telewizji złożone charaktery studiować. Covid, północ, chory, zamknięty świat. Chcemy tylko spać. Jesteśmy w stanie oglądać jedynie zmagania prostych charakterów, wchtaniać proste historie. I tylko czasem, po długiej flaucie, mamy ochotę na coś ambitnego, z innej półki, na „oscarową rolę”. Niestety, wszystkie z prawdziwym Oscarem już widzieliśmy, trzeba poszukać tych z „potencjalnym Oscarem”. Jak je znaleźć? No więc tak:

– w głównej roli gwiazda, ale tym razem bez mejkapu, tłuste włosy, w buzi pizza, bluza z kapturem i wielka, zielona kurtka, tzw. parka. Posuwisty krok, okrągłe, zgarbione plecy. Jak najwięcej zbliżeń na „naturalną cerę”. Trzęsące się ambitnie ujęcia. Jeszcze puszcza, jeszcze pączek. Sztuczny nos, pigulek stos. Najlepiej, jak aktorka mocno przytyje „do roli” (na czerwony dywan przyjdzie już jak szczapa). Nieco grubsza jest tak prawdziwa, tak gra, że niemal można jej dotknąć, poczuć jej oddech na plecach. Albo ją oszpećmy, o! Jak Charlize Theron do „Monstera”? Publiczność nerwowo przygryzała wargi, obserwując jej transformację: jak to w ogóle możliwe?! Albo jak Kate Winslet w „Lektorze”? Zacerwienione ciało, które pocierała ryżową szczotką, niewiele miało wspólnego z alabastrem skóry Rose z „Titanica”. To było dopiero ambitne, prawda? Na przykład teraz. Kate jako Mare w nowym serialu HBO. Znów mocno stąpa po ziemi. Uśmiecha się w dół, jak Bogusław Linda, połowę pizzy łatwo żuje w buzi, na głowie ma jakby *ombré* (czarne

Czy świetna Winslet, genialna McDormand, bardzo dobra Theron muszą być tak do końca przeflancowane przez reżyserski algorytm, żeby było jasne, że kobieta bez makijażu się liczy?

od góry, jasne na dole), które straciło proporcje. Utyka i – to się znowu dzieje! – ma tę burą kurtkę! Wielką, wielgachną kurtkę właściwie, co mówi do nas prawdziwą prawdę jak skóra bad boya w boys bandzie: „Jestem bezkompromisowym ubiorem, narzędziem pracy osób, które nie muszą i nie chcą się podobać. Mają bowiem ważniejsze sprawy od zdrowej żywności i garderoby na głowie. Walkę o czyjeś życie, do cholery. Czyjś świat”.

Proszę was, czy to naprawdę musi być aż tak proste? Czy taka świetna Winslet, genialna McDormand, bardzo dobra Theron muszą być aż tak do końca przeflancowane przez reżyserski algorytm, żeby było jasne, że to feminizm, że kobieta bez makijażu się liczy, że taka w wielkiej kurcie robi ważne i piękne rzeczy („Zobaczcie, nie uwierzycie, nawet ci, co jedzą pizzę, mogą mieć szlachetne myśli, a ich czyny mogą być pożyteczne!”)?

Ja wiem, świętą patronką tych bohaterek jest ciężarna policjantka z „Fargo” i wszystkie jej serialowe następczynie – spokojne, lecz nieprzejednane. U źródła jest odpowiedź na głupi i obosieczny ejdżym producentów, którzy chcą zatrudniać głównie aktorki do dwudziestki. Ale może odpowiedź mogłaby być trochę bardziej skomplikowana niż zamach cepem, mechaniczne odchylenie wahadła w drugą stronę? Inaczej znów znajdujemy się na koncercie boys bandu. Patrzymy tylko na innego chłopaka.



ŚCIANA Cieni

reż. Eliza Kubarska, prod. Polska,
dostępny w serwisach VOD

Bohater „Ściany cieni”, Sierpa Nada, dziewięć razy zdobył Everest, dwa razy Kancenzongę, drugi co do wysokości ośmiotysięcznik

w Himalajach, i Czo Oju. Ale nigdy o nim nie słyszeliśmy, bo jest pomocnikiem alpinistów z Zachodu, na których sukcesy pracuje, nosząc ich sprzęt i przecierając szlaki. Sam pozostaje w cieniu. Reżyserka i himalaistka Eliza Kubarska reaguje na tę niesprawiedliwość filmem, który Nadę i jego rodzinę wybijają na plan pierwszy. Dokumentalistka towarzyszy swojemu bohaterowi w wyprawie z trzema turystami na świętą górę Sierpów. Dostajemy więc nie tylko opowieść o dysproporcjach społecznych, ale też lekcję komparatystyki kulturowej i charakterologicznej. Reżyserce, choć nie rozumiała języka Sierpów, udało się zarejestrować takie rozmowy Nady z kolegami, z których biją siła, pokora i mądrość. Rozumiane inaczej niż „nasze”. Bo Sierpowie wciąż stawiają w centrum naturę, a dopiero potem siebie.

Artur Zaborski



NIEZALEŻNE!

reż. Ovidie i Sophie-Marie Larrouy, prod. Francja, Arte.tv

Ovidie, znana francuska gwiazda porno, zrobiła jeden z najbardziej śmiałych seriali sezonu. Ale spokojnie – nie o skandale ani prowokację tu chodzi, tylko o obalenie mitów na temat menstruacji, golenia nóg, różnych rodzajów seksu czy *dick pics*. W każdym z krótkich odcinków przyglądamy się jednemu zagadnieniu, zawsze prezentowanemu z wielu perspektyw. Najciekawsza ta produkcja jest wtedy, gdy próbuje poddać analizie nasze przyzwyczajenia kulturowe. Ovidie zastanawia się, dlaczego chłopcy bazgrają na ścianach toalet penisy, a nie żeńskie narządy płciowe, dlaczego mówi się, że coś ma kształt falliczny, wreszcie dlaczego najgorsze bluzgi są synonimami waginy. Autorka nie ma wątpliwości, że to kwestia niskiej pozycji kobiety w kulturze. I tym serialem – pełnym złości, bezczelności i bezpośredniości, ale naszpikowanym faktami – próbuje z takim stanem rzeczy walczyć. Wojny pewnie nie wygra, ale ta bitwa należy do niej. Co ważne, serial można oglądać bezpłatnie na platformie Arte.

Artur Zaborski

MIEDZY OKŁADKAMI

Witold Beres

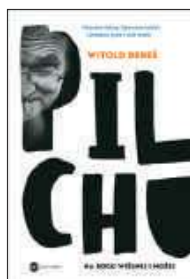
Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej

Wielka Literatura, Warszawa 2021

Zmarły przed rokiem Jerzy Pilch był absolutną gwiazdą literatury. Pierwszej biografii doczekał się za życia, druga właśnie się pojawiła w księgarniach. „Pilchu...” to jednak coś więcej niż biografia w sensie ścisłym. Witold Beres, autor, a przede wszystkim wieloletni przyjaciel Pilcha, stworzył portret pewnego środowiska, pewnych czasów. Pilch jest tu świadkiem i uczestnikiem zdarzeń, a jego teksty i działania szkieletem, przez które czytelnik ogląda tamtą rzeczywistość.

Ogromną wartością książki są nieznanie szerzej felietony Pilcha, które nie trafiły do zbiorczych opracowań. Beres przyznał, że należy do grona żarzących Pilchem, że dotknęło go ukąszenie Pilchowskie. Ale „Pilchu...” spodoba się nie tylko miłośnikom pisarza. Polecam tę pozycję wszystkim, którzy serio wierzą w literaturę, wiedzą, że w „Krakowie z każdego śmietnika wychodzi niedojebany poeta”, a „w Warszawie wszystko jest możliwe”.

Rafał Piłkuła



Yrsa Sigurðardóttir

Wzgórze wisielców

tłum. Paweł Cichawa

Sonia Draga, Katowice 2021

W Islandii jest ok. 700 (!) policjantów, z czego ok. 500 to mężczyźni, przypomina swojej groźnej szefowej detektyw Huldar. Ilu z nich otwarcie może przyznać, że są gejami? Zmiany obyczajowe nie wszędzie sięgają, nie przebiegają łatwo, a szczególnie trudno wykorzenić uprzedmiotowienie kobiet. Jednym z wątków we „Wzgórzu wisielców” są problemy z udowodnieniem gwałtu. Mimo że zdarzenie zostało nagrane, doprowadzenie do skazania sprawców zapewne byłoby niemożliwe. Opowiadając oczywiste bzdury, i tak by się wybronił, bo „obiektywność” wymiaru sprawiedliwości obraca się przeciw ofierze. Kara zostaje więc wymierzona inaczej, m.in. w sferze moralnej. Jeśli sprawcy w swojej kumpelowskiej grupce nakręcili się: ach, jacy to jesteście niegrzeczni i jurni, ostatecznie okazują się żałośni. Nie ma już kogucików, są trzęsiportki. Pokazana tu prymitywna, niedojrzała seksualność budzi co najmniej zażenowanie. Autorka jednak nie odstrasza moralizatorstwem, zręcznie prowadzi akcję i potrafi nieźle zaskoczyć – a czasem rozbawić.

Aleksandra Pańko



Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Potrząsk

Nasz rybny sklepik jest malutki, ale świetnie zaopatrzony, też w owoce morza; są ośmiornice, są nawet raki. Prowadzą go dwie Kaszubki. Bardzo antypisowskie, więc myślałem, że rozsądne. Przede mną kupuje – mniej kupuje, a więcej gada, takie natrętne gadanie, słowotok – monsturalna osoba. Przekonuje sprzedawczynię, jak niebezpieczne są szczepienia, zabójcze dla zdrowia, chyba że pojada się węgiel jako odtrutkę – wyjmuje i pokazuje pastylki. „Ludzie to mają kapustę zamiast mózgu”, mówię, kiedy wychodzi. Sprzedawczynię na to, że niedawno klienci mówili o chipach, jakie są w szczepionce, by światowy rząd mógł sterować ludzkością. „Co pan o tym sądzi? – pytają w trwodze. – Bo my mamy już terminy szczepień i jesteśmy w strachu”.

W odstępie kilku dni spotykam się z dwoma znajomymi, prowadzą firmy. Mówią jednym głosem: brakuje ludzi do pracy, a już zupełnie nie ma pracowników z talentem organizacyjnym, nie można znaleźć człowieka, który by się zajął zarządzaniem. Drugi problem to ściąganie długów, firmy nie spłacają zobowiązań, a prawo jest tak skonstruowane, że sprzyja zatawardzaniu dłużnikom. P. mówi, że ludzie są mu winni w sumie półtora miliona. I jest bezradny.

„Kobiety, które pragną więcej”. Niezwykle śmiała obyczajowo książka, napisana, a może bardziej stworzona przez dwoje seksuologów, bo to same wywiady. Z kobietami, które swingują, są zwykle biseksualne, uprawiają seks grupowy i sadomasochistyczny. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu poważne wydawnictwo nie opublikowałoby książki, a teraz – proszę, ale to Czarna Owca, niesforne wydawnictwo, z którym jestem zaprzyjaźniony. Rewolucja seksualna jednak miała miejsce też w Polsce, tylko nie na łóżku, lecz pod łóżkiem. Ale stała się i minister Przemysław Czarnek nic na to nie poradzi, nawet ucnotliwiając szkolne programy. Do czego doprowadziło nas PiS, że taka książka jest wyzwaniem rzuconym polskiej prawicy? Teza: seksualność kobiety, o ileż bogatsza od męskiej, była przez tysiąclecia tłumiona przez mężczyzn, którzy zniewolili kobiety. I teraz one odzyskują wolność, także w tej sferze. A tradycjoniści chcą na powrót wepchnąć kobiety w ciasny gorset. Nie da się, gorset już w strzępach.

Kilka dni temu piszę do kolegi: co słychać? Dostaję wiadomość od jego byłej żony, że Lucjan od kilku dni nie żyje. Jakby ktoś niespodziewanie kopnął mnie śmiercią

w twarz. Był emigrantem, mieszkał w Niemczech. Kiedyś w Legii Cudzoziemskiej. Wszystko potrafił naprawić. Dlatego przez lata pracował w lotnej brygadzie, wzywanej, gdy nagle zdarzyła się poważna awaria. Pisał do mnie listy z najbardziej fantastycznych miejsc, choćby wisząc gdzieś na linie. Pewnego dnia, na wakacjach, poczuł, że nie może wejść na małe wzniesienie. To był objaw niezwykle rzadkiej choroby, idiopatycznego tętniczego nadciśnienia płucnego, IPAH. Miał w sobie coś niezwykle rzadkiego, takie zawiadackie, roziskrzone poczucie humoru, to i trafiła mu się niezwykle rzadka choroba. Żył z nią zaskakująco długo dzięki niemieckiej medycynie. Do czasu. Żegnaj, Lucjanie.

Obok covidu szaleją choroby nowotworowe i udar. M. umarł niedawno właśnie na udar. Nie lubiłem go serdecznie i miałem powody. Rzadko długo się gniewam na ludzi, łatwo wybaczam. A jemu nawet po śmierci jakoś nie potrafię. Wstyd mi z tego powodu. Inny kolega już dosyć dawno przeszedł udar. Spotkałem go dwa lata temu. Wyciągnąłem rękę. Podał mi lewą, prawa zwisała bezwładnie. Bełkotał. „To i tak cud, że żyje”, ktoś potem powiedział. „To ja już wolę cud nieistnienia”, pomyślałem.

„Teraz jest czas na działanie. Nasza planeta znajduje się na krawędzi upadku”, powiedział papież. Zaczyna to nawet docierać do polskiej prawicy, o klimacie zaczęli mówić z odrobiną rozsądku nasz premier i prezydent, który jeszcze niedawno kpił z ocieplenia klimatu. „Jak sobie pomyślę, że płacimy za »globalne ocieplenie«, i popatrzę za okno, to mnie trafia szlag” – trudno było coś głębszego powiedzieć. Dla mnie dbanie o klimat to najładniejsza forma patriotyzmu. Bo jest w tym patriotyzm narodowy i globalny w jednym.

PiS i prezes są w potrząsku. Wielkim ryzykiem jest trwanie Zjednoczonej Prawicy w obecnej formie, czyli skłóconej, nienawidzącej się nawzajem, ale równie wielkim są nowe wybory. Z kolei opozycja w pułapce, jak głosować w Sejmie w sprawie Funduszu Odbudowy. Poprzeć go za pierwszym razem, głosując z PiS, czy nie poprzeć, więc, o zgrozo, podobnie jak ci paranoicy z Solidarnej Polski, ale z odmiennych powodów? PiS nie da przecież żadnych gwarancji, jak będzie dzielić te środki, pewne zatem, że potraktuje je jako fundusz wyborczy. Opozycja nie może więc poprzeć, ale poprzeć w końcu musi.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Wilczyce nadal bronią lasu

Niestraszny im mróz i śnieg. Opowiadają, jak przetrwały zimę w Bieszczadach

Rozmawia Paula Leśniewska

Kolektyw Wilczyce protestuje w Puszczy Karpackiej od początku stycznia. Był na miejscu całą zimę, nawet w najśroźsze mrozy. Broni działki 219a, czyli ok. 30 ha lasu znajdującego się w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego oraz w granicach Nadleśnictwa Stuposiany. To obszar Natura 2000 Bieszczady, rosną tam przeszło stuletnie buki i jodły, chronione mchy i porosty. Żyje wiele gatunków zwierząt, m.in. wilki, puszczyki, rysie i żbiki. „Nie zgadzamy się na dewastację dzikiej przyrody i eksploatację cennych lasów jako magazynów drewna. Bieszczadzkie lasy to niezwykle złożony, wrażliwy ekosystem, który pełni wiele bardzo ważnych funkcji”, napisały Wilczyce w oświadczeniu kilka miesięcy temu. I nadal mają takie samo zdanie. Nie łamały ich ani mrozy, ani kontrole pracowników leśnych. „Działamy tak, jak chcemy, żeby działał świat – bez hierarchii, dominacji ludzi nad innymi istotami, patriarchy, queerfobii i faszyzmu. Z radykalną empatią i troską”, piszą. Wilczyce chcą pozostać anonimowe, nie tylko ze względu na bezpieczeństwo, ale też dlatego, że – jak mówią – unikają wyróżniania kogokolwiek. I chociaż są między nimi mężczyźni, to kolektyw feministyczny, dlatego Wilczyce mówią o sobie w formie żeńskiej. To element ich sprzeciwu wobec patriarchy.

Jak przeżyliście zimę w Bieszczadach? Było bardzo zimno?

– Zima w Bieszczadach jeszcze się nie skończyła. Nie tak dawno spadło 40 cm śniegu. Śnieg i mróz były nieodłącznym elementem naszego życia od samego początku strajku. Przetrwać w trudnych warunkach pozwoliło nam odpowiednie przygotowanie i po prostu przyzwyczajenie do chłodu.

Wypozażyliśmy się w odpowiednie ubrania – kilka warstw luźnej, ciepłej odzieży, np. polary, wełniane swetry i puchowe kurtki z odzysku, ubrania



outdoorowe, nieprzemakalne ocieplane obuwie, kalosze i tzw. gumofilce. Ogrzewaliśmy się, głównie siedząc wspólnie w tipi zbudowanym z gałęzi i banerów wyborczych z odzysku. Paradoksalnie to nie silny mróz (temperatury w nocy spadały do minus 20 st. C) był największym problemem. To wilgoć i wiatr najbardziej nam dokuczały i znacznie obniżały odczuwalną temperaturę.

Gdzie śpicie?

– W namiotach, na specjalnie zbudowanej wieży i na skypodach, czyli platformach zamontowanych na drzewach. Plandeki, maty termiczne, śpiwory przeznaczone do spania w niskich temperaturach pozwalają komfortowo przetrwać noc. Ważne jest, by nie spać samemu i ogrzewać się nawzajem.

Miałycie problem z dojściem do waszego obozu, Nory?

– Bywało trudno tam się dostać, zdarzało się nam iść w śniegu do pasa. Często musiałyśmy w takich

całkiem nieźle. Pomagały nam sanie i rakiety śnieżne.

Co z jedzeniem? Czytałam, że jesteście weganami. Jeździecie po zakupy do większego miasta?

– Tak, jesteśmy weganami. Niektóre z nas dopuszczają freegańskie (znalezione np. na śmietniku) słodycze lub słodkie pieczywo. Zazwyczaj osoby jadące do nas z większych miast przywożą zakupy i skipy (głównie warzywa i owoce wyrzucane przez supermarkety – przyp. aut.). Korzystamy również z żywności podarowanej nam przez gości oraz ludzi, którzy chcą nas wesprzeć, a nie mają możliwości uczestniczenia w blokadzie. Generalnie staramy się ratować jedzenie wyrzucane przez innych. Tym samym sprzeciwiamy się konsumpcjonizmowi i kapitalizmowi. Gotujemy na przenośnej kuchence gazowej.

Skąd bierzecie wodę, prąd?

– Nora leży nad samym strumieniem, z krystalicznie czystą, przepyszna wodą źródłaną. Urządzenia, tj.

Nie odjedziemy, póki nie pojawi się oficjalna, pisemna deklaracja, że nadleśnictwo Stuposiany rezygnuje z przeprowadzenia prac na działce 219 a.

warunkach nosić ciężkie plecaki albo materiały budowlane. Najtrudniej było osobie, która przecierała szlak; po wydeptanej ścieżce szło się już

telefony, sprzęt rejestrujący, ładujemy dzięki przenośnym panelom słonecznym lub prosimy o ich naładowanie osoby schodzące do wsi.

Co z myciem?

– Hm... nie myjemy się zbyt często, zwłaszcza teraz, jak jest zimno. Nie mamy możliwości brania ciepłego prysznica co rano. Każda stara się zachować higienę na własny sposób, jednak bez używania detergentów, np. myjąc się w misce lub kąpiąc w strumieniu.

Jak wygląda wasza codzienność w Norze? Macie jakiś podział obowiązków?

– Dbamy o obóz – ulepszymy go, rozbudowujemy, sprzątamy. Przygotowujemy wspólne posiłki, rozmawiamy. Jest też czas na to, by przejść się po lesie, pobyc samej i odpocząć. Niektóre z nas czytają książki, rysują, piszą. Wspólnie uczymy się wiązania węzłów, gramy w karty lub czytamy sztuki z podziałem na role. Wieczorem często spotykamy się w tipi, gdzie ustalamy plan na kolejny dzień, rozmawiamy o naszych potrzebach i integrujemy się z nowymi osobami. Liczba osób w Norze zmienia się każdego dnia,

na jeden z pobliskich szczytów, nazywamy go *good connection*. Kłopotem bywa wilgoć, przemakające buty i ubrania. Często też musimy dźwigać rzeczy pod górę. Przyjemne natomiast są bycie w lesie, śpiew ptaków, szum strumienia, bliskość natury, poczucie wspólnoty i sprawczości.

Widziałam, że sprzedacie ubrania sygnowane logo waszego kolektywu.

– Już dwukrotnie urządziłyśmy „licytację” ciuchów i gadżetów z naszym logo. Wszystkie rzeczy, na których wydrukowałyśmy wzór, pochodziły z odzysku, a cały dochód przeznaczyłyśmy na działanie kolektywu i utrzymanie blokady. Zainteresowanie było bardzo duże – niektóre osoby chcące nas wesprzeć wpłacały kwoty dużo wyższe od wylicytowanych. Na pewno niedługo stworzymy kolejną „kolekcję” z nowymi wzorami i hasłami dotyczącymi ochrony lasu.

Jaki jest wasz cel?

– Ochrona lasu. Można powiedzieć, że nasz cel zostaje osiągnięty, póki

przeciął linę, która podtrzymywała jeden ze skypodów, a do strumienia, z którego bierzemy wodę do picia, wrzucił kilka kostek toaletowych. Do tej pory nie wiemy, kto to zrobił.

Jak okoliczni mieszkańcy reagują na wasz strajk? Kiedy przybłąkał się do was pies leśniczego, kilka osób zaczęło was oczerniać.

– Spodziewałyśmy się tego i żartowałyśmy, że zostaniemy posądzone o kradzież psa. I tak się stało. Zwierzak należący do leśniczego z Mucznego wiele razy biegał luzem po wsi. Kiedyś przytączył się do zmierzających do Nory osób i został z nami na noc. Później wrócił do właściciela. Niestety, wielu nieprzychylnych nam mieszkańców próbuje doszukiwać się w nas i naszych działaniach negatywnych zachowań.

Czy do Nory zagląдают leśne zwierzęta?

– Najczęściej w Norze można spotkać nornice. Teraz, kiedy na ziemi leżą orzeszki bukowe, są ich setki. Chronimy przed nimi swoje jedzenie. Czasami można też zobaczyć lisy, jelenie, sarny, nawet żubry. Znajdujemy na śniegu ślady wilków.

Właściwie przez cały czas

czuć obecność zwierząt, także paków, które częściej słyszemy, niż widzimy. Jednym z mieszkańców okolic Nory jest puszczyk uralski, którego słychać co noc.

Co was motywuje do pilnowania lasu?

– Świadomość, jak niewiele tak cennych miejsc nam zostało i jak ważne są pod wieloma względami. Wiele osób dopiero teraz dowiaduje się o istnieniu Puszczy Karpackiej,

Ktoś przeciął linę, która podtrzymywała jedną z platform, a do strumienia, z którego bierzemy wodę do picia, wrzucił kilka kostek toaletowych.

nie ma stałej ekipy. Trzeba robić sobie przerwy, choć są weteranki, które mieszkają w obozie prawie cały czas od początku protestu. Zazwyczaj wartę trzyma kilkanaście osób. Obowiązkami dzielimy się na bieżąco, każdy robi to, w czym czuje się najlepiej, bez przymusu. Decyzje podejmujemy konsensualnie. Staramy się, aby każda mieszkanka Nory czuła się dobrze w obozie, mogła swobodnie wyrażać swoje potrzeby bez narażania się na ocenę czy porównywanie. Nie ma terroru wydajności. Dzielimy się tym, co mamy, tak aby nikomu nie było zimno, nie miał mokrych butów, nie był głodny i nie było mu smutno.

Co jest trudne w życiu w Norze, a co przyjemne?

– Pewnie każdej osobie przebywającej w Norze co innego może wydawać się uciążliwe. Póki panują zimowe warunki, by nie zmarznąć, trzeba być ciągle w ruchu, ponieważ zdecydowaną większość czasu przebywamy na zewnątrz, co dla jednych bywa męczące, ale drugich nakręca do działania. W samej Norze nie ma zasięgu; aby się połączyć, wchodzimy

blokada trwa – wycinka się nie odbywa, a las jest względnie bezpieczny. W końcu Kolektyw Wilczyce powstał właśnie po to, by bronić działki 219a. Będziemy jej pilnować do skutku. Nie odjedziemy, póki nie pojawi się oficjalna, pisemna deklaracja ze strony podmiotów odpowiedzialnych, że nadleśnictwo Stuposiany rezygnuje z przeprowadzenia prac na tej działce i podejmuje kroki prawne w celu jej trwałej ochrony.

Wiele osób dopiero teraz dowiaduje się o istnieniu Puszczy Karpackiej, mimo że to jeden z najcenniejszych lasów górskich w Europie.

Na razie nic nie wiadomo na ten temat. Słyszałam jednak, że macie wizyty „zwiadowców”.

– Co jakiś czas przychodzą do nas pracownicy leśni – leśnicy, pilarze, strażnicy. Sprawdzają, jak wygląda obóz, czasami nas legitymują, czasami straszą konsekwencjami lub próbują nas przekonywać, że nasza blokada nie ma sensu, że robimy więcej szkody niż pożytku. Zdarzyło się kilka nieprzyjemnych sytuacji – ktoś podłożył kolce pod opony samochodu,

mimo że to jeden z najcenniejszych lasów górskich w Europie. Bronimy jego ostatnich naturalnych fragmentów w Polsce. Robimy to w imieniu wszystkich istot, także swoim. Las, zwłaszcza wodochronny, a takim jest ten na działce 219a i w innych planowanych w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego rezerwach, jest dla nas bezcenny w dobie kryzysu klimatycznego, odgrywa istotną rolę w zapobieganiu powodziom i suszy.



Samuel Sosnowski prezentuje rozpiętość skrzydeł mewy siodłatej.

URODZIŁEM SIĘ DLA PTAKÓW

Nie ma większych emocji
niż znalezienie rzadkiego gatunku
– mówi 25-letni Samuel Sosnowski,
jeden z 400 obrączkarzy ptaków w Polsce

Helena Leman

– Nie znoszę śródlądzia, choć tam się wychowałem. Kocham morze, wiatr, przestrzeń, to tu, nad Bałtykiem, są najciekawsze przeloty. Tu można spotkać ptaki zagnane burzami, wichrami, zabłąkane. We wrześniu 2018 r. razem z kolegą Szymonem Czyżewskim na lotnisku w Jastarni wypatrzyliśmy świergotka stepowego z Mongolii. Zaobserwowałem też kaniuka, który zamiast na lęgowiska na Półwyspie Iberyjskim trafił na dobrych wiatrach do Polski. Nie ma większych emocji niż znalezienie rzadkiego gatunku. Podczas rejsu po Bałtyku w kwietniu zobaczyłem 4 m od siebie głupek, który występuje na Morzu Północnym i Atlantyku! Ptaki nie są dla mnie tłem, czuję się częścią ich świata, ich wielkiego spektaklu. Budowanie wrażliwości społecznej na nie to zadanie mojego życia – tłumaczy 25-letni Samuel Sosnowski, członek Stowarzyszenia Obserwatorów

Ptaków Wędrownych Drapolicz z Krynicy Morskiej, jeden z 400 obrączkarzy ptaków w Polsce i student biologii na Uniwersytecie Gdańskim.

We wtorek, 13 kwietnia, razem z Samuelem i Kubą – uczniem jednej z trójmiejskich szkół średnich – zmierzamy rankiem na wieżę na górze Pirat, między Krynicą Morską a Piaskami, by obserwować wiosenne przeloty ptaków na wschodnie

Bieliki, choć wyglądają okazale, to trochę sieroty, kruki potrafią je przechytrzyć w walce o pokarm.

lęgowiska. Choć przyroda jeszcze uśpiona, a z północy dmie mroźny wiatr, w lesie słychać zwiastuny wiosny. Wśród drzew rozlega się krótkie tri-ping zięby. Ps – wabi drozd.

– Nie będzie suchej kobyły niccccc! – naśladuje Samuel głos godowy trznadla. Po chwili wychwytuje też odległe cیلp-calp pierwszaka, dodając, że niektóre ptaki potrafią zmylić, naśladując bezbłędnie inne, np. sójka.

A szpak do swojego koncertu umiejętnie wplata zapamiętane dźwięki z otoczenia, np. pisk hamulców. Wczesna wiosna jest dobrym czasem na naukę ptasich głosów – w okresie lęgów samce śpiewają najintensywniej, oprócz tego ptaki wydają głosy wabiące, ostrzegawcze, kontaktowe i żebzące.

Liczenie na mierzei

Z wieży postawionej tu cztery lata temu z inicjatywy stowarzyszenia Drapolicz oraz Nadleśnictwa Elbląg rozciąga się niezwykle widok na dwie wody: z lewej strony na morze, z prawej na Zalew Wiślany.

– Postawiona jest na wysokiej wydmy, wznosi się ponad drzewami, co ułatwia obserwację – mówi Samuel. – Ponieważ stoi w najwyższym punkcie, gdzie szerokość mierzei nie przekracza 800 m, działa efekt lejka, ptaki lecące wzdłuż wybrzeża kumulują się na tym wąskim obszarze. Najbardziej imponujące są przeloty jesienne; co roku spędzam tu na liczeniu ponad 20 dni, z przerwami od 20 sierpnia do 20 listopada. Bywają takie dni, że leci ptak za ptakiem, nawet kilka tysięcy „szponów” dziennie i stada wróblowatych, które stanowią dla nich źródło pożywienia, taką podniebną lodówkę. Dzisiaj to raczej nie będzie przelot życia, ale mamy wyżową pogodę, a słaby wiatr niedługo zacznie skręcać na wschodni. Ptaki szponiaste potrzebują wiatru pod skrzydło, czyli przeciwnego do kierunku migracji.

Przez pierwszą godzinę rzeczywiście dzieje się niewiele, a to przede wszystkim dzieciół czarny, a to wrona. Ruch zaczyna po godz. 9, gdy robi się cieplej. Pierwsze pojawiają się stada

grzywaczy. – 125, 140! – woła Samuel, a Kuba zapisuje wynik w notatniku. Najlepiej pracuje się w parze.

– Liczę dziesiątkami – wyjaśnia Samuel. – Trzeba być szybkim. Błąd powinien wynosić najwyżej 5%, lepiej zaniżyć, niż zawyżyć szacunek. Liczenie służy celom naukowym, na jego podstawie określa się wielkość rzeczy, np. liczebność gatunku, dynamikę przelotów.

Po grzywaczach pojawiają się krogulce. Lot tych drapieżnych ptaków jest charakterystyczny: chwilę płyną w powietrzu, potem machają szybko skrzydłami, jakby nabierając rozpędu, potem znów płyną.

– Jest stawar! – krzyczą Samuel z Kubą. Stawar, czyli błotniak stawowy, to dosyć pospolity ptak drapieżny. Jaki jest imponujący, widać dopiero w oku lunety. Błotniaków jest kilka gatunków; oprócz stawowego są łąkowe, zbożowe i stepowe, zwłaszcza te ostatnie to wymarzona zdobycz birdwatcherów.

Po godz. 11 znów przerwa. Kuba wyciąga z plecaka laptop i przenosi się na zdalną lekcję matematyki. Po spokojnych dziś wodach zalewu sunie rybacka łódź, podpływa do zastawionych sieci. Nad nią tańczą w kółku trzy bieliki. – Złapały komin termiczny i krążą, wypatrując ryb – tłumaczy Samuel. – Bielik, gdy uderza w rybę i zaciska na niej szpony, już nie może ich wyprostować; gdy zdobycz jest zbyt ciężka, tonie razem z nią. Wokół Zalewu Wiślanego jest 17 par bielików, nie orłów bielików, jak często mylnie się mówi. Orły nie lubią wody. Zresztą bieliki, choć wyglądają okazale, to trochę sieroty, kruki potrafią je przechytrzyć w walce o pokarm. Nieraz widziałem, jak szczypią bielika. Kruki też wymyślają różne zabawy, bawią się w śniegu jak dzieci.

Liczenie na wieży kończymy o godz. 15. Efekt to 50 krogulców, 10 myszołowów, 8 błotniaków stawowych, 3 zbożowe, jastrząb i pustułka, nie licząc już bardziej pospolitych grzywaczy.

W ujściu Wisły goście z daleka

Po drodze do Gdańska zaglądamy jeszcze do Rezerwatu Mewia Łacha w ujściu przekopu królowej polskich rzek. Rezerwat obejmuje ok. 150 ha, mniejsza jego część leży na Wyspie Sobieszewskiej, większa (130 ha) po drugiej stronie Wisły, w Mikoszewie. Letnie stada mewy małej tutaj należą do największych w Europie, a zimowe koncentracje mew i kaczek mogą liczyć nawet kilkadziesiąt tysięcy ptaków.

Dzisiaj na plaży w Mikoszewie też ruch i gwar. Nisko, niemal na nasze głowy, nadlatuje rybitwa wielkodzioba z dziobem czerwonym jak marchewka. – To największa rybitwa

świata, do obserwacji tylko na przelotach – ekscytuje się Samuel.

Oła! Ała! – zawodzą jak płaczki kaczki łodówki, które niedługo odlecą na północ, tak jak biegusy. Na piaszczystej łasze naprzeciw plaży kormorany zastygły jak posązki, ich czarne pióra lśnią w słońcu. W głębi wypatrujemy przez lunetę całe stado odpoczywających rybitw wielkodziobych, obok nich na konarze czatuje bielik, a foki ułożone jedna przy drugiej tworzą jakby kamienny wał. Samuel wychwytuje głos świstuna: mił! – Brzmi jak zabawka dla psa – śmieje się.

Samuel od połowy maja do połowy września pracuje tu, chroniąc miejsca koncentracji ptaków przed turystami. Gdy dwa dni wcześniej, w niedzielę, odwiedzam rezerwat na Wyspie Sobieszewskiej, na Mewi Łachę ciągnie niekończący się tłum, który w drodze powrotnej odpoczywa na wydmach. – Teraz trwa okres lęgowy, są ptaki, które robią gniazda wprost na piasku, łatwo je przeoczyć i zdeptać – tłumaczy Samuel. – Pojawiają się też w czasie przelotów goście z północnej Syberii, te ptaki są ufne, nie znają ludzi, można na nie wejść.

Na plaży znajdujemy niezwyłą mewę siodłą z nogą zaplątaną w plastikowy sznurek. – To największa mewa świata – mówi Samuel, prezentując potężną rozpiętość jej skrzydeł. Choć sznurek nie był przyczyną jej śmierci, takie śmieci są niebezpieczną pułapką dla ptaków.

Ptaki mają pod górkę

Rezerwat Mewia Łacha i rezerwat w Kątach Rybackich, gdzie jest największa w Polsce kolonia lęgowa kormoranów oraz jedna z największych czapli siwej, należą do Parku Krajobrazowego Mierzeja Wiśłana. Występuje tu 290 gatunków ptaków, w tym 274 objęte ochroną. W Polsce są 463 gatunki ptaków.

– Na terenie parku i otuliny obszarowo co najmniej 43 gatunki

z najnowszej Czerwonej Listy Ptaków Polski zagrożonych wyginięciem – podkreśla jego kierownik Wojciech Woch. – Dodatkowo pojedynczy obserwatorzy raportowali jeszcze 8 gatunków, czyli razem 51. Ubywa kormoranów, rzadko widzi się np. dzierlatkę, na północy od dawna nieobserwowaną, rzadkością jest skowronek borowy, czyli lerka, jedną z najwyższych kategorii EN (zagrożona lub wymierająca) ma czajka. Powodem jej wymierania jest zamiana



łąk i pastwisk na wielkoobszarowe uprawy rolne oraz przesadna chemizacja rolnictwa. Negatywnym zjawiskiem jest tu głównie parcie na zabudowę brzegów nadzalewowych. Bardzo istotny dla zachowania fauny będzie też powstający plan zagospodarowania przestrzennego morskich wód wewnętrznych dla Zalewu Wiślanego, zwłaszcza niedopuszczenie do przesadnej ingerencji w środowisko pod pozorem rozwoju turystyki wodnej. Tworzenie nowych miejsc postojowych dla żeglarstwa ma sens tylko tam, gdzie istnieją realne przesłanki do ich lokowania, nie powinno zależeć od widzimisię lokalnych lobbystów.

Park prowadzi działania ratujące populację ptaków, np. projekt Ożywić pola, dotyczący zadrzewień śródpolnych, dokarmia bażanty i kuropatwy. Służba parku wypłata kosze lęgowe dla bocianów, odtwarzała też siedliska lęgowe ptaków blaszkodziobych. ▶

► Odbudowę populacji sieweczki obrożnej na jego terenie zajmują się organizacje WWF Polska, OTOP i Kuling. Z tą ostatnią współpracuje Samuel. Tegoroczne sprzątanie plaż w Rezerwacie Mewia Łacha ptasiarzy z Kulingu jeszcze czeka, sprzątają również społecznie szlak na wieżę.

– Ptaki cały czas mają pod górę – mówi Samuel. – Wciąż muszą walczyć o przetrwanie. Klimat się zmienia, a to zimno, a to sucho, a to pokarmu brak. Dla jaskółek, jerzyków, kawek, wróbla bieda, gdyż starych zabudowań coraz mniej, a w nowych czy odnawianych elewacje bez jednej szparki, gdzie mogłyby się wcisnąć, na dodatek wokół czyhają wolno żyjące koty. Na kuraki (np. cietrzewie)

do góry nogami – przyznaje. – Ludzie biorą urlopy, rezygnują z rodzinnych uroczystości. Znam człowieka, który w święta poleciał do Szwajcarii, gdyż tam pojawił się nur pacyficzny. Ta pasja życia rodzinnemu nie sprzyja, zdarzają się przez nią rozwody. Ja staram się znaleźć złoty środek. Raz z moją dziewczyną pojechaliliśmy do Zakopanego. Już mieliśmy wchodzić na Giewont, gdy dostałem cynk, że koło Gdańska, w Łaszcze, siedzi sieweczka długonoga z Turcji. Pojechałem, zobaczyłem i wróciłem, zdążyliśmy jeszcze połażyć po Tatrach. Moja dziewczyna jest wyrozumiała, zajmuję się naukowo fizjologią ptaków.

Unikatowego ptaka wraz z odpowiednią dokumentacją zgłasza się do

rozmówców charakteryzują obserwatora ptaków. Kuba pierwszego rzadkiego ptaka, wydryka długosternego, wypatrzył za marketem w Krynicy, parę metrów w stronę zalewu. Polują na ptaki tylko z aparatem. Samuel robi zdjęcia dokumentacyjne, z kolei Wojciech Woch fotografuje bardziej artystycznie.

– Często jedno dobre zdjęcie to wiele godzin spędzonych w terenie – wyjaśnia. – Nierzadko w deszczu czy mrozie. Względnie łatwe jest fotografowanie ptaków wodnych i drapieżnych, znacznie trudniejsze śpiewających. Wiele zdjęć to kwestia chwili. Tak było z jednym z nierzadszych gatunków, jakie udało mi się sfotografować, siewką złotawą, której obserwacja była sensacją na skalę krajową. Niektóre ptaki są szczególnie fotogeniczne, np. rycyk, którego lęgi w otulinie parku to aktualnie jedyne na Pomorzu Gdańskim – podkreśla.

– Wiosna w parku zaczyna się od toków osiadłych u nas ptaków krurowatych oraz drapieżnych, np. bielików, które obserwujemy już w lutym. Kolejnym jej symptomem jest nasilenie ptasich wędrówek, znikają stada czeczotek, czyżów, jerów, a pojawiają się zięby, kosy, na Żuławach czajki i żurawie. Równocześnie przylatują stada szpaków, które intensywnie śpiewają, i to chyba najbardziej spektakularny objaw wiosny – opowiada.

Wracamy do Trójmiasta wieczorem. Samuel jedzie dalej do Rezerwatu Beka nad Zatoką Pucką. Prześpi się w samochodzie, a jutro od rana będzie tam wypatrywał cyraneczki karolińskiej. W weekend razem z Kubą nad Biebrzą będą tropić cietrzewie. Mnie daje zadanie: – Jest taka ławeczka w Kuźnicy, w najwyższym punkcie Półwyspu Helskiego, tam ptaki migrujące wylatują wprost na głowę.

Odnajduję tę ławeczkę, ale pogoda się załamuje. Morze ryczy, plażę miejscami pourywaną po zimowych sztormach atakują grzywy fal. Zimno i pusto, tylko samotna mewa krzyczy. Nad zatoką jest przytulniej, na wodzie kotłysz się łabędzie, w zaroślach zauważam czarno-białego ptaszka, wygląda jak muchotłówka żałobna, ale pewności nie mam.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Ptaki wciąż muszą walczyć o przetrwanie. Klimat się zmienia, a to zimno, a to sucho, a to pokarmu brak.

i ptaki siewkowe żerujące na ziemi polują lisy, których jest za dużo. Ptaki giną także podczas migracji, do bocianów i wielu innych gatunków w Azji Mniejszej i na Bliskim Wschodzie strzela się dla sportu.

Pasja i niezrozumienie

Samuel Sosnowski jeździ na ptaki od 14 lat, 300 dni w roku spędza w terenie, śpi w namiocie w krzakach, przemierza nieraz po kilkadziesiąt kilometrów dziennie w poszukiwaniu ginących gatunków. Miłością do nich зараił go nauczyciel biologii ze szkoły w Ciechanowie, Marek Murawski.

– Gdy w 2013 r. na obozie obrączkarskim pierwszy raz wziętem do ręki dzikiego ptaka i poczułem, jaki jest kruchy, jak bije jego serduszko, to było przeżycie, które ciągle we mnie jest. Myślę, że urodziłem się dla ptaków. Wszystko, co robię, jest przez nie zdeterminowane. Ptaki są dla mnie odskocznią od problemów, a jednocześnie zapewniają rozwój. Podróże przyrodnicze rozwijają, nigdy nie zapomnę wyprawy do RPA.

Gdy w marcu tego roku przyszedł do niego SMS z ptasiej gorącej linii, że pod Zamościem w ogródkowym karmniku pokazał się pierwszy raz w Polsce płochacz czarnogardły z Azji Centralnej, Samuel pomknął z drugiego końca kraju, żeby go zobaczyć. I zdążył, zanim ptaka przepłoszył kot. – Takie wiadomości wywracają życie

Komisji Faunistycznej. Jeśli komisja zakwalifikuje odkrycie, jest sława. Samuel za nią nie goni, uważa, że sława i rywalizacja zabijają pasję. Chciałby jednak kiedyś znaleźć się w składzie tej komisji. Skoro zdał trudny egzamin na obrączkarza w Krajowej Centrali Obrączkowania w Górkach Wschodnich, może uda się spełnić i to marzenie.

W dobie wygodnego życia marzenie na wieży i spanie po krzakach wydaje się niezrozumiałe. Często ptasiarzy, takich jak Samuel i Kuba, uważa się za dziwaków, wyśmiewa w szkole. – Czy wszyscy muszą być jednakowi i żyć tak samo? Czy rodzina liczy się bardziej niż pasja? – pyta Kuba. – Pasja jest najważniejsza, gdyż nas wyzwała i ocala. Wiele osób żyje bez niej i tego nie rozumie – dodaje.

Samuel przekuł swoją pasję w źródło utrzymania. Żyje z edukacji, z prowadzenia wycieczek przyrodniczych, z publikacji w fachowych pismach i dorywczej pracy w rezerwacie, a za dwa dni ma program o bocianach w jednej z telewizji. Planuje otworzyć biuro podróży dla ludzi interesujących się ptakami. Marzą mu się dalekie wyprawy, lecz najpierw chce się przeprowadzić do Gdańska.

Ławeczka w Kuźnicy

Pokora wobec natury, cierpliwość, spostrzegawczość i odporność to cztery cechy, które zdaniem moich



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Tkliwość polska

Prokuratura sprawdza, że słowa papieża obrażają uczucia religijne polskich katolików. Tu nie ma co sprawdzać – jasne, że obrażają, samo jego istnienie obraża te uczucia, wiadomo przecież, że Papież umarł, od 16 lat jakieś dziady pod niego się podszywają i mówią Polakom w obcych językach, jak się modlić. Uczucia religijne polskich katolików są w stanie permanentnej przeculicy, one są obrażane przez całe chrześcijaństwo, ach, co tam chrześcijaństwo, prawdziwy Polak (*ergo* katolik) jest ogólnie bardzo tkliwy, jak do niego zagadać, to najpierw długo się zastanawia, czy nie został obrażony, dlatego rozmowa z nim trudno się klei. Milczenie też go znieważa: Polak katolik czuje się obrażony przez drzewa wolno stojące (puszcza jest widomym znakiem rozpanoszenia ekoterroryzmu), zwierzęta chronione (jak wyżej), ba, Polak katolik czuje się obrażany także, kiedy już wyróżnie zwierzynę, wytnie las i zaleje to wszystko betonem – bo mu na autostradzie nie dają się wyprzedzać auta na cudzoziemskich rejestracjach. Generalnie bycie prawdziwym Polakiem katolikiem jest ekstremalnie trudne, uczucia religijne są nieustannie atakowane z ładu, powietrza i wody, atak jest skomasowany, a obrona niemrawa, jeden art. 196 Kodeksu karnego musi wszystko ogarnąć, w dodatku kasta sędziowska patrzy na niego z przymrużeniem oka.

Kiedy parę lat temu odwróciłem ten absurd, pisząc, że znak krzyża wykonywany przez polskich skoczków na belce startowej obraża moje uczucia ateistyczne, Polacy katolicy cudzystowu się nie dopatrzyli, wpadli w święty obur, wspomagani przez Polaków innych religii, a także Polaków niewierzących, okazało się. Polska na uczuciach religijnych stoi, bez nich zapadnie się pod własnym ciężarem jak dąb Bartek bez żelaznych podpór.

Polacy już tak mają, że jeśli czegoś skutecznie się dotkną, zmieniają to w religię. Dajmy pokój skoczkom, spójrzmy na himalaistów. Właśnie obraził ich uczucia religijne papież gór – Wojciech Kurtyka. Włożył kij w mrowisko bolesnym, okrutnym i wysoce demaskatorskim wywiadem dla „Gazety Wyborczej”. Na ile znam to niebywale narcystyczne środowisko, nie wybaczą mu, ale on cznia opinię publiczną, zawsze był osobny, nie bratał się ze stadem, a w górach zdobył wszystko, co chciał, w takim stylu, że czapki z głów, jako jeden z dwóch Polaków dostał za całokształt dokonań Złoty Czekan (Oscara

ludzi gór) trzy lata przed Wielickim. Teraz ten drugi grozi mu sądem – oględnie mówiąc, drogi do sukcesów Wielickiego i Kukuczki były usłane trupami ich partnerów, w sumie nasi najstydniejsi himalaiści podczas swoich akcji górskich stracili dziewięciu towarzyszy, Kurtyka w kilku przypadkach oskarża obu panów, że w pędzie po sukces zaniedbali słabszych członków zespołu i przyczynili się do ich śmierci. Ale afery nie sprowadza się do prywatnych oskarżeń, Kurtyka obśmiał cały program himalaizmu zimowego, samego Wielickiego nazywając piechurem wysokogórskim, a stylowi działania naszych lodowych wojowników odmawiając w ogóle miana wspinaczki – wchodzą po sztucznych konstrukcjach założonych przez Sierpów. Źródła zła i komercjalizacji sportów wysokogórskich Kurtyka szuka w wyścigu o Koronę Himalajów sprzed kilku dekad, kiedy Messner i Kukuczka wojowali o to, kto pierwszy w historii wlezie na wszystkie ośmiotysięczniki – styl się nie liczył. Kurtyka nie uznaje świętych – Wandzie Rutkiewicz przypisuje oszustwo w przypadku wejścia na Annapurnę. Twierdzi, że nie osiągnęła wierzchołka, a zdjęcie, które miało być dowodem, zostało zrobione niżej. I tu dotyka odwiecznego problemu tego sportu, obsesji zdobycia samego szczytu: im bliżej, tym trudniej zrezygnować – widać go już, czasem chodzi o kilkaset metrów, kilkadziesiąt minut dodatkowego wysiłku, choć organizm bije na alarm i nakazuje powrócić. Wtedy okazuje się, że w ostatecznym

bilansie właśnie te kilkadziesiąt minut/metrów decyduje o życiu bądź śmierci. Trzeci szczyt ziemi, Kanczendzonga, jest świętą górą dla lokalnej

ludności, uczestnicy pierwszego historycznego wejścia zatrzymali się tuż przed wierzchołkiem, żeby nie sprofanować Góry – a mimo to są uznawani za jej zdobywców.

Kurtyce właśnie owo „zdobywanie” się nie podoba, bo ma w sobie coś z podboju, walki, a on z górami zawsze się przyjaźnił (tu się spotykamy w swoim myśleniu – dla mnie ideałem himalaisty byłby ktoś, kto wchodził na wszystkie najwyższe góry świata, ale celowo nie „pokonuje” żadnej – zatrzymuje się pod wierzchołkiem, żeby górę okazać szacunek). Ten mistyk gór zawsze był dla wspólnoty wysokogórskiej trudnym przypadkiem do okiełznania; teraz, kiedy sprofanował ołtarze, będzie gnębiony za obrazę uczuć.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Polacy już tak mają, że jeśli czegoś skutecznie się dotkną, zmieniają to w religię.



Witaminy w naturze

Lecznicze
właściwości
produktów
żywnościowych

Daniel Reid

Sun Simiao, lekarz dynastii Tang, który już 1,3 tys. lat temu rozpoznał i leczył beri-beri, chorobę wywołaną brakiem witaminy B₁ w pożywieniu (lekarze europejscy nauczyli się tego dopiero tysiąc lat później, w roku 1642), napisał w „Drogocennych przepisach”: „Naprawdę dobry lekarz najpierw odkrywa przyczynę choroby, a następnie próbuje wyleczyć ją odpowiednią dietą. Dopiero jeśli to nie daje rezultatu, przepisuje lekarstwo”. Hipokrates, ojciec zachodniej medycyny, twierdził to samo, nauczając, że „pożywienie będzie twoim lekiem”, lecz współcześni lekarze Zachodu najwyraźniej zapomnieli o tych pełnych mądrości słowach, podobnie jak o słowach dr. Charlesa Mayo, jednego z najśłynniejszych amerykańskich lekarzy XX wieku: „Naturalna odporność na choroby zależy bezpośrednio od właściwego odżywiania. Takiej odporności nigdy nie zapewnią pigułki. Właściwe odżywianie jest pierwszym warunkiem naturalnej odporności organizmu, podstawą dobrego zdrowia i długiego życia”.

Leczenie dietą było kiedyś nieodłączną częścią zachodniej terapii, ale w naszych czasach przeciętny zachodni lekarz prawie nigdy nie pyta pacjentów o nawyki żywieniowe, a kiedy rutynowo przepisuje środki syntetyczne o bardzo silnym działaniu, nie udziela żadnych wskazówek odnośnie do wskazanych bądź niewskazanych produktów spożywczych.

W lipcu 1985 r. Federalna Komisja ds. Badań Naukowych pod przewodnictwem dr. Myrona Winickiego, szefa Instytutu Żywności i Zdrowia przy Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Columbia, stwierdziła, że programy amerykańskich szkół medycznych nie uwzględniają podstawowych wiadomości z zakresu leczniczych właściwości pożywienia, mimo że opinia publiczna przywiązuje do tego zagadnienia coraz większą wagę. Dziś już wiadomo, że najczęstsze przyczyny przedwczesnej śmierci w USA, tj. choroby serca, rak, wylew, cukrzyca, miażdżyca i marskość wątroby, są ściśle związane z dietą. (...)

Aby unaocnić czytelnikowi leczniczą i profilaktyczną wartość naszego codziennego pożywienia, omówimy

trzy produkty żywnościowe o najsilniejszym działaniu terapeutycznym: czosnek, winogrona i czereśnie.

Czosnek

Już od zarania chińskich dziejów czosnek stosowano jako lekarstwo. W egipskich księgach medycznych pochodzących z 1550 r. p.n.e. czosnek pojawia się jako główny składnik aż w 22 recepturach. Jak wiadomo, w krajach, w których jada się dużo czosnku, odsetek zachorowań na raka jest o wiele niższy niż gdzie indziej. Chińskie podręczniki podkreślają, że tylko czosnek spożywany na surowo wykazuje w pełni skuteczne działanie.

Współczesna nauka potwierdza wielką skuteczność tego tradycyjnego leku. Amerykańscy biochemicy odkryli, że allicyna, aktywny składnik czosnku, wykazuje silne działanie bakterio- i grzybobójcze. Allicyna okazała się nawet dużo bardziej skuteczna w zwalczaniu niektórych drobnoustrojów chorobotwórczych niż penicylina. Trzeba jednak dodać, że allicyna obecna jest tylko w surowym, świeżo pokrojonym lub zmiażdżonym czosnku, co po raz kolejny dowodzi mądrości starożytnej chińskiej teorii medycznej. Podczas krojenia ząbka czosnku obojętna substancja o nazwie aliina miesza się z enzymem roślinnym zwanym allinazą, w wyniku czego powstaje allicyna. Tej silnej enzymatycznej reakcji towarzyszy charakterystyczna woń świeżego czosnku. Tabletki

Codzienna dawka świeżego czosnku zapewnia stałą ochronę przed mnóstwem chorób zakaźnych i pasożytów.

czosnkowe, olejki lub inne bezwonne produkty otrzymywane z czosnku i sprzedawane w aptekach nie zawierają allicyny, więc z terapeutycznego punktu widzenia są całkowicie bezużyteczne.

W dawnych Chinach gruźlicę skutecznie leczono za pomocą ciepłych okładów na plecy sporządzanych ze świeżego, surowego czosnku. Lotne substancje lecznicze przenikały przez skórę i docierały do płuc, gdzie niszczyły prątki gruźlicy. Czosnku można

też z powodzeniem używać do usuwania pasożytów z przewodu pokarmowego, jako środka zapobiegającego przeziębieniu i grypie, a także jako silnego środka na potencję. Codzienna dawka świeżego czosnku zapewnia stałą ochronę przed całym mnóstwem chorób zakaźnych i pasożytów.

Winogrona

Choć niektórym może się to wydawać dziwne, odpowiednio spożywane winogrona należą do najbardziej wartościowych pod względem leczniczym produktów żywnościowych. Sok z surowych winogron bywa nazywany wegetariańskim mlekiem, ponieważ może utrzymać przy życiu niemowlęta pozbawione mleka matki, jest przy tym znacznie bardziej godny polecenia niż pasteryzowane krowie mleko. Cukry zawarte w surowych winogronach,

Sok z surowych winogron bywa nazywany wegetariańskim mlekiem.

głównie czysta glukoza z dodatkiem fruktozy i lewulozy, są tymi samymi, które ludzki organizm wykorzystuje podczas komórkowej przemiany materii. Te naturalne cukry są bezpośrednio wchłaniane do krwi i natychmiast gotowe do reakcji metabolicznych.

Winogrona najskuteczniej leczą zaparcie i nieżyt żołądka, bardzo rozpowszechnione wśród ludzi odżywiających się w stylu zachodnim. Podczas silnego ataku nieżytu żołądka spróbuj na dzień lub dwa ograniczyć swoją dietę wyłącznie do świeżych surowych winogron. Czarna odmiana winogron jest zdecydowanie najwartościowsza. Z początku jedz od pół do jednego kilograma winogron, stopniowo zwiększając ich ilość do 1,5–2 kg dziennie. W wypadku nieżytu żołądka skórki i pestki należy wypluwać, połykając jedynie sok i miąższ. Taka kuracja zwykle usuwa wszystkie objawy nieżytu żołądka w ciągu 24–48 godzin. Wystrzegając się potem przetworzonych produktów żywnościowych oraz niewłaściwych zestawień, które są głównym źródłem tego schorzenia, można uniknąć jego nawrotów.

Ciemne winogrona wykazują silne działanie odtruwające, szczególnie w stosunku do układu pokarmowego, wątroby, nerek i krwi. Chcąc to działanie skutecznie wykorzystać, oprócz soku i miąższu należy dokładnie gryźć i połykać także pestki i skórki, które zawierają biologicznie aktywne związki o właściwościach odtruwających. Ponadto winogrona alkalizują przewód pokarmowy i krew, co jest niezwykle pożądanym efektem w czasach powszechnej kwasicy. Biegunka i złe samopoczucie, na które ludzie dość często narzekają w pierwszych dniach kuracji winogronowej, są spowodowane silnymi właściwościami odtruwającymi winogron: im gorzej się czujesz, tym większe zatrucie twego organizmu.

Czereśnie

W terapii wykorzystuje się odżywcze, odtruwające i przeczyszczające właściwości czereśni, ponadto działają one pobudzająco na układ nerwowy, narządy wewnętrzne i gruczoły. Ich silne działanie przeciwpalne i przeciwgnilne wydatnie przyczynia się do zwalczania szkodliwych skutków rozkładu białek zwierzęcych w przewodzie pokarmowym. Czereśnie nadają się także dla cukrzyków, ponieważ zawarta w nich lewuloza jest wchłaniana bezpośrednio do krwi, bez pośrednictwa insuliny.

Podobnie jak w wypadku winogron, najskuteczniejsza z medycznego punktu widzenia jest ciemna odmiana czereśni. Czereśnie należy spożywać na surowo, ewentualnie

Czereśnie nadają się dla cukrzyków, ponieważ zawarta w nich lewuloza jest wchłaniana bezpośrednio do krwi, bez pośrednictwa insuliny.

w postaci świeżego soku. Pasteryzacja niszczy biologicznie czynne składniki odpowiedzialne za lecznicze właściwości tych owoców. Podawany niemowlętom sok z surowych czereśni chroni ich wrażliwy ustrój przed różnego rodzaju zaburzeniami układu trawiennego (także tymi, które spowodowane są

pasteryzowanym krowim mlekiem), a także zwiększa ich odporność na zakażenia.

Trzeba jednak pamiętać, że cudowna skuteczność medyczna winogron, jak zresztą wszystkich pozostałych produktów leczniczych, jest ściśle uzależniona od wyzbycia się szkodliwych dla zdrowia przyzwyczajęń żywieniowych. Wszystkie produkty o charakterze leczniczym najlepiej działają wtedy, gdy przez kilka dni stanowią wyłączne pożywienie pacjenta. Najprawdopodobniej przeciętny amerykański lekarz wyśmiałby propozycję leczenia dny moczowej lub artretyzmu winogronami, lecz w dawnym Związku Radzieckim społeczność medyczna bardzo poważnie traktowała tę metodę, podobnie jak płukanie okrężnicy oraz inne naturalne zabiegi higieniczne.

Warto dodać kilka słów na temat witamin i substancji mineralnych. Większość tzw. naturalnych witamin dostępnych obecnie w sprzedaży to w rzeczywistości środki syntetyczne lub skrzystalizowane wyciągi z produktów naturalnych, takich jak otręby, wątroba, masło czy owoce cytrusowe. Ekstrakcja polega na użyciu mocnych rozpuszczalników, takich jak eter, czysta benzyna i alkohol metylowy, przy współudziale takich związków, jak chlorek baru, sole ołowiu i glinu, a także na destylacji w wysokiej temperaturze. Te procesy chemiczne pozbawiają witaminy ich naturalnych właściwości, osłabiają naturalny efekt synergistyczny oraz niszczą nieodzowne enzymy.

Już dziesiątki lat temu u zwierząt karmionych jałowym pożywieniem przyrządzanym podług ściśle naukowej receptury z dodatkiem syntetycznych witamin i substancji mineralnych zaobserwowano zwyczaj zjadania własnych odchodów. Dlaczego? Dlatego że ich „wzbogacona” dieta jest całkowicie pozbawiona surowych i świeżych składników, a więc i enzymów. Dlatego też wiedzione instynktem zwierzęta zjadają własne odchody, aby po raz wtóry wykorzystać swe ograniczone zasoby witamin i enzymów.

Dowody świadczące o nieskuteczności syntetycznych witamin są absolutnie nie do odparcia. W 1942 r. „Journal of Immunology” zamieścił następujące wyniki badań przeprowadzonych na królikach: po podaniu

▶ witaminy C w syntetycznej postaci stężenie kwasu askorbinowego we krwi ani trochę się nie podniosło, natomiast kiedy króliki karmiono zwykłą surową kapustą, znacznie wzrosło. W 1951 r. dr E. Cruckshank donosił na łamach „Food and Nutrition”, że kurczaki karmione syntetyczną witaminą D osiągały średnią wagę 345 g, podczas gdy w grupie, której podawano naturalny wyciąg z tranu, średnia waga wynosiła 400 g. 60% kurczaków z grupy karmionej syntetycznie zdechło przed osiągnięciem dojrzałości. W grupie karmionej naturalnie nie zanotowano ani jednego takiego wypadku.

W naszych czasach powszechna stała się praktyka przyjmowania końskich dawek witamin i substancji mineralnych. Ludzie wierzą, że zagwarantuje im to zdrowie i długowieczność. Tak nie jest. Nie ilość, ale równowaga stanowi o skuteczności kuracji witaminowej, co pozostaje w zgodzie z jedną z podstawowych zasad tao. Równowaga nie polega li tylko na zapewnieniu sobie pełnego zestawu witamin w odpowiednich

proporcjach, ale także na wspomaganiu ich działania odpowiednią dietą, regularnymi ćwiczeniami i zdrowym trybem życia. Jak zauważa dr Charles G. King, „ta sama ilość danego składnika pokarmowego może się okazać optymalna, szkodliwa lub niewystarczająca w zależności od spożycia innych składników pokarmowych”. Wśród tych innych składników pokarmowych zapewne największą rolę odgrywają czynne enzymy, absolutnie niezbędne do właściwego metabolizmu witamin oraz składników mineralnych, których niedobór we współczesnej diecie jest najdotkliwiej odczuwalny. Jeżeli twoje pożywienie nie składa się wyłącznie z surowych produktów, dodatkowa porcja enzymów pochodzenia naturalnego jest równie ważna jak dodatkowa porcja witamin i składników mineralnych.

Świeże, zdrowe pożywienie zawiera wszystkie znane i nieznanne składniki warunkujące zdrowie i długowieczność. Na przykład witaminę B₁₂ wykryto i wyodrębniło dopiero w 1954 r., choć już wcześniej ludzie

nieświadomie czerpali z pożywienia codzienne dawki tego ważnego dla życia związku. W skład autentycznie świeżych produktów wchodzi zapewne wiele związków o dużym odżywczym znaczeniu, o których naukowcy jeszcze nic nie wiedzą. Ludzie, których dieta nie wykracza poza rafinowane i przemysłowo przetworzone artykuły spożywcze z dodatkiem syntetycznych witamin, pozbawiają się wszystkich nieznanych czynników istotnych dla zdrowia i długowieczności.

Tak więc najrozsądniejszym wyjściem jest dieta złożona przede wszystkim ze zdrowych, świeżych produktów, uzupełniona witaminami i enzymami pochodzenia naturalnego, które należy przyjmować w małych dawkach o różnych porach dnia. (...)

Fragmenty książki
Daniela Reida *Tao zdrowia, seksu i długowieczności*,
przeł. Tomasz Sikora,
Rebis, Poznań 2021



Mamy tylko 24 godziny by ocalić Jagę i Jagódkę. Bez Ciebie się nie uda...

Gdy zadzwonił handlarz, który ma bardzo ciężką rękę do zwierząt, a o empatii nawet nie słyszał, nasze serca ścisnęła strach. Strach, że przegramy z czasem, bo on nigdy nie godzi się na zmianę terminu. Że nie zdążymy ocalić Jagi i małej Jagódki. Że nie uratujemy mamy i jej córeczkę, które człowiek skazał na zabicie. Skazał, bo mógł. A skoro może, to żaden inny powód jest już niepotrzebny.

Jaga chwilę temu była prezentem komunijnym. Tym najokazalszym z podarków. Miała zrobić wrażenie i być dowodem, że babcia, choć nie ma czasu na co dzień dla wnuczki, to ponad wszystko ją kocha, no i że ją stać — wiadomo. Kupiono ładne piękny kantarek, umówiono transport, który miał ją zawieźć pod kościół, wszystko już było ustalone. Ale nim nadszedł termin komunii, Jaga urodziła. A tego się nikt nie spodziewał. Obrót babcia jednym telefonem do handlarza rozwiązała swój problem, bo dwóch osłów nie chciała nigdy. I nie miało żadnego znaczenia, że skazuje je na zabicie. Kogo by tam los osłów obchodził... no kogo?

Mała Jagódka co rusz płacze się w rzeźniczkę sznurki, którymi uwiązana

jest jej ukochana mama. Jaga stara się osłonić jak tylko może. Byłby nikt do niej nie podchodził, byle by tylko dać małej spokój, byle by nie zabijać. Stara się, bo kocha swoje dziecko, ale rezygnacja w oczach, przerażenie na widok człowieka mówią wszystko. Ona dobrze wie, że co by zrobiła, nie może ocalić siebie i swojej ukochanej Jagódki. W oborze handlarza, gdzie nie dociera słonice, gdzie zapach śmierci miesza się z fetorem obornika, czekają na wywóz do rzeźni.

Daliśmy zadatek, by nie pojechały dziś transportem do rzeźni. Ale to tylko odroczenie już wydanej wyroku śmierci. Jeśli nie wrócimy po jutro, siła je wciągną na trap samochodu jadącego do ubojni. Do ostatniego oddechu Jaga będzie robiła co tylko może by ocalić swoje dziecko. Na nic wszystko... człowiek pozwala żyć, człowiek też zabija...

Szanowni Państwo, od 2006 roku, wspólnie z Wami ocaliliśmy ponad 1300 koni. Także wiele osiołków, setki psów i kotów, dziesiątki innych zwierząt gospodarskich i dzikich otrzymało życie i ratunek. Robimy co tylko można. Wiemy też, że Wy również staracie się najbardziej na świecie, by ratować te, które, dla których nie ma już nadziei. Ale za każdym razem, gdy termin spłaty jest tak bardzo krótki, drżymy z obawy, że się nie uda.

Tym razem sytuacja jest wyjątkowo trudna, bo zostało bardzo mało czasu, a handlarz, śmiejąc się nam w twarz, już zapowiedział, że jeśli spóźnimy się, choć o minutę, umowa przestaje być ważna.

Szanowni Państwo, z całego serca prosimy Was o wsparcie. Stańcie z nami po ich stronie. My sami, bez Was, nie znaczymy nic. A dla nich, bez Waszej pomocy, nie ma żadnej nadziei na ratunek.

Pokornie chylimy przed Wami głowy i kolejny raz błagamy o ratowanie życia. Dla Jagi i Jagódki pilnie musimy zebrać 7900 zł. Tyle kosztuje ich życie i transport do naszego ośrodka. To bardzo duża kwota, ale jeśli wielu z Was, dokończy, choć kilka złotych, wierzymy, że się uda. Przecież one muszą żyć! Muszą!

Jeśli chcesz pomóc, możesz przekazać darowiznę z tytułem JAGA I JAGÓDKA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści **POMAGAM** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus

ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkdm>

Tajemnica lotu z New Delhi

Media rozpisywały się o tym – samolot specjalny ewakuował z Indii ciężko chorego na covid polskiego dyplomatę z rodziną (też chorą).

Opisywano szczegóły tej ewakuacji. Piloci byli szczelnie zamknięci w kabinie, załoga zaś w szczelnych skafandrach ochronnych, i to przez siedem godzin lotu. Dreamliner, którym ewakuowano dyplomatę, przewiózł też przesyłki. A już w Warszawie został poddany trwającej cztery godziny dezynfekcji. Załoga przeszła testy na obecność koronawirusa. A chorych rozmieszczono w warszawskich szpitalach.

W tych opowieściach było wszystko. Poza jednym – nazwiskiem ewakuowanego. Aż prosi się zapytać, kogo MSZ przywoziło w alarmowych okolicznościach? I to tak, że dwóch wiceministrów tę ewakuację nadzorowało i komentowało. Jaka to była fiska? Bo przecież każdy w MSZ wie, że nawet po ambasadora, nie mówiąc już o niższych rangą pracownikach, nikt by się tak nie fatygował.

Otóż tą ewakuowaną osobą okazał się Klaudiusz Tchórzewski – bratanek poła Krzysztofa Tchórzewskiego, jednej z najważniejszych postaci PiS. Tchórzewski stryjek to członek PC od roku 1990 (czyli należy do tzw. zakonu PC), w ostatnim czasie minister energii (2015-2019), a teraz szef doradców politycznych premiera Mateusza Morawieckiego.

Klaudiusz Tchórzewski na placówkę w New Delhi trafił w sposób nieoczywisty. Wcześniej bowiem pracował w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej u Kazimierza Kujdy, byłego prezesa spółki Srebrna. Ale widocznie uznał, że to praca mało ciekawa, więc wybrał MSZ. I tak w ramach budowania

nowych elit rozpoczął karierę dyplomaty. Dwa-trzy lata temu przyleciał do New Delhi, do ambasady RP, do wydziału ekonomicznego. Teraz połączyli ten wydział z politycznym i jest polityczno-ekonomiczny. A skoro jesteśmy przy budowaniu nowych elit, warto dorzucić, że w Indiach jako szef Instytutu Polskiego znalazł miejsce Kajus Augustyniak, były rzecznik Komisji Krajowej NSZZ Solidarność.

Ale wróćmy do Klaudiusza Tchórzewskiego – jak w roli dyplomaty się spisywał? Jedna z osób, które miały okazję go obserwować, odpowiedziała tak: „To absolwent SGH, więc merytorycznie było OK. Natomiast jeśli chodzi o zachowanie – właściciel Polski Ludowej”.

Gdy więc zachorował, zadzwonił do Warszawy, przecież nie do MSZ, i ewakuacja została zorganizowana. Przyleciał dreamliner z dwoma zestawami reanimacyjnymi. LOT potraktował to jako misję ratunkową.

I w MSZ się cieszą – bo jest precedens, na który chory na placówkach będą mogli się powoływać.

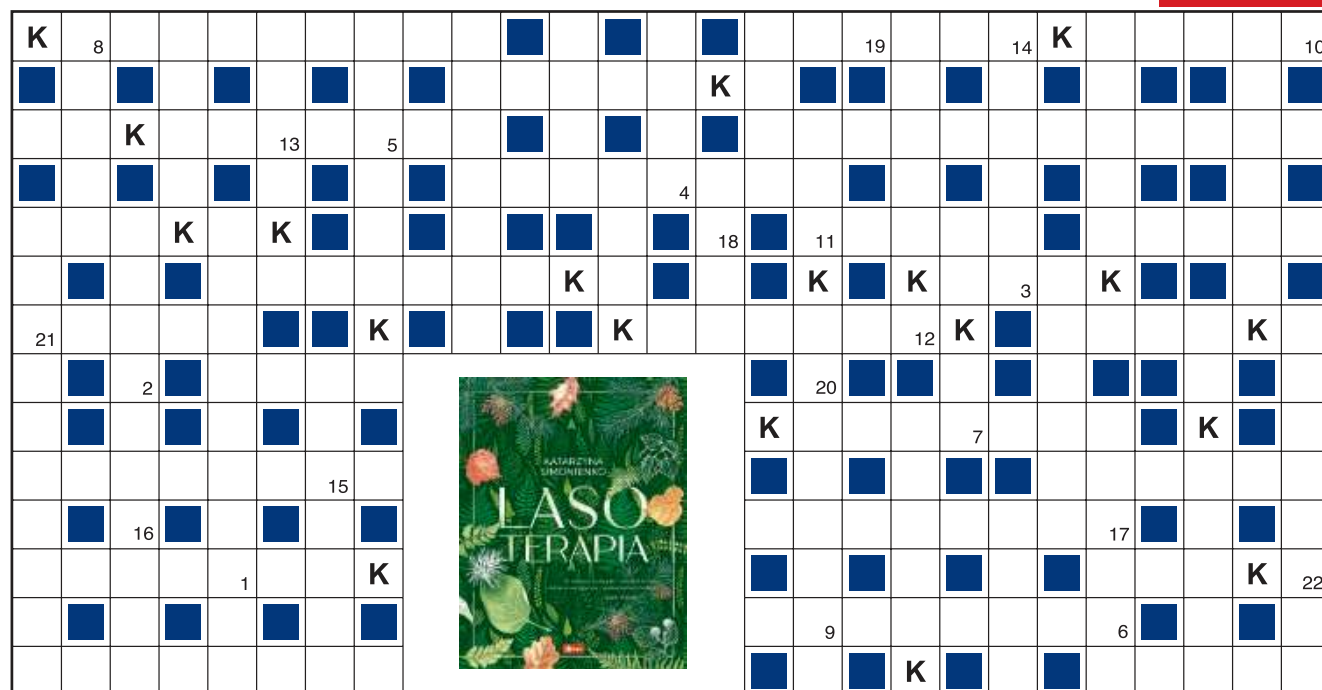
Co ciekawe, jest bardzo prawdopodobne, że Klaudiusz Tchórzewski już do New Delhi nie wróci. Parę tygodni temu przyleciał do Warszawy na urlop i w tym czasie załatwił sobie przeniesienie i awans. Od lata ma być I sekretarzem ambasady RP w Dublinie. „Normalni” dyplomaci latami na tego I sekretarza pracują, tu mamy trampolinę. Gdy zatem wyzdrowieje, czego mu szczerze życzymy, przejdzie rekonwalescencję, przeniesie się do Irlandii.

Bo przecież już dużo potrafi, a poza tym mu się należy.

Attaché



Szczególne prawa dla nietypowych użytkowników drogi. Samica nurogęsi z młodymi na Wistostradzie w Warszawie.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- Trzebuchowska lub Kulesza w obsadzie „Idy”
- Ducasse – szef kuchni, Juppé – polityk
- historyjka o zabawnym lub niezwykłym zdarzeniu
- ...w Nowym Jorku – śpiewał o nim Sting
- szpringbok to ...skoczek
- azjatycki trunek o smaku anyżowym
- był stosowany w eterie
- pierwiastek i zawierający go środek uspokajający
- chodziła do żurawia, a żuraw do niej
- Ustaw, Bridget Jones lub Bałtycki

- podbita przez Juliusza Cezara
- ubóstwiany przez fanów
- tak koronasceptycy nazywają maseczkę
- wyrabia skórzane torby, paski, portfele
- Moniuszko, Penderecki lub Kilar
- o młodym kogucie
- cztery kwatery
- przywiązywanie zbytniej wagi do błahostek
- koktajl z ginu i wermutu
- ogłoszona najpiękniejszą z kandydatek
- bierze odwet za krzywdy
- płaca po odliczeniu składek, podatków
- orzechy – łupiny, ziemniaki – ?
- prymusi zbierają celujące
- Cook, Magellan lub Vespucci
- żyje z nich rentier
- ...Turystyki Pieszej (OTP)
- szczelne okrycie, np. malca koldrą
- deskrypcja
- życiowa albo w tańcu
- chodź na nie naprzeciwko, tam jest mały bar
- w latach 1037-1047 stolica państwa Mieclawa
- obca spóźnialskiemu
- rozpoznanie stanowisk i sił wroga
- dawanie gwarancji, bycie pewnym czegoś
- pieczeń wołowa
- i światowiec, i gra towarzyska

- siane zniszczenie, ruina
- krótkie spodniki
- pod brodą karmionego malucha
- zaporą, przeszkoda
- imię pisarza Parnickiego
- nasączone kawą i alkoholem ciasto biszkoptowe z delikatną masą
- stolik z lustrem i szufladkami
- ptak, zwany też pieprzoadem
- metan, benzen lub cykloheksan
- zawodnik w skifie
- dosiężny albo na majówkę
- Rekina lub Świri w atlasie
- naczynie laboratoryjne w kształcie szklanki z dziobkiem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1011”. Do rozlosowania książki „Lasoterapia” ufundowane przez Wydawnictwo Dragon. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 maja 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1008” z nr. 16: Aby coś zrobić, trzeba zacząć. Nagrody otrzymują: Franciszek Borowiec z Zawiercia, Bogumił Przybyło z Dobczyc, Irena Safek z Zielonej Góry.

PENETRACJE

odra

PROF. ALEKSANDER HALL,
POLITYK, HISTORYK

Należę do ludzi, którzy nie odmawiają prezesowi PiS talentów i pewnych cech rzadko spotykanych w polityce – czyli godnej podziwu odporności na ciosy oraz wyjątkowej chęci bycia, czasami za wszelką cenę, na scenie politycznej i u władzy. Jednocześnie widzę, że nie jest to polityk całkowicie racjonalny. To człowiek, którym targają silne emocje, czasami irracjonalne, stąd jest on zdolny do bezsensownych zachowań – nawet autodestrukcyjnych.

KRAKÓW

ŁUKASZ ORBITOWSKI,
PISARZ

Stosunek do Boga i wiary należy do tych tematów, które stale są poruszane w twórczości literackiej, takich jak miłość, zazdrość, wojna. Sam nie mam żadnych potrzeb metafizycznych. Jestem absolutnie, zupełnie niewierzący. Dlatego poznanie świata bardzo żywej, głębokiej i ekstatycznej wiary było dla mnie czymś niesłychanie kuszącym. Cieszyłem się, że mogłem to opisać. Żyjemy przecież w bardzo religijnym świecie i niezależnie od tego, czy jesteśmy życzliwie nastawieni do Kościoła, czy nie, czy jesteśmy pobożni, czy obojętni, chrześcijaństwo odgrywa w naszym życiu i społeczeństwie ogromną rolę.

STYL

ANNA DYMNA,
AKTORKA, FUNDACJA
„MIMO WSZYSTKO”

Podłość najlepiej ignorować. Tego mnie uczył Dymna, jak byłem jeszcze młodzieńcem. Tłumaczył: „Ania, jakby ci kiedyś się zdarzyło być znaną osobą, to usłyszysz o sobie niestworzone rzeczy, straszne, głupie. Pamiętaj, nigdy nie dementuj! Nie poświęcaj temu uwagi. A mówił to w czasach, gdy nie było internetu. Hejtowi w sieci nie poświęcam uwagi, ale gdy spotyka mnie twarzą w twarz – trudniej o obojętność. Co ja czasem usłyszę na ulicy? 90% tych komunikatów to miłe rzeczy, ale te 10 mogłoby zabić. „Ależ pani wstrętna się zrobiła!”, rzuca nagle przechodzień w moją stronę z nienawiścią.

URODA

JOANNA TRZEPIECIŃSKA,
AKTORKA

Skonfrontowałam spojrzenie na współczesną Polskę z wizją autora sztuki Pawła Demirskiego. Oboje z Moniką Strzępką mentalnie należą do innego pokolenia. Odmienność ich generacji zaciekała mnie i poruszyła. Gdybym miała powiedzieć o nich pozytywnie, powiedziałabym, że są odważni, otwarci, bez kompleksów. Gdybym miała te same cechy nazwać w sposób negatywny, powiedziałabym, że są roszczeniowi i bezczelni. Zależy, jak się na to pokolenie spojrzysz.

Aby język giętki...

KATARZYNA DOWBOR
O POCZĄTKACH W TELEWIZJI

Zostałam najmłodszą, ostatnią spikerką, a potem ten zawód zniknął.

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI
O MÓZGU

Ludzki mózg jest najbardziej złożonym systemem, jaki znamy. Nic dziwnego, że jest to system dość kapryśny.

ANDRZEJ CHYRA
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Chciał być emerytowanym zbawcą narodu, ale może zostać jedynie grabarzem.

ARTUR BALAZS
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

W jakimś momencie pożegna się z prezesem PiS. Musi wybrać moment najbardziej dla siebie dogodny.

KRYSTYNA JANDA
O PRZEMOCY WOBEC AKTORÓW

Nie ma takiego dzieła, spektaklu, filmu, sceny, roli, utworu, dla którego warto by było złamać i upokorzyć człowieka.

JOANNA SZCZEPKOWSKA
O ZAWODZIE AKTORSKIM

Uczymy się tworzyć iluzje emocji, a nie popadać w emocje, jakby nas ktoś prądem kopnął.

IZABELA TROJANOWSKA
O METODZIE PRACY

Uwielbiam improwizację, ale po dziesięciu próbach.

MACIEJ STUHR **O ROLI OJCA**

Nie polega na tym, że mówi synowi, co ma robić, to rola syna polega na tym, że obserwuje, co robi ojciec.

JANUSZ PANASEWICZ
O SYNACH BLIŹNIAKACH

Kiedy byli w podstawówce, uwielbiali słuchać w samochodzie naszej piosenki z filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc”.

MARIA SADOWSKA **O ZARĘCZYNACH**

Na wzgórzu nad jeziorem w Sejnach wykopałam skrzynkę, w której było kilka mniejszych. W ostatniej znalazłam pierścionek.



Chodź, przytul się! Niedźwiedzie czarne z rezerwatu Alligator River w Karolinie Północnej.

Wirus zawinił, koguta usmażyli

COVID-19 zbiera śmiertelne żniwo także wśród drobiu. W Stanach Zjednoczonych popyt na skrzydełka kurczaka wzrósł bowiem tak bardzo, że brakuje ich na rynku. Odczuwalnie zwiększyła się sprzedaż tego dania zarówno w wersji mrożonej, jak i gorącej. – Gdy się nad tym zastanowić, działanie restauracji ze skrzydełkami czy pizzerii opiera się na jedzeniu na wynos. Nie musiały zatem za bardzo zmieniać modeli biznesowych podczas pandemii – skomentował rzecznik amerykańskiej Krajowej Rady Drobiarstwa, Tom Super. – Dopóki ludzie będą siedzieć i oglądać telewizję, popijając piwo, skrzydełka pozostaną w grze – dodał. No tak, ptakom zawsze wiatr w oczy.

Bawią i uczą

Japończycy wpadli na bardzo japoński pomysł, jak zainteresować dzieciaki paleontologią. Tego lata ruszy mobilne muzeum, które będzie przekazywać najmłodszym informacje na temat prehistorycznych zwierząt. Na wystawie, która odwiedzi kilka miast, będzie jednak można zapoznać się nie tylko ze szkieletami dinozaurów. Równoprawnymi bohaterami ekspozycji są bowiem szczątki... pokemonów, czyli stworów znanych z gier wideo i filmów. Zwiedzający będą m.in. studiować podobieństwa i różnice pomiędzy stworzeniami z obu światów, wymarłego i wirtualnego. Godzilla pewnie jest trochę zazdrosna.

Tulipan z Kraju Kwitnącej Wiśni

Również w Japonii aresztowano 39-latkę, który randkował z 35 kobietami naraz, aby wyłudzać od nich prezenty



urodzinowe. Takashi Miyagawa, zatrudniony na pół etatu w firmie marketingowej, każdej z dam podał inną datę urodzenia, a jednocześnie wszystkim obiecywał wspólną przyszłość. Wpadł, bo panie, które czarował, zorientowały się, że są oszukiwane, i połączyły siły. W sumie mężczyzna w krótkim czasie otrzymał od nich prezenty warte w przeliczeniu ok. 3,5 tys. zł. Tani drań to on nie jest.

Kukułcze wesele

Niejacy Courtney Wilson i Shenita Jones zaplanowali przyjęcie ślubne w luksusowej willi na Florydzie. Fakt ten nie zasługiwałby na wzmiankę, gdyby nie to, że licznych gości zaproszono bez wiedzy gospodarza, Nathana Finkela. Gdy nie zgodził się on wynająć rezydencji na imprezę, pan młody – wiedząc, że wystawiony na sprzedaż dom jest pusty – postanowił działać na nielegalu. – Nie zdawał sobie sprawy, że Nathan mieszka na terenie posiadłości, ale w innym budynku. To musiał być dla niego szok, kiedy pojawił się na miejscu i zobaczył, że właściciel jest w środku – podsumował Keith Poliakoff, prawnik bogacza. Nie ma co, ładnie nowożeńcy zaczęli życie „na swoim”.

Dobry żart Josha wart

Internetowy żart mieszkańca Arizony znalazł niespodziewanie pożyteczny finał. 24 kwietnia 2020 r. Josh Swain wyzwał wszystkich mężczyzn nazywających się identycznie jak on na turniej, który miał się odbyć rok później w Nebrasce i wyłonić jedyne gościnne wspomnianych personaliów. Pomysł zyskał spory rozgłos, dzięki czemu 24 kwietnia br. niemal tysiąc osób, w tym co najmniej 50 Joshów i minimum dwóch Joshów Swainów, spotkało





A jakby tak załagodzić tęsknotę za wiosną kwiatami i świeżymi warzywami? Uliczni sprzedawcy w Hanoi i w Phnom Penh.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazni, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wójcik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj,
Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



się, by walczyć na piankowe makarony do pływania oraz zbierać pieniądze na cele charytatywne. Dla porządku informujemy, że pojedynek Joshów Swainów, w formule „papier, kamień, nożyce”, wygrał Josh Swain.

Kto jest psem, a kto ogonem?

Maszyny są coraz bystrzejsze: firma OTSAW Digital z Singapuru oferuje usługę dostarczania przez roboty zakupów spożywczych niemal pod drzwi. Z kolei na Manhattanie policyjny robopis uczestniczył w akcji aresztowania. Czy to już czas, by zacząć się martwić, że niedługo nie będziemy automatom do niczego potrzebni?

Cyberpięknym za nadobne

FBI zhakowało komputery, które wcześniej padły ofiarą hakerów, i dzięki temu zabezpieczyło je przed kolejnymi atakami. Brzmi skomplikowanie, więc wyjaśniamy: na zaatakowanych maszynach przestępcy pozostawili wiele furtek, za pomocą których mogliby ponownie dostawać się do systemów, dlatego służby postanowiły same zhakować urządzenia i zdalnie usunąć luki bezpieczeństwa wprowadzone przez złośliwe oprogramowanie. I tak to się żyje w tej sieci...





Przyjechała teściowa



Kimono

Jampolski 55

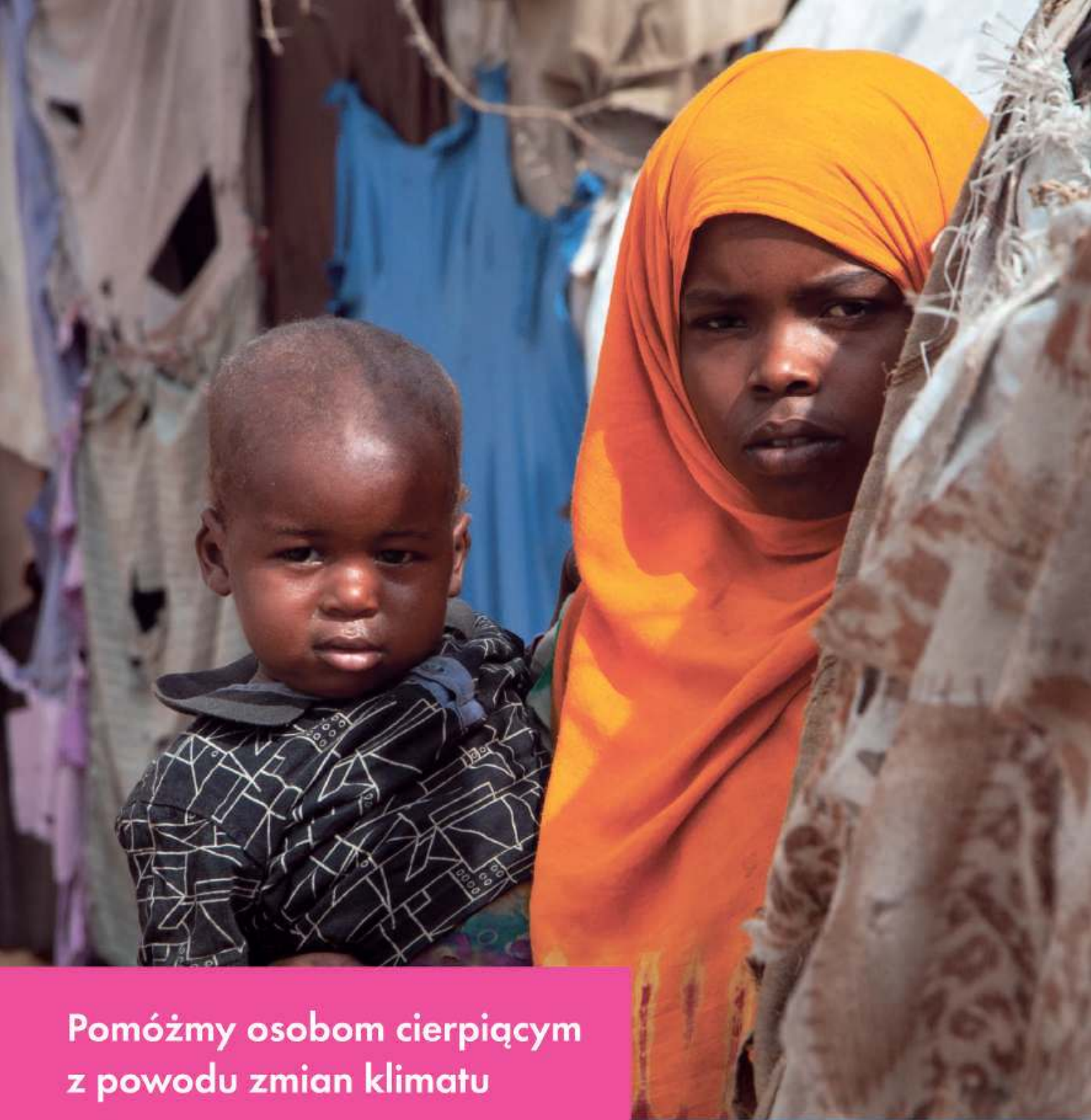
W ramach obchodzonego corocznie Miesiąca Japońskiego w Ogrodzie Botanicznym PAN w Powsinie, w rodzinnym domu Fangorów – willi Janówek, można oglądać prace Leszka Jampolskiego, artysty od zawsze zafascynowanego sztuką Dalekiego Wschodu. Pochodzą one z najnowszego cyklu „Neo – Garden”, ale są też obrazy starsze, z ostatnich 20 lat, z wiodącym motywem ogrodu. Twórcę intrygują także azjatyckie kanony piękna, kobiecej urody. W obrazach stara się oddać tajemniczą aurę otaczającą Azjatki.

Galeria Fangorówka
Warszawa, ul. Prawdziwka 2
do 30 maja



Plotkarki

FOT. MATERIAŁ PRASOWE



**Pomóżmy osobom cierpiącym
z powodu zmian klimatu**

**Przekaż darowiznę
www.pah.org.pl**



Polska Akcja Humanitarna

EPIDEMIA

PARTNER PROGRAMU

 AVIVA

Poznaj 3 kroki
i przygotuj się
na kryzysowe
sytuacje.

badzbezpieczny.pck.pl

